ROZMOWA „DO RZECZY”

O groźnym dla Polski długu SAFE – mówi europoseł Anna Bryłka



KSeF, czyli rząd Tuska i PiS wspólnie przeciw polskim przedsiębiorcom



BUDUJĄCA HISTORIA KACPRA TOMASIAKA – TRZYKROTNEGO MEDALISTY OLIMPIJSKIEGO

Antypowstańcza polityka Romana Dmowskiego

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 9/669 23 LUTEGO–1 MARCA 2026

CENA 13,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Pułapka na pierwszą damę

MEDIA LEWICY BEZ PARDONU ATAKUJĄ MARTĘ NAWROCKĄ

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

PHALS

Polish–Hungarian–American Leadership Summit 2026

Polsko–Węgiersko–Amerykański Szczyt Liderów 2026
Lengyel–Magyar–Amerikai Vezetői Csúcstalálkozó 2026

MAŁOPOLSKA

Partner Główny PHALS 2026
Województwo Małopolskie

BUSINESS • SECURITY • INNOVATION
15–17 MARCH 2026

EVENT VENUE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
MIEJSCE WYDARZENIA: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON
RENDEZVÉNY HELYSZÍNE: KRAKÓW, PARK INN BY RADISSON

eprasa.pl 958d9fc47c



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Oni są po prostu głupi

Czy zakończona w Monachium konferencja doprowadziła do zasypania coraz większych różnic między Unią Europejską a Stanami Zjednoczonymi? Na pewno przemówienie amerykańskiego sekretarza stanu, Marca Rubia, było bardziej stonowane niż słowa J.D. Vance'a sprzed roku. Jednak trudno mówić o zbliżeniu. O ile bowiem Ameryka pod przywództwem Donalda Trumpa dostosowuje swoją politykę do rzeczywistości i kieruje się zdrowym rozsądkiem, o tyle przywódcy europejscy dalej, jakby nigdy nic, tkwią w oparach absurdu. Nic nie pokazuje tego lepiej niż stosunek do ideologii klimatycznej, której to nadal hołduje większość przywódców i polityków z Europy. Czy to oznacza, że europejscy (a także polscy) zwolennicy zdrowego rozsądku skazani są na przegraną i nie mogą skorzystać ze zmian, które zachodzą w Ameryce?

Prezydent USA uważa, że po pierwsze nie ma pewności co do tego, że takie zmiany zachodzą, a już na pewno nie istnieje związek między nimi a gospodarczą działalnością człowieka, to jest wykorzystywaniem w gospodarce surowców kopalnych. Ogół europejskich przywódców, odwrotnie, wierzy (lub udaje, że wierzy, co na jedno wychodzi) w istnienie zmian i sądzi, że aby im przeciwdziałać, należy ograniczyć emisję CO_2.

Inaczej niż jego poprzednicy, na czele z Joe Bidenem, prezydent Trump nazywa cały wielki program walki z tzw. zmianami klimatycznymi humbugiem. 23 września 2025 r., podczas wystąpienia w ONZ, prezydent USA powiedział, że opowieść o zmianach klimatycznych to „największe oszustwo, jakie kiedykolwiek popełniono na świecie". I dalej: „Wszystkie prognozy formułowane przez ONZ i inne [organizacje] były błędne. Sporządzili je głupi ludzie". Donald Trump dodał, że badania nad zmianami klimatycznymi kosztują „fortunę", co pozbawia gospodarki świata „szans na sukces". Dodatkowo działania takie jak dążenie do redukcji emisji CO_2 szkodzą gospodarce. Jednak amerykański przywódca nie ograniczył się do krytyki. Ogłosił, że należy wrócić do gospodarki opartej na wydobyciu i eksporcie ropy, gazu i węgla oraz wspieraniu energetyki jądrowej. Zamiast paneli, farm wiatrowych i innych podobnych sposobów pozyskiwania energii trzeba korzystać z ropy, gazu i węgla – taka była recepta Trumpa.

I jak powiedział, tak zrobił. 13 lutego tego roku podczas specjalnej konferencji prasowej Donald Trump zakwestionował podstawę prawną amerykańskich przepisów klimatycznych oraz zniósł normy emisji gazów cieplarnianych dla samochodów. Donald Trump ogłosił, że przestaje obowiązywać kluczowe tzw. ustalenie naukowe z 2009 r. (tzw. endangerment finding), które stanowiło fundament amerykańskich federalnych regulacji ograniczających emisję gazów cieplarnianych. Mówię o tzw. ustaleniu naukowym, ponieważ było ono jedynie efektem zgody większości badaczy. Podczas swojego wystąpienia prezydent USA powołał się na raport innych naukowców, którzy owe rzekome ustalenia kwestionują.

Teraz Europa. W tym samym czasie, kiedy Donald Trump zadawał śmiertelny cios klimatyzmowi w USA, Parlament Europejski 11 lutego zatwierdził nowy, wiążący cel klimatyczny zakładający ograniczenie emisji CO_2 o 90 proc. do 2040 r. Decyzja oznacza dalsze zaostrzenie polityki klimatycznej UE, obejmujące transport, budownictwo i kolejne koszty dla państw członkowskich.

Nowy cel ma charakter wiążący i stanowi kolejny etap realizacji strategii osiągnięcia neutralności klimatycznej UE do 2050 r. Aby regulacje weszły w życie, konieczna jest jeszcze formalna zgoda państw członkowskich w Radzie UE. Wstępne porozumienie zostało już osiągnięte, jednak kraje zgodziły się na nie pod warunkiem uzyskania większej elastyczności w sposobach realizacji redukcji emisji.

To zatem, co dla Trumpa jest największym możliwym oszustwem, dla większości europosłów i przywódców Unii jest pewnym ustaleniem naukowym. Nie ma tu żadnej możliwości porozumienia. Ba, im bardziej Trump odrzuca rzekome ustalenia klimatystów, z tym większym zacietrzewieniem i obsesyjnym uporem zamierzają się do nich stosować elity europejskie. Robią to zresztą z całkowitym pogwałceniem zasad zdrowego rozsądku: Jaki sens ma dokręcanie klimatystycznej śruby teraz, kiedy to USA z całego projektu się wycofują? Nawet zakładając, że istnieje związek przyczynowo-skutkowy między gospodarką światową a klimatem, to na pewno nie ma takiego związku między samą jedynie gospodarką europejską a klimatem!

A Polska? Mimo że kolejne unijne pomysły oznaczają dla polskiej gospodarki katastrofę, polscy politycy nie są w stanie unijnemu szaleństwu się przeciwstawić. Kto miałby to niby zrobić? Przecież obie główne siły polityczne w Polsce – tak PiS, jak KO – tę politykę żyrowały i wspierały. Kto zatem teraz przyzna się do tego, że był „głupi" i uczestniczył w „największym w dziejach oszustwie"?

Rewolucja zdrowego rozsądku Donalda Trumpa to wielka szansa dla Europy, przede wszystkim dla tych narodów, które będą potrafiły wydobyć z siebie siły polityczne wolne od uwikłania dotychczasowych elit. ©℗

eprasa.pl 958d9fc47c



TEMAT TYGODNIA

16 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
PUŁAPKA NA PIERWSZĄ DAMĘ
Bezpardonowy atak na Martę Nawrocką

KRAJ

20 ROZMOWA Z ANNĄ BRYŁKĄ
SKOŃCZMY Z PROPAGANDĄ SUKCESU WOKÓŁ SAFE
Unia Europejska chce zadłużyć Polskę

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
POLSKA HISTORIA JAKO WAMPIR

25 PIOTR SEMKA
REWOLUCYJNY KROK CZY UNIK?

28 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK
ŚLĄSKA GWARA TO NIE JĘZYK

30 RADOSŁAW WOJTAS
BUDUJĄCA HISTORIA KACPRA TOMASIAKA

KULTURA

32 AGNIESZKA GOLAŃSKA-BAULT
EWANGELIZACJA NA EKRANIE
Religijny film podbija świecką Francję

34 PIOTR GOCIEK
CHWAŁA BOHATEROM

36 KRZYSZTOF MASŁOŃ
ZNAK SPRZECIWU

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

42 ŁUKASZ WARZECHA
WOLNOŚĆ SŁOWA ZAGROŻONA
Cenzorskie zapędy Unii Europejskiej

46 KRZYSZTOF KAWĘCKI
RAJ DLA IMIGRANTÓW

50 FILIP MEMCHES
ROZSTANIE ROSJI Z EUROPĄ

52 PAWEŁ CHMIELEWSKI
WATYKAN I FSSPX. SYTUACJA BEZ WYJŚCIA

HISTORIA

54 LECH MAŻEWSKI
ANTYPOWSTAŃCZA POLITYKA ROMANA DMOWSKIEGO
Polskie spory u zmierzchu rozbiorów

ŚWIAT

58 MACIEJ PIECZYŃSKI
STAŁE ZWIĄZKI UKRAINY Z ROSJĄ
Kijów nadal kupuje rosyjski gaz

62 ROBERT BOGDAŃSKI
PRZYGOTOWANIA DO WOJNY?

64 TERESA STYLIŃSKA
DONALDA TRUMPA DAR KOŃCZENIA WOJEN

EKONOMIA

66 JACEK PRZYBYLSKI
Z LEWA NA EURO
Polityczny kryzys w Bułgarii

70 JAKUB WOZINSKI
KSEF, CZYLI RZĄD TUSKA I PIS WSPÓLNIE PRZECIW POLSKIM PRZEDSIĘBIORCOM

ZDROWIE

74 MARIUSZ JAGÓRA
REGLAMENTOWANY HORMON SŁOŃCA
Witamina D pod kontrolą?

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), ŻEBROWSKI, KOPER (57), PRZYBYLSKI (61), GABRYEL, WARZECHA (69), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), SIEDLECKA (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 958d9fc47c

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Agnieszka Szpak, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Andrzej Iwańczuk/REPORTER**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumeratаprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Porażający wynik

Podano ostatnio wynik ankiety, że 64 proc. rodaków na pytanie: „Czy jesteś za adopcją dzieci przez pary jednopłciowe?" było przeciw, w tym część „raczej przeciw". Owszem, cieszy, że większość zachowała albo prawie zachowała zdrowy rozsądek i szacunek dla najmłodszych, ale przecież to jest wynik porażający: TYLKO 64 proc.! To oznacza, że ponad jedna trzecia jest za albo jest im to obojętne. To jest porażające, bo świadczy o kompletnym u znacznej części społeczeństwa braku już nawet nie wiedzy, ale elementarnej wyobraźni psychologicznej. A może to pytanie powinno być inaczej zadane? Zapytajcie: „Czy chciałbyś, aby gdy byłeś dzieckiem, oddano cię do adopcji gejowskiej parze?". Dla ponad jednej trzeciej obywateli jest obojętne przedmiotowe traktowanie dzieci. Bo przecież w tym zamyśle dziecko ma być traktowane jak przedmiot, rzecz do rozrywki, zadowolenia czyjejś egoistycznej zachcianki. Owszem, jeśli dwóch panów czy dwie panie chcą żyć ze sobą, a nie osobą płci przeciwnej, to ich sprawa, jesteśmy tolerancyjni, ale jeśli zamiast mieć pieska, kotka czy inne zwierzątko, wolą urozmaicać sobie życie stworzonkiem gadającym, dzieckiem, to na to nie może być zgody. Jest to egoistyczne, przedmiotowe traktowanie małej istoty ludzkiej, która dla swego rozwoju emocjonalnego i psychicznego potrzebuje i ojca, i matki. W wielu krajach niestety tego nie zrozumiano, uznano, że jest właściwe oddawanie dzieci, bez pytania ich o zgodę, parom jednopłciowym – i jest to przecież hańba współczesnej cywilizacji, świadectwo jej upadku. Jak cały ten porąbany genderyzm.

I czyż nie jest szokujące, że i u nas jedna trzecia społeczeństwa nie rozumie istoty i sensu tego problemu, nie widzi przedmiotowego haniebnego traktowania dzieci? Oddać do adopcji, oczywiście nie pytając tego dziecka o zgodę. Nie dawajmy się wciągać w ten haniebny „trynd" współczesnej antycywilizacji. Zadajcie respondentom pytanie: „Czy chciałbyś, by oddano cię w dzieciństwie parze gejowskiej?". Może ludziom zapali się w głowach czerwona lampka.

Jerzy Ż.
(nazwisko autora do wiadomości redakcji)

„Znikający PiS", Rafał A. Ziemkiewicz, „DRz" nr 7/2026

Panie Rafale,
zgadzam się z Pana artykułem, chciałbym dodać od siebie, od wyborcy PiS, uzupełnienie do akapitu pierwszego podtytułu: „Powtarzanie błędów establishmentu". Jestem jak zawsze pod wrażeniem Pana języka pełnego humoru, w tym przypadku bardziej sarkazmu.

Tutaj chciałbym dodać jeszcze, co mnie zdenerwowało od strony partii, na którą głosowałem od 2015 r. Podczas ostatnich wyborów do parlamentu, mając w pamięci wszystkie te błędy, poszedłem świadomie głosować na PiS, ponieważ wiedziałem, że muszę o tych błędach zapomnieć i mimo wszystko nie mam wyjścia, wiedząc, że przykładowo partia Hołowni to ustawka, wiadomo, w jakim celu utworzona, czyli żadna dobra alternatywa.

Jaką dostałem informację zaraz po wyborach od establishmentu PiS? Wychodzi jeden z głównych członków partii, chyba nie tylko jeden, i rzuca nam bezczelnie w twarz, że przyczyną wyniku wyborów, która pozbawiła PiS władzy, jest ich stosunek do kwestii aborcji, czyli obrona życia dzieci nienarodzonych (ta kwestia, którą PiS bronił i tutaj robił dobrą rzecz).

Według tego lub nie tylko tego głównego członka partii żadna z tych kwestii, którą Pan przytoczył, prawdziwych błędów, ale właśnie ta, która, moim zdaniem dla wyborców prawicy, chrześcijan jest bardzo ważna, a więc jego zdaniem, gdyby odwrotnie, czyli źle w tym przypadku, traktowali kwestie aborcji, to osiągnęliby lepszy wynik (mam nadzieję, że większość członków partii nie podzielała tego zdania).

To pokazuje, jak trzeba być odklejonym od swoich wyborców albo zakłamanym, żeby coś takiego głosić.

Pozdrawiam uprzejmie
Arkadiusz Masny

eprasa.pl 958d9fc47c

NA PIERWSZY OGIEŃ

Dlaczego SAFE jest tak groźny?



PIOTR SEMKA

Wręcz histeryczny ton, którym politycy obozu Donalda Tuska i sprzyjające mu media bronią programu SAFE, pokazuje, że nawet ten obóz ma świadomość, jak bardzo brzemienny w skutki będzie to polityczny krok. Tym bardziej warto podkreślać najważniejsze zagrożenie wiążące się z programem. SAFE to kolejny instrument Brukseli i Berlina przywiązania mniejszych państw do Unii poprzez zadłużanie ich, aby prawicowe rządy miały związane ręce, nawet jeśli w przyszłości dojdą do władzy. Rozłożenie spłaty długu na 45 lat ma zagwarantować polityczne uzależnienie Polski od Brukseli na trwałe.

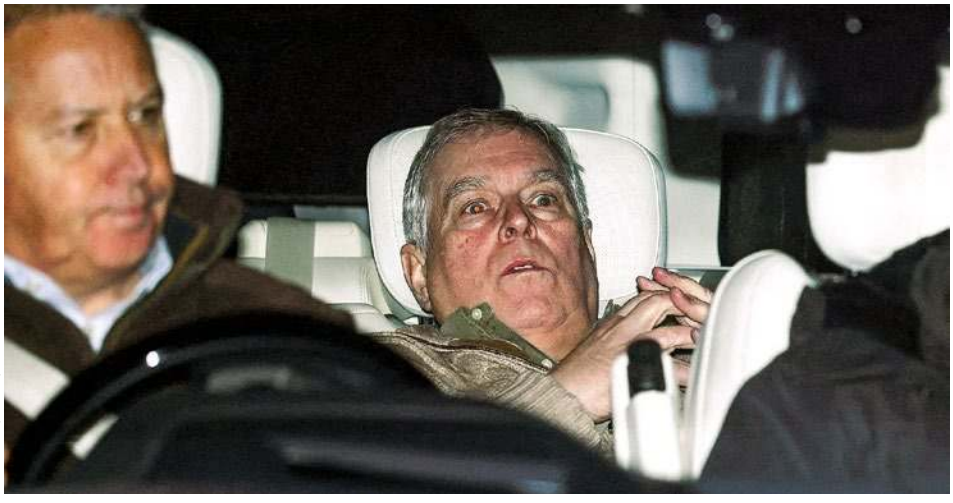
Program SAFE pod chwytliwym hasłem aktualnej reakcji na zaniedbanie obronne państw Unii to wypełnienie luki w kontroli Komisji Europejskiej nad krajami członkowskimi. UE dotąd zajmowała się tylko kwestiami gospodarczymi, a jak się potem okazało, i ustrojowymi, ale nie sprawami obronności. Tę lukę dobrze wykorzystał PiS w czasie swoich rządów, aby rozpocząć działanie na rzecz zbliżenia militarnego z USA. Teraz Bruksela, chcąc zlikwidować i ten suwerennościowy precedens, chce kontrolować już absolutnie wszystkie aspekty funkcjonowania Polski.

Faktyczne odebranie Warszawie suwerennej decyzji, jakie uzbrojenie, za jakie pieniądze i w jakim czasie ma być dostarczane do Polski, oznacza, że będziemy na łasce i niełasce Rosji. A ta może wykorzystać czas, minimum 10 lat, w którego trakcie nieskuteczna administracja unijna będzie realizować projekty zbrojeniowe i zaatakować nas, zanim broń z fabryk niemieckich i francuskich oraz ich filii dotrze do Wojska Polskiego. A Polska musi się spieszyć ze zbrojeniami. Rząd Mateusza Morawieckiego właśnie dlatego zamówił koreańskie czołgi i transportery, bo nikt w Europie w tak krótkim terminie nie był w stanie ich dostarczyć.

Realne są obawy, iż nacisk Berlina i Paryża spowoduje, że nasz przemysł zbrojeniowy może dostać tylko ochłapy dla zmylenia opinii publicznej. A finansowanie będzie warunkowe. Oznacza to wpychanie Polski w model biurokratyczny, sztucznie ograniczający pole podejmowania decyzji najlepszych dla Polski, a nie dla lobby przemysłowo-zbrojeniowego w Brukseli. Najważniejszym problemem jest jednak odebranie nam kolejnej dziedziny suwerenności. Na dodatek ta sprawa musi wywołać napięcia w naszych relacjach z USA. A nasza armia wyposażona będzie w broń, której standardy nie będą pasowały do standardów sprzętu US Army, który jest jedynym realnym czynnikiem myślenia o naszej obronie wobec konfliktu z Rosją.

Można się tylko domyślać, jak silnych dźwigni musieli użyć unijni gracze, by wymusić tak daleko idące zaangażowanie Donalda Tuska w ten wątpliwy i niejasny w szczegółach program.

Zazwyczaj nie nadużywam mocnych określeń, ale tym razem ma to pełne uzasadnienie. Program SAFE to brutalne domknięcie trwającego od lat programu odbierania przez Komisję Europejską najważniejszych kompetencji państwu polskiemu. Utrata wpływu na kształtowanie własnego bezpieczeństwa to ponura puenta tego procesu. ©℗



FOT. PHIL NOBLE/REUTERS /FORUM

BRAT KRÓLA KAROLA III ARESZTOWANY

Były książę Yorku Andrzej Mountbatten-Windsor został w czwartek aresztowany pod zarzutem nadużycia władzy publicznej. Sprawa ma związek z oskarżeniami o przesyłanie tajnych dokumentów rządowych przestępcy seksualnemu Jeffreyowi Epsteinowi. – Służby mogą liczyć na nasze pełne i bezwarunkowe wsparcie oraz współpracę – oznajmił brytyjski król Karol III. – Prawo musi być przestrzegane – zaznaczył. ©℗

eprasa.pl 958d9fc47c

Z życia Nowogrodzkiej. W miniony poniedziałek szeregowy poseł Jarosław Kaczyński powrócił był do aktywności biurowej w siedzibie partii. Jego kilkutygodniowe przemyślenia na wygnaniu szpitalnym i domowym zaowocowały podjęciem w czwartek decyzji o postawieniu na Zbigniewa Boguckiego jako nowego premiera. Miała to być tajemnica do marca. Przetrwała jakieś dwie godziny.

W odpowiedzi na decyzję prezesa naczelnika stary premier Morawiecki, który bardzo chce być także nowym premierem, zwołał spotkanie swoich zwolenników. Było grubo. Pojawiły się nawet hasła, że jak wychodzić z partii, to teraz, żeby mieć półtora roku na budowanie struktur i zbieranie pieniędzy przed wyborami.

Wiewiórki mówią, że wcześniej ojciec Mateusz był na długiej rozmowie u prezesa, od razu w ten poniedziałek, gdy naczelnik powrócił był do nowogrodzkich biur. Niewiele jednak wskórał. Nakreślamy panoramę wewnętrzną partii: Morawiecki twierdzi, że nie wyobraża sobie współpracy z Jakim, a zarazem nawiązał taktyczny sojusz z Przemysławem Czarnkiem przeciw innym maślarzom. Co jest o tyle zaskakujące, że Czarnek jako jedyny mówi głośno, że wyobraża sobie koalicję z Braunem.

Tak czy inaczej, sytuacja w PiS stała się mieszaniną teatru grozy i absurdu. O grozie już było. Teraz humor absurdalny. Spotykają się dwie posłanki PiS i rozmawiają sobie o życiu. W pewnym momencie jedna pyta drugą niespodziewanie: „Czy to prawda, że twój mąż zrobił dziecko sekretarce?”. Mąż stoi obok i przysłuchuje się rozmowie. Przygodna publika partyjna również. Kurtyna.

Z pałacu. Mieliśmy okazję przyjrzeć się działaniu tego, co politycy koalicji nazywają „wetomatem” prezydenta Karola Tadeusza. Wbrew pozorom to bardzo skomplikowana maszynka. Nie jest tak, że osoba głowy państwa dostaje na biurko kartkę w wielkim czerwonym stemplem: „WETOWAĆ”. Do każdej ustawy, która trafia na prezydenckie biurko, dołączany jest spory plik kartek z dokładnym wyliczeniem plusów i minusów, zwłaszcza pod kątem obietnic składanych przez Nawrockiego w kampanii wyborczej. Do tego opinie różnych organizacji domagających się podpisania, skierowania do Trybunału Konstytucyjnego lub zawetowania ustawy. I dopiero potem prezydent podejmuje decyzję. Sam jeden. I to działa.

Inaczej działa maszynka do nadawania odznaczeń i orderów. Tutaj odsiew następuje, jeszcze zanim wniosek trafi na biurko prezydenta. Co ciekawe, choć od upadku komuny mija czwarta dekada, to nadal istotnym czynnikiem w podejmowaniu decyzji jest wirówka w IPN. Bardzo ostra wirówka. Zasadniczo nikt, kto został zarejestrowany jako TW czy inny konfident, szans na ordery nie ma najmniejszych. Nawet jeśli poza zapisem o rejestracji nie zachowało się nic więcej. Podobna zasada obowiązywała za czasów prezydenta Andrzeja Sebastiana. A teraz obowiązuje jeszcze bardziej.

Tymczasem podział Polski 2050 na dwie części stał się faktem. O dziwo, żadna z nich nie nazwała się Polską 1025. A to przecież byłoby logiczne. Z drugiej strony coś, czego nie ma, nie może przyjąć żadnej nazwy. Cóż z tego, że rozłamowcy ogłosili się klubem Centrum. Każdy osesek z politologii wie, że mitycznego centrum w Polsce nie ma. Co było do udowodnienia.

Na zimowych igrzyskach olimpijskich Pan nie zawiódł i poniósł ministranta Kacpra Tomasiaka po kolejne medale w skokach. Ku zgryzocie ateistycznej lewicy. Zgryzota była jednak jeszcze większa w innej wpływowej grupie – wśród Niemców. Którym powiodło się w skokach na igrzyskach gorzej niż Polakom. Co oczywiście musieliśmy odnotować. My nie jesteśmy zaślepionymi nacjonalistami, nie chodzi nam o to, żeby zawsze wygrywali Polacy. Wystarczy, żeby nie wygrywali Niemcy.



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Nas zainteresował też wybryk komentatorów kanału Eurosport. Otóż w slalomie gigancie brał udział Nathan Tchibozo z Beninu. Który ma kolor dokładnie taki, jak się nazywa. Jego start wywołał wielkie zaskoczenie i wesołość wśród komentatorów Eurosportu. „Nie na co dzień ma do czynienia ze śniegiem” – rzekł jeden. „Nie idzie to w parze, dobrze go widać” – odparł drugi. Czekamy teraz na bojkot reklamodawców. Należałoby ukarać Warner Discovery za rasizm, nieprawdaż? Co najmniej tak, jak Republikę za jakieś wyimaginowane pierdolety.

Kolejny odcinek krakowskiej sagi przedreferendalnej. Otóż kibice Wisły Kraków zamierzali na jeden z meczów przygotować tzw. oprawę wymierzoną w obecnego włodarza miasta, czyli niejakiego Miszalskiego. I oto niespodziewanie dla inicjatorów (a są to chłopki nieułomki) zgłosili się kontr-inicjatorzy. Nasze wiewiórki określają ich jako bandziorów. No i kibice się odrobinę przestraszyli. Są jednak tacy, którzy odgrażają się, że oprawa jednak powstanie. Co ciekawe, jest jeden czynnik, który łączy kibiców Białej Gwiazdy z ich odwiecznym wrogiem, czyli Pasami, jak nazywają Cracovię. Obie grupy nie darzą sympatią włodarza grodu Kraka.

Z pewną taką satysfakcją odnotowujemy, że Dorota Wysocka-Schnepf, zwana Arcykapłanką propagandy, nie zobaczy na ławie oskarżonych jednego z Panów G. A konkretnie tego, który ujawnił, że ambasadorowa ordynarnie kłamała, pisząc, że jej syn tak się boi hejtu, że chce opuścić Polskę. Co było o tyle niemożliwe, że mieszka on i uczy się w Rzymie. Nawet żurkowa prokuratura uznała, że zawiadomienie się nadaje wyłącznie do kosza zwanego odmową wszczęcia. ©℗



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Inspekcje śmieciowe

W rywalizacji na najśmieszniejsze miasto w Polsce nieoczekiwanie awansowała Świdnica. Media donoszą o wspólnej akcji tutejszego urzędu miejskiego oraz urzędów skarbowych, ZUS i Straży Miejskiej, mającej na celu zweryfikowanie liczby osób zamieszkujących w mieszkaniach i domach. Czyżby wrócił znany z PRL obowiązek meldunkowy i z jakiegoś powodu to właśnie dolnośląskie miasteczko stało się, jak w tamtych czasach stolica, obiektem najazdu nielegalnie usiłujących się w nim osiedlić obywateli? Nie, na razie to kwestia opłat za wywóz śmieci. Władze Świdnicy ustaliły kiedyś, że opłata ma zależeć od liczby osób zamieszkujących w danym lokalu. Obecnie nabrały obaw, że obywatele ich oszukują i zaniżają deklarowaną liczbę, żeby płacić mniej. Zamiast pomyśleć o ewentualnej zmianie sposobu naliczania opłat, miejscowa władza straszy, że niezapowiedziane inspekcje miejsko-skarbowo-zusowskie, z udziałem nawet przedstawicieli szkół, będą wpadać z niezapowiedzianymi nalotami, a jak w jakimś mieszkaniu doliczą się większej niż zadeklarowana liczby osób, to naliczą mandaty, kary i odsetki za zaniżone opłaty do lat pięciu wstecz.

Najpierw spróbowałem sobie wyobrazić ogrom pracy, jaką będą musiały wykonać miejskie inspekcje, by udowodnić, że zastany na czyimś kwadracie wujek nie przebywał tam przypadkiem z wizytą, tylko nielegalnie zamieszkuje w lokalu, i to już od pięciu lat. Trzeba będzie przesłuchać świadków, założyć na lokal tzw. stałą obserwację, być może założyć podejrzanym podsłuchy albo małe kamerki, dokumentujące, ile osób naprawdę śpi w jednym świdnickim łóżku.

Zapowiada się szeroko zakrojona operacja specjalna, wymierzona w nielegalnie śmiecących oszustów. Nie uda się ona zapewne bez wzmocnienia sił policyjnych i bez wyasygnowania funduszy na śmieciowych konfidentów, inwigilujących podejrzane środowiska. A przy okazji wskazujących też władzy takich, którzy zamiast docenić jej starania, śmieją się z niej i podrywają autorytet. To przecież niedopuszczalne. ©℗



JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

MEN jak groźna sekta

Jeżeli ktoś sądził, że alarmistyczny ton ostrzegający przed edukacją zdrowotną to przesada, to dziś otrzymuje dowód. Koalicja na rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły ujawniła, jak wyglądają szkolenia nauczycieli przedmiotu edukacja zdrowotna, prowadzone przez Ośrodek Rozwoju Edukacji (podległy MEN). Zaprezentowane treści są kolejnym dowodem na wrogie przejęcie resortu edukacji przez genderowych ideologów. Tematem szkoleń była „Różnorodność płciowa w szkole – obowiązki i możliwości wsparcia uczniów". Tymczasem uczestnicy zamiast rzetelnej wiedzy o poważnym problemie cywilizacyjnym, którym jest epidemia zaburzeń identyfikacji płciowej, nie dowiadują się, jak pomagać dzieciom, lecz jak utrwalać w nich to zaburzenie. MEN bezrefleksyjnie forsuje (nawet wbrew woli rodziców) metodę „podążania za dzieckiem", za jego subiektywnymi stanami, rzekomo z szacunku i troski.

Jest to skrajna nieodpowiedzialność. To wpychanie dziecka w ślepą uliczkę, pozbawienie go przyszłości. Od kilku lat wiadomo, że pseudonaukowe ustalenia szajki ideologów nigdzie nie uzyskały potwierdzenia w długofalowych badaniach klinicznych. Po serii procesów za nieodwracalne okaleczenia i szkody, m.in. w Szwecji, Norwegii, Finlandii, Wielkiej Brytanii i w wielu stanach USA, obowiązuje zakaz stosowania blokerów dojrzewania i hormonów u osób niepełnoletnich. Szantaż wobec rodziców samobójstwem dziecka – „Czy wolicie mieć żywego syna trans czy martwą córkę?" – to najbardziej załgany argument. W grupie osób, które poddały się tranzycji, odsetek samobójstw jest 19 razy większy niż w analogicznej, bez tranzycji.

Dziś w to szaleństwo polskich uczniów wypycha nie jakaś zafiksowana sekta aktywistów, tylko Ministerstwo Edukacji Narodowej całą mocą swoich struktur. Według zapowiedzi od przyszłego roku przedmiot edukacja zdrowotna będzie obowiązkowy. ©℗

eprasa.pl 958d9fc47c

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Czarzasty zażył lecytynę



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

Marszałkowi Sejmu Włodzimierzowi Czarzastemu wraca powoli pamięć. Stop. Teraz właśnie przypomniał sobie, niebożę, że jest członkiem rady Fundacji Wielkiego Błękitu, której szefuje Marian Kubalica. Stop. Przypomniał sobie i wpisał do rejestru korzyści po publikacjach na ten temat. Stop. Kubalica to wielbiciel Putina, wychwala w mediach społecznościowych poszukiwanego przez społeczność międzynarodową zbrodniarza. Stop. Po tym i po nagłośnieniu biznesowej przyjaźni Czarzastego z pewną Rosjanką z Petersburga handlującą mieniem FSB trzeba przyznać, że fajnego ma Tusk koalicjanta. Stop. Trochę strach, co taki Czarzasty może sobie jeszcze przypomnieć…

Tusk razem z przyjaciółmi (w Berlinie też ma przyjaciół, a co?) przekonują, że bardzo nam się opłaca wziąć SAFE. Stop. Co prawda, nie eksponuje, że to wielomiliardowa pożyczka, którą spłacać mielibyśmy do 2070 r., że nie wiadomo, kto by na niej skorzystał, ale wiadomo, że Niemcy, nie akcentuje też, że po ewentualnej zmianie władzy moglibyśmy, czy raczej musielibyśmy, pożyczkę spłacać, ale wcale nie musielibyśmy kolejnych transz dostać, bo nie, że być może część zaciągniętej przez nas pożyczki szłaby na uzbrajanie Ukrainy. Stop. Być może dlatego nie eksponuje tych faktów, bo w swojej skromności nie chce nadmieniać, że Niemcy z zaciągnięcia przez nas tego toksycznego zobowiązania bardzo by się ucieszyli. Stop. Zobaczyć radość na twarzach niemieckich przyjaciół – bezcenne.

Mamy hit w sądach. Stop. Żurkowi nie podobało się orzeczenie sędziego Dariusza Łubowskiego w sprawie Europejskiego Nakazu Aresztowania Marcina Romanowskiego. Stop. Sędzia Łubowski się nie zgodził, ale zrobił coś więcej, bo w uzasadnieniu powiedział wprost, że w Polsce Tusko-Żurka mamy kryptodyktaturę. Stop. Niby czego nowego nie powiedział, ale Żurek z emocji się zagotował (korciło mnie, żeby napisać „skisł”, ale się powstrzymałem). Stop. Oczywiście nie wolno osądzać sprawy osądzonej, bo takie jest prawo. Stop. Co? Nie wolno? Żurek mówi: „Potrzymaj mi piwo!”. Stop. Prokuratura Żurka jeszcze raz wystąpiła z tym samym wnioskiem, ale zadbała, żeby sędzia był chyba zaufany. Stop. Losowania nie było, wyznaczono związaną z Iustitią Izabelę Ledzion, która co zrobiła? Stop. Otóż tak się złożyło, że zrobiła to, na co liczył Żurek. Stop. Chyba były kiedyś takie czasy, że rządzący mówili sędziom, jakie mają być wyroki? ©℗

eprasa.pl 958d9fc47c



ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

PORZUCONE DZIECI PRAWORZĄDNOŚCI

Chociaż na granicy Polski z Białorusią stoją płot i Straż Graniczna, a przepisy dotyczące sądownictwa nie zmieniły się o jotę, to nie słychać coś protestów tak głośnych wcześniej „aktorów zaangażowanych". Dlaczego? O tym opowiedziała Magdalena Cielecka w podcaście „Wojewódzki & Kędzierski". Ten pierwszy pytał aktorkę, czy czuje się „wykorzystanym dzieckiem liberalnej rewolucji". – Trochę nas ta nowa władza wykorzystała i porzuciła? – zagaił. – Podcięto mi skrzydła. Czuję to bardzo wyraźnie. Nie angażuję się tak, jak kiedyś, i nie dlatego, że mi się nie chce czy nie mam na to siły, ale straciłam pewien rodzaj wiary w to, że to coś da. Jeśli, to chciałabym, żeby robili to młodsi – przyznała 53-latka. – Mnie zniechęciły trzy duże słowa: prezydent Karol Nawrocki – stwierdził Wojewódzki. – Mnie też... Nie myślałam, że powiesz o tym, mnie również zniechęciło to niespełnienie obietnic, niedopracowanie tego, o czym była mowa, niespełnianie obietnic wyborczych, głównie w sprawie związków partnerskich. Pan prezydent Nawrocki też nie był moim kandydatem. Mnie to dołuje straszliwie, to skutkuje tym, że ja się odsunęłam od tego, a byłam lekko uzależniona. Teraz, jak słyszę, to nie chcę nawet tego tembru głosu słuchać – przyznała Cielecka. – Patrząc globalnie na to, co się dzieje ze światem, co się wydarzy, patrząc na tych, kto nami rządzi... Jeśli pojawi się jakaś poważna sytuacja zagrożenia, to w świetle tych nastrojów, komentarzy i podsycania antypatii związanych z naszymi innymi sąsiadami, to będzie bardzo źle – kontynuowała ze smutkiem. Smutek jednego jest radością drugiego. Czy jak to tam było.



FOT. WOJCIECH OLSZANKA/FAST NEWS

ANALITYCZKA POLSKICH DUSZ

Znają państwo Matyldę Damięcką? Z „tych" Damięckich? Pani Matylda od dłuższego czasu wciela się w „sumienie narodu" i poprzez swoje rysunki publikowane w mediach społecznościowych bierze udział w dyskusji politycznej – tak, nie znosi PiS, prezydenta i Kościoła (chyba bez zaskoczenia?). Aktorka pojawiła się w TVP Info, gdzie odniosła się m.in. do krytyki jej rysunku „My Polaki, cebulaki", według którego Polak składa się z warstw takich jak: kalesony, bigos, trauma pokoleniowa, wstyd, złość itp. Damięcka wskazała, że krytycy częściej dokonują interpretacji jej twórczości, a – jak zaznaczyła – „ilustracja absolutnie" nie oddaje jej myśli. – Najczęściej ludzie projektują na autora coś, co jest wewnętrznym jakimś albo bólem, albo nieprzepracowaniem, albo głębokim poczuciem niesprawiedliwości – powiedziała. Przekonuje, że tym, co ją napędza, jest poczucie niesprawiedliwości świata. W rozmowie z Mariuszem Szczygłem przyznała, że jej prace powstają z potrzeby wyrażenia emocji oraz refleksji nad codziennością. – To jest cudowne, że patrzę na swoje zdjęcia sprzed 10 lat i uświadamiam sobie, że w wieku 30 lat byłam przekonana, że coś wiem – znaczy, że ja tak samo, jak teraz wiem, ile nie wiedziałam. Trzeba trochę pokory, żeby samego siebie sprawdzać. Za 10 lat będę patrzyła to, co robiłam, to, co rysowałam pewnie, i to, co myślałam 10 lat wstecz z przekonaniem, że wszystko wiedziałam. Dlatego wolę myśleć, że jestem nieskończonym projektem – podkreśliła. Damięcka przekonuje, że jej prace nie mają celu osądzania, lecz raczej pokazują sedno zjawisk. – Ilustrując nas i nasze przywry, przywary, mówię też o sobie, mówię o nas wszystkich. Niestety, ci, którzy potem mówią najgłośniej, narzekają, to są osoby, które nie chcą tego zobaczyć i mają problem z tym, żeby skonfrontować się z częścią siebie, która tak naprawdę nie jest naszą winą – mówiła. Pani Matylda od psychoanalizy Polaków. Paradne.

DODA KAWALARKA

Na tle celebrytów aspirujących do zabawy w politykopublicystykę taka Doda wydaje się naprawdę OK. Przynajmniej dopóty, dopóki opowiada zabawne historyjki o przebojach z byłymi ukochanymi. W wywiadzie dla „Vivy!" wspomniała o głośnym rozstaniu z muzykiem Adamem Darskim. Rabczewska przyznaje, że nie miała litości, bo ten zdecydował się z nią zerwać po tym, jak trwała u jego boku w chorobie. „Nergal wygrał życie po moim tournée w zdobywaniu szpiku dla niego, a potem zostawił mnie w Dzień Kobiet przez telefon, więc postanowiłam spalić jego rzeczy na balkonie oraz wyrzucić jego rower górski z 6. piętra" – opowiada piosenkarka. Doda przyznaje, że choć działała pod wpływem silnych emocji, to nie żałuje tego, jak postąpiła. „Na wku.wie i na bardzo mocnej adrenalinie nie czujesz nic, co jest nieprzyjemne, ponieważ Twój organizm jest w trybie przetrwania. Nie czujesz bólu, zapachów, nic. W ogóle nie żałuję, że tak zrobiłam" – mówi. W tej samej rozmowie opowiedziała krótko o tym, jak potraktowała przed laty Radosława Majdana. „Ale to jest dopiero początek moich różnych sytuacji. Kiedyś mojemu pierwszemu mężowi poobcinałam wszystkie garnitury na szorty. A z klapek zrobiłam japonki!" – stwierdziła. ©℗

eprasa.pl 958d9fc47c



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, no i jak się macie w tym Wielkim Poście w tym katotalibańskim kraju? Za nami Środa Popielcowa, którą przeżyliśmy względnie spokojnie. Co prawda, obawialiśmy się, iż w drodze do korpo napadnie na nas ksiądz i posypie nam głowę popiołem, a my nie po to chodzimy raz w tygodniu do barbera na wyregulowanie linii zakoli, iżby nam jakiś ksiądz psuł fryzurę. Poza tym, o ile się dobrze orientujemy, popiół jest produktem procesu spalania, a więc nieekologicznego, a my nie chcemy mieć nic wspólnego z zatruwaniem planety.

W każdym razie do korpo dotarliśmy w spokoju, ale wewnątrz przywitał nas Nowy z Tarnowa, który ogłosił na zebraniu w open spejsie: Prochem jesteś i w proch się obrócisz, na co niestety jedna ze stażystek dostała ostrego epizodu neurotycznego, a inna zaczęła nerwowo pocierać nos.

My jesteśmy do Nowego przyzwyczajeni, więc nie zaskoczyło nas to ani trochę, iż nie szanując rozdziału Kościoła od korpo, próbuje nas tak agitować perspektywą wieczności. Poszliśmy więc sobie spokojnie do kuchni, iżby szybko zjeść śniadanie, i tutaj Nowy dostał mindfucka.

Zaczaił się na nas i zrobił nam kontrolę śniadaniowych bowli, myśląc, iż znajdzie w nich może produkty naruszające przepis o wstrzemięźliwości od pokarmów mięsnych. Zapomniało się biedaczynie, iż jesteśmy wege, więc nastroszył wąsy i orzekł, że wstrzemięźliwość to jedno, a post ścisły to drugie, że jak on dzisiaj żyje tylko o chlebie i wodzie, to my też możemy, i prawie że przemocą odebrał nam bowle, ale strączki mają dużo białka, a że dużo ich spożywamy, to jesteśmy silni i mu się nie poddaliśmy. Coś tam nas jeszcze postraszył ekskomuniką albo episkopatem (nie dosłyszeliśmy) i poszedł prześladować stażystów zaproszeniem na młodzieżową drogę krzyżową.



A w ogóle to śmieszna sprawa, iż gdy Nowy zapowiadał wcześniej, że nadchodzi Wielki Post, to byliśmy przekonani, iż w ramach kampanii marketingowej mamy przygotować obszerny wpis na fejsbunia xD. Popatrzcie no, jak to czasem słowa mogą mieć różne znaczenia, ciekawe, co nie?

Musimy się odnieść do wywiadu Marty Nawrockiej w TVN24. Nie widzieliśmy go, więc nasza wypowiedź będzie obiektywna i niezaburzona poznawczo. Przede wszystkim: czytamy w odpowiednich źródłach, iż Marta Nawrocka wypadła źle i my nie mamy, kochani, powodu, iżby nie wierzyć. Skoro autorytety się tak wypowiedziały, to najprawdopodobniej tak jest i tyle, nie ma co oglądać samemu, byłaby to w tej sytuacji strata czasu.

Nie przekonuje nas narracja, iż Nawrocka jest odważna, bo poszła do wrogiego TVN. Naszym zdaniem to cyniczna zagrywka, która miała na celu wykreowanie pozytywnego wizerunku, iżby namieszać różnym takim silnym razem w głowach, a jak wiadomo, ich współdzielona jaźń nie jest gotowa na nadmierne obciążenia myślowe.

Po wtóre – obserwujemy z boku ten dyskurs okołofeministyczny i nie zabieramy ofc głosu, iż jako biologiczni mężczyźni po prostu nie mamy prawa wypowiadać się w sprawach kobiet, ale tak sobie myślimy głośno, iż nie po to feminizm kształtował się przez tyle lat, iżby kobiety zachowywały się nieodpowiedzialnie, wychodziły za mąż za konserwatystów, tworzyły z nimi trwałe związki itd.

Nie wiemy, jak wam, ale nam się wydaje, iż tu jest przestrzeń do kolejnej kampanii nowoczesnego i radykalnego feminizmu pod hasłem: „Siostro, nie wychodź za konserwatystę". No bo potem sami widzicie, jakie zamieszanie i problemy z solidarnością, a przecież chyba nie o to w tym całym siostrzeństwie chodzi… ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

W czyjej Polsce?

Szymon, a ty to w której w końcu jesteś Polsce?
No jak, Donald – zawsze w biało-czerwonej!

Oj dobra, weź nie chrzań. O partię pytam. Bo sam się już pogubiłem.
Ale to jedno to nie jest Polska 2050, tylko Centrum.

No nie, tak to oni sobie tylko klub nazwali.
Znaczy – niby że są ciągle w mojej Polsce?

Biało-czerwonej?
Nie, 2050. Szymona.

Mnie już łeb rozbolał. Ustal tzw. stan faktyczny i wtedy pogadamy. Na razie podaj koniak z tej szafki, muszę przed Włodkiem chować, żeby nie wypił. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Czyli PiS-owcy chcą, żeby pedofil pomógł im wrócić do władzy. Prawdziwi chrześcijanie".

TOMASZ LIS, *publicysta, na X w kontekście oskarżeń wysuwanych w mediach pod adresem Donalda Trumpa w związku z aferą Epsteina*

eprasa.pl 958d9fc47c



FOT. PRESS OFFICE OF ISLAMIC REVOLUTIONARY GUARD CORPS/ANADOLU/GETTY IMAGES

IRAN KONTRA DONALD TRUMP

Mimo zakończenia dwóch rund negocjacji (6 lutego w Omanie i 17 lutego w Genewie) napięcie na Bliskim Wschodzie rosło w ubiegłym tygodniu z każdym dniem. – Iran musi całkowicie zrezygnować z programu nuklearnego. Tutaj nie ma dyskusji. Nie mogą mieć broni jądrowej. To proste, inaczej nie będzie pokoju na Bliskim Wschodzie. Powiedziano im, że nie mogą mieć broni jądrowej, powiedziano im to bardzo stanowczo – oznajmił w czwartek amerykański prezydent Donald Trump, zaznaczając, że decyzję o ewentualnym ataku na irańskie cele podejmie w ciągu 10–15 dni. – Możemy być zmuszeni zrobić kolejny krok albo możemy nie być zmuszeni. Może zawrzemy porozumienie – mówił gospodarz Białego Domu.

Według nieoficjalnych informacji prezydent Trump rozważa uderzenie na bardzo dużą skalę. W rejonie Bliskiego Wschodu Amerykanie rozmieścili już dziesiątki samolotów bojowych (F-15, F-16, F-22, F-35) oraz kilkadziesiąt latających cystern. Do baz w regionie wyruszyły także samoloty AWACS, samoloty transportowe C-5 i C-17 oraz specjalistyczne maszyny E-11 BACN (które pełnią funkcję powietrznych węzłów łączności). W rejonie operują już także olbrzymie amerykańskie lotniskowce (USS „Abraham Lincoln" oraz USS „Gerald R. Ford"), a także niszczyciele rakietowe oraz okręty podwodne. Z opisu mediów, zdjęć satelitarnych oraz z ruchów samolotów obserwowanych w popularnym serwisie Flightradar24 wynika, że tak dużych sił Amerykanie nie mieli w tym regionie od czasu inwazji na Irak w 2003 r. Według informacji amerykańskich mediów armia Stanów Zjednoczonych miała być gotowa do przeprowadzenia uderzenia na Iran już w sobotę 21 lutego. Rozmówcy portalu Axios prawdopodobieństwo wybuchu wojny w najbliższym czasie szacowali na 90 proc. Do wojny szykują się również Irańczycy, którzy korzystają m.in. z danych wywiadowczych dostarczanych przez Chiny. W zeszłym tygodniu przeprowadzili też manewry w Cieśninie Ormuz (na zdjęciu).

W czwartek zarówno premier Donald Tusk, jak i Ministerstwo Spraw Zagranicznych apelowali do Polaków przebywających w Iranie o natychmiastowe opuszczenie tego kraju. MSZ zwróciło się także do biur podróży, aby wstrzymały organizację wyjazdów do Iranu. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 958d9fc47c



eprasa.pl 958d9fc47c

Małopolska napędza przyszłość biznesu

Budowa nowoczesnego i spójnego ekosystemu wsparcia przedsiębiorców to jeden z priorytetów Samorządu Województwa Małopolskiego. Celem jest wsparcie rozwoju lokalnych przedsiębiorców i przyciągnięcie inwestorów z zagranicy. Kompleksowy system wspiera firmy na każdym etapie działalności: od innowacyjnego pomysłu, przez skalowanie działalności, aż po ekspansję międzynarodową i obsługę inwestorów. Dzięki takiemu podejściu innowacja przestaje być hasłem, a staje się realnym narzędziem napędzającym gospodarkę całego regionu

Firmy – zwłaszcza z sektora małych i średnich przedsiębiorstw – na różnych etapach swojego rozwoju mierzą się z wieloma barierami: brakiem kapitału, ograniczonym dostępem do wiedzy eksperckiej czy skomplikowanymi procedurami inwestycyjnymi. System wsparcia oferowany przez Małopolskę pozwala przedsiębiorcom skupić się na rozwoju innowacji oraz budowaniu przewagi konkurencyjnej. Dzięki temu przedsiębiorcy zyskują większą przewidywalność otoczenia biznesowego oraz – co najważniejsze – zwiększają przychody. Dla regionu pojawienie się nowych inwestorów to realne zwiększenie atrakcyjności: wzmacniają rynek pracy, a także lokalną gospodarkę. Są impulsem do poprawy infrastruktury, co w efekcie podnosi jakość życia mieszkańców. Spójny system wsparcia, wzmacniający konkurencyjność regionu w kraju i za granicą, tworzą projekty realizowane przez Samorząd Województwa Małopolskiego: „Business in Małopolska. Together for Future", „Małopolska GO!" oraz program #StartUP Małopolska. Wpisują się one w rozwój przedsiębiorczości i innowacyjności, które należą do filarów Strategii Rozwoju Województwa „Małopolska 2030".

PRIORYTET: INNOWACJE I PRZEDSIĘBIORCZOŚĆ

Jest oknem na świat eksporterów i Małopolskę dla inwestorów. Projekt „Business in Małopolska. Together for Future" odpowiada za ściąganie do regionu zagranicznych inwestorów, prowadzenie zintegrowanego systemu informacji oraz obsługi i wsparcia przedsiębiorców. Kluczowym elementem projektu Małopolskiej Agencji Rozwoju Regionalnego, Województwa Małopolskiego i Krakowskiego Parku Technologicznego jest rozwój portalu www.businessinmalopolska.pl, który publikuje informacje o możliwościach wsparcia małych i średnich przedsiębiorców z poziomu krajowego, regionalnego i lokalnego. System pozwala też na monitorowanie projektów eksportowych w regionie. W ramach projektu powstaje również „Przewodnik dla Inwestorów", prezentujący Małopolskę jako atrakcyjną lokalizację biznesową – z informacjami o rynku pracy, zachętach inwestycyjnych, strukturze gospodarki czy dostępnych funduszach europejskich. – Małopolska konsekwentnie buduje swoją pozycję jako lider innowacji i przedsiębiorczości, skutecznie przyciągając inwestorów oraz wspierając lokalne firmy w rozwoju i ekspansji zagranicznej. Stosujemy nowoczesne narzędzia, które integrują informację, promocję i realne wsparcie dla sektora małych i średnich przedsiębiorstw. To dowód, że dzięki współpracy i odważnej strategii Małopolska jest silnym, konkurencyjnym regionem gotowym na wyzwania przyszłości – zaznaczył marszałek województwa małopolskiego Łukasz Smółka.

SILNA MARKA INNOWACYJNEJ MAŁOPOLSKI

Równolegle do „Business in Małopolska. Together for Future" realizowany jest projekt „Małopolska GO!", którego zadaniem jest wzmacnianie eksportu i promocja innowacyjności. Budowa marki innowacyjnej Małopolski wzmacniana jest przez misje gospodarcze w Europie, Azji i Ameryce, spotkania z zagranicznymi partnerami i współpracę z zagranicznymi biurami handlowymi i placówkami dyplomatycznymi. Równolegle organizowane są regionalne konferencje i wystawy wynalazków, prezentujące potencjał badawczo-rozwojowy małopolskich firm oraz uczelni. – Wspieramy przedsiębiorców w odważnym wychodzeniu na rynki zagraniczne. Pomagamy w zdobywaniu kontraktów, budowaniu relacji i promocji innowa-

eprasa.pl 958d9fc47c

cyjnych rozwiązań. Chcemy, aby marka Małopolski była rozpoznawalna na całym świecie i kojarzyła się z innowacją – podkreślił marszałek Łukasz Smółka. Projekt zakłada konkretne rezultaty: wzrost liczby kontaktów biznesowych, podpisanych kontraktów zagranicznych, obsłużonych inwestorów oraz nowych miejsc pracy.

MAŁOPOLSKA STAWIA NA INNOWACJE DEBIUTANTÓW

Małopolska pamięta też o przedsiębiorcach stawiających na innowacje i rozpoczynających swoją działalność. Mogą oni otrzymać wsparcie w ramach programu #StartUP Małopolska. Pomoc jest dostosowywana do etapu działalności start-upu. Pierwsza ścieżka to tzw. inkubacja skierowana dla młodych firm (do trzech lat), które są na etapie pomysłu lub wczesnych testów produktu. Inkubacja pomaga w dopracowaniu pomysłu lub niezaawansowanej, działającej wersji produktu. Druga oferowana możliwość to akceleracja, przygotowana dla przedsiębiorców (do pięciu lat) z gotowym produktem, a nawet pierwszymi klientami. Akceleracja to przyspieszenie rozwoju działalności przez wsparcie sprzedaży i marketingu, przygotowanie do pozyskania inwestorów oraz poznanie z potencjalnymi partnerami biznesowych. Każdy uczestnik rozwinie swój projekt w oparciu o indywidualną ścieżkę rozwoju, opracowaną wspólnie z dedykowanym menedżerem inkubacji lub akceleracji. Dzięki połączeniu wiedzy, doświadczenia ekspertów oraz indywidualnego podejścia do każdego projektu uczestnicy otrzymują solidne fundamenty do budowy konkurencyjnego biznesu i osiągnięcia długofalowego sukcesu. – Inwestujemy w ludzi, wiedzę i innowacje. Dzięki #StartUP Małopolska młode firmy zyskują nie tylko kompetencje i mentoring, lecz także realne narzędzia do budowy skalowalnego, konkurencyjnego biznesu – podkreśla marszałek. W ramach programu #StartUP uczestnicy otrzymują m.in.: 30 godzin indywidualnego mentoringu, specjalistyczne warsztaty, usługi eksperckie o wartości do 20 tys. zł, udział w wydarzeniach branżowych i wizytach studyjnych, wsparcie dedykowanego menedżera rozwoju. Program realizowany przez województwo małopolskie we współpracy ze Startup Academy w ramach projektu „Małopolska Przedsiębiorcza" jest fundamentem działań związanych ze zwiększaniem długofalowej konkurencyjności regionu. #StartUP skierowany jest do firm działających w obszarze m.in. life science, energii zrównoważonej, przemysłu kreatywnego, a także w sektorach Gospodarki Obiegu Zamkniętego i Przemysłu 4.0. Premiowane są projekty wspierające przedsiębiorczość kobiet oraz równość i włączenie społeczne. Zwieńczeniem każdej edycji programu jest Demo Day – wydarzenie, na którym start-upy prezentują swoje rozwiązania przed publicznością i potencjalnymi partnerami.

SPÓJNY SYSTEM, REALNE EFEKTY

Połączenie projektów „Business in Małopolska. Together for Future", „Małopolska GO!" oraz #StartUP Małopolska tworzy komplementarny system wsparcia obejmujący: rozwój innowacyjnych pomysłów, profesjonalizację i skalowanie firm, ekspansję zagraniczną, kompleksową obsługę inwestorów oraz promocję potencjału gospodarczego regionu. Samorząd Województwa Małopolskiego nie tylko dystrybuuje środki europejskie, lecz także napędza współpracę między biznesem, nauką i administracją, budując silną, nowoczesną i konkurencyjną gospodarkę. Przedsiębiorcy – niezależnie od etapu rozwoju – mogą liczyć na profesjonalne wsparcie i partnerstwo, które przekłada się na konkretne wyniki: inwestycje i kontrakty. – Budujemy w Małopolsce kompletny ekosystem wsparcia dla firm: od pomysłu, przez rozwój produktu, aż po wejście na rynki zagraniczne. Przedsiębiorcy w Małopolsce znajdują realnego partnera w rozwoju – zaznacza Łukasz Smółka.



eprasa.pl 958d9fc47c

Pułapka na pierwszą damę



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Bezprecedensowa fala hejtu, która spadła na pierwszą damę Martę Nawrocką po wywiadzie udzielonym TVN24, jest skutkiem propagandy wtłaczanej do głów od miesięcy. Prym wiodą „feministki”

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl 958d9fc47c

Kobiety zawsze powinny rozmawiać. Mam nadzieję, że to się nie zmieni. A z hejtem, jak widać, jest jeszcze dużo do zrobienia" – tak dziennikarka TVN24 Joanna Kryńska skomentowała burzę wokół rozmowy z Martą Nawrocką. Autorka wywiadu przyznała, że pierwsza dama „w zasadzie powiedziała bardzo dużo o swojej aktywności i o tym, że dobrze by było, gdybyśmy się przyzwyczaili do tego, że pierwsza dama zabiera głos". „My czekaliśmy na taki głos. Jego bardzo długo nie było. Stąd może to poruszenie również, że tego głosu pierwszej damy w wielu ważnych kwestiach nie było" – stwierdziła Kryńska w rozmowie z „Faktem".

Choć żona obecnego prezydenta udzielała wywiadów już wcześniej, to po raz pierwszy poszła do medium, które można nie bez przesady określić mianem wrogiego wobec Karola Nawrockiego. Podjęte ryzyko, związane z chęcią budowania wokół postaci Marty Nawrockiej ponadpolitycznego porozumienia, nie zakończyło się sukcesem z trzech powodów. Po pierwsze, można było przygotować pierwszą damę do wywiadu lepiej. Nie idzie o wkładanie jej w usta zdań, z którymi się nie zgadza, czy odgrywanie roli kogoś, kim nie jest, ale o merytoryczne wypracowanie odpowiedzi na pytania, których można było się spodziewać (tutaj przede wszystkim wątek in vitro). Po drugie, konserwatywne zapatrywania Nawrockiej w kwestii życia poczętego musiały wywołać wściekłość. Po trzecie, najistotniejsze, krytycy pary prezydenckiej nigdy nie uznają Marty Nawrockiej za „prawdziwą pierwszą damę". Powód jest prosty i jest nim polityczna nienawiść do Karola Nawrockiego oraz całego reprezentowanego przez niego zestawu poglądów. Nawrocka mogłaby wypowiadać najbardziej okrągłe zdania i nie zawahać się ani razu, a i tak, nie ma wątpliwości, w oczach niechętnych byłaby „dziewczyną z blokowiska niegodną Pałacu".

KOBIETY KOBIETOM

W ataku na pierwszą damę prym wiodą kobiety często podkreślające swoją troskę o „prawa kobiet". Publicystka Eliza Michalik rozpoczyna od szpili w stronę dziennikarki, która przeprowadziła wywiad. – Joanna Kryńska nazwała krytykę, która na nią spadła po wywiadzie z Martą Nawrocką, hejtem. Nie – krytyka to nie hejt. I przy okazji tego fatalnego warsztatowo wywiadu warto o tym także porozmawiać, ponieważ coraz częściej ludzie, którzy coś źle zrobili w przestrzeni publicznej, pokazali brak warsztatu czy kompetencji – jak panie Kryńska i Nawrocka w tym wywiadzie zaczynają zamykać usta krytykom zarzutami o „hejt". Jedna z głównych różnic między krytyką a hejtem jest taka, że krytyka dotyczy weryfikowalnych rzeczy i odnosi się do standardów. Tak, krytyka może być bardzo nieprzyjemna i nadal nie być hejtem – przekonuje Michalik.

– Profesor Andrzej Leder zapytany kiedyś, czym jest inteligencja, odpowiedział, że to jest wysoka złożoność poznawcza. Umiejętność rozumienia, komentowania i przetwarzania wniosków. Widzenia wielu różnych perspektyw, wielu różnych spraw. Ten moment, kiedy dziennikarka zadaje pytanie, a Nawrocka po prostu go nie rozumie. Bo to są granice jej języka, jej świata, być może jej umysłu. Ona nie rozumie tego pytania, prosi o powtórzenie go – twierdzi Eliza Michalik.

Oskarża pierwszą damę o „niezwykle ubogi zasób słów". – Kiedy widzę prostackich ludzi, zawsze mam ubaw, a poznaję ich bez pudła, widać, że mają ubogie słownictwo, ubogi aparat mowy. Nie potrafią pewnych rzeczy wysłowić […]. I nagle ta osoba znajduje się w roli, do której nie dorasta – bo ona do tej roli nie dorasta. Nie zasłużyła na nią, nie została wybrana. I nagle zostaje zmuszona do wzniesienia się pięć poziomów wyżej i po prostu nie daje rady. To są za wysokie progi – stwierdza autorytatywnie publicystka.

Znacznie dalej poszła pisarka Manuela Gretkowska. W długim wpisie stosuje język pogardy i nienawiści, a także wspomina o tym, kto jest „prawdziwą parą prezydencką". „Wstawili ją do scenografii kapiącej złotem, ustrojonej kwieciem, jakby nie było innego kadru z pałacu tylko kaplica pogrzebowa w Las Vegas. Pięknie się to komponowało z jej hobby: oprócz rodziny lubi poświęcać czas strzelaniu, nie biciu po mordach w ustawkach. Szacun. Nadawałaby się na ochroniarkę prawdziwej pary prezydenckiej – Trzaskowskich (taki inteligencina w samoobronie nikomu w zęby nie przywali), a jeszcze lepiej Anne Applebaum z mężem (on to pewnie nosi jak Ziobro w majtkach nie gnata, ale atomówkę)" – rozpoczęła Gretkowska.

Im dalej, tym gorzej. „Marta nie musi publicznie się tłumaczyć ze statku miłości współmałżonka, bo pytania są kastrowane pod jej niepokalany wizerunek (biel fotela, biel kwiatów). Przedtem Ruchadło Leśne było wirtualnie poza pałacem, teraz naćpany Ruchacz może kręcić hujem żyrandol. Ktoś jednak postanowił ocieplić wizerunek prezydentowej. Tylko dlaczego słomą? Próbuję sobie wyobrazić naradę prezydenckich pijarowców: Melania pół filmu o sobie samej zajmuje się kokardą kapelusza i nie umie mówić po amerykańsku. Ty, Marta, jesteś polskojęzyczna, obciachu nie będzie. Załóż nogę na nogę, żeby wyglądało elegancko" – kpi pisarka.

Pojawiają się stwierdzenia, że „w głowie prezydentowej głębsze myśli się raczej nie kłębią" czy że „więcej czasu niż przygotowanie intelektualne zajęło maskowanie tego prasowaniem jej włosów, żeby się nie ruszały, gdy zarzucała nerwowo głową, łowiąc nią coś sensownego".

„Trema wywaliła korki i występ pomylił się Marcie N. z teleturniejem, poprosiła o następny zestaw pytań […]. W sprawie aborcji wykręcało ją z miną »Pani wi, pani rozumi«. No właśnie nie rozumi. Dlaczego mamy się mnożyć jak króliki? Bo prezydentowa była małoletnią matką, jak Matka Boska?" – kontynuuje Manuela Gretkowska.

Jej zdaniem ani Marta Nawrocka, ani Agata Kornhauser-Duda „nie były pierwszymi damami". Tę pierwszą określa mianem „zerówki". „Przed nią dopiero szkoła wypowiadania się, zachowania, reprezentowania narodu" – poucza. „Marta żyje w Polsce, zapytano ją więc w wywiadzie TVN-u o ulubionego bohatera. Wybrała papieża tuszującego pedofilię i przestępstwa seksualne. Co jest z tymi kobietami? Bycie żoną przestępcy i chama zabiera rozum?" – grzmi pisarka.

Dalej pada stwierdzenia, że „Andrzej i Agata Dudowie porozumiewali się za pomocą pierdnięć i stepowania". „Myślę, że w przypadku Nawrockich byłby to odpowiedni sposób komunikacji ze swoim elektoratem, bez obrażania inteligencji pozostałych: pierdnięcia i stepowanie, stepowanie i pierdnięcie" – zakończyła Gretkowska.

eprasa.pl 958d9fc47c

Głos w dyskusji na temat wywiadu Marty Nawrockiego zabrała też prof. Magdalena Środa. W jej wpisie jest mniej chamstwa i prostactwa, więcej za to poczucia wyższości. „Na wywiad prezydentowej Nawrockiej w TVN24 spuszczę zasłonę milczenia, bo była w nim więcej niż żenująca. Może lepiej, żeby wybrała rolę poprzedniczki, która na dziesięć lat straciła mowę i kompromitowała się tylko głupimi uśmieszkami przy swoim głupim mężu. Dlaczego nasze kolejne pary prezydenckie (pomijam Wałęsę) reprezentują coraz gorszy poziom: intelektualny, polityczny, retoryczny, etykietalny... Notuję drastyczny spadek, ku samemu dnu, z którym mamy obecnie do czynienia" – pisze rozgoryczona „feministka". Dalej Środa daje popis pogardy dla „wieśniaczek". „No to już wiadomo, czym zajmuje się pierwsza dama i przy czym powinna pozostać: właśnie odwiedziła Koło Gospodyń Wiejskich i wspólnie z paniami haftowała, robiła makatki i gotowała" – kpi, jak gdyby rękodzieło i kuchnia były czymś godnym pogardy (być może z perspektywy „Warszawki" tak widzi się świat).

FEMINIZM NA BOK

Największą jednak dyskusję, a jednocześnie krytykę wywołał tekst autorki licznych „prokobiecych" tekstów związanej z „Gazetą Wyborczą". Natalia Waloch radzi Marcie Nawrockiej na łamach „Wysokich Obcasów", aby ta… zamilkła. „Wywiad Nawrockiej w TVN24. Jako feministka rzadko radzę kobietom, by zamilkły. Dziś robię wyjątek" – tak zatytułowano felieton pełen „dobrych rad" i „troski". Waloch przekonuje, że „Nawrocka prawdopodobnie byłaby w stanie wypaść dużo lepiej, gdyby pozwolono jej być sobą: dziewczyną z gdańskiego blokowiska, która zbiegiem okoliczności znalazła się na stanowisku, na które nie jest gotowa". „Wywiadem w TVN24 potwierdziła przede wszystkim to, co wiele osób przeczuwało: że Pałac Prezydencki to za wysokie progi dla ludzi takich jak państwo Nawroccy" – oceniła dziennikarka, czym potwierdziła swoje uprzedzenia (choć później usilnie próbowała zaprzeczyć, że nie jest klasistką).

„Feministka" nie widzi żadnego usprawiedliwienia dla Marty Nawrockiej. Nie ma już „siostrzeństwa", „siły sióstr", to wszystko jest dla koleżanek po poglądach. „Nie da się tego katastrofalnego występu wytłumaczyć zdenerwowaniem. Tego rodzaju wywiady są nagrywane, pytania z góry znane, wreszcie nagranie można przerwać, by powtórzyć wypowiedź, która nie wyszła. Pani Nawrockiej nie wyszła jednak w zasadzie żadna wypowiedź. Jej polszczyzna i zdolność wyrażania myśli były tak złe, że mogłabym zacytować dosłownie kilka zdań bez redagowania i poprawek, reszta była niezgrabna, niegramatyczna, chaotyczna" – kontynuuje swój wywód.

Natalia Waloch dopatruje się próby zrobienia z pierwszej damy intelektualistki. „To się nie mogło udać. Dramatycznie zrobiło się przy tematach związanych z prawami reprodukcyjnymi. Pytana o dopuszczalność in vitro Nawrocka powiedziała, że jako szczęśliwa matka trójki dzieci nikomu nie chciałaby odmawiać możliwości bycia rodzicem. Gdy Kryńska nie odpuściła i dopytała, czy rząd powinien takim ludziom pomagać, finansując procedurę, Nawrocka zupełnie spanikowała, co dziwi, bo takie pytanie było do przewidzenia" – wskazuje. „Dostaliśmy jednak najbardziej żenujący moment całego wywiadu, w którym pierwsza dama po prostu się uśmiecha i nie wyduszając z siebie ani słowa, patrzy na Kryńską, jakby błagała o litość" – pisze autorka.

Jako wzór stawia Marcie Nawrockiej poprzednie pierwsze damy – Marię Kaczyńską za to, że „umiała się odnaleźć w trudnych politycznych tematach", Jolantę Kwaśniewską, „która potrafiła świetnie zjednywać sobie ludzi". Od Agaty Dudy, według Waloch, Nawrocka mogłaby nauczyć się… milczenia. „Z wywiadu z Joanną Kryńską nie da rady wyciąć jednej sensownej rolki, która by Martę Nawrocką postawiła w dobrym świetle. Jestem tym zdegustowana i rozczarowana, bo jako feministka z zasady nigdy nie doradzam kobietom, by były cicho. Dziś robię wyjątek" – podsumowała.

Tekst w „Wysokich Obcasach" odbił się echem niemal tak szerokim, jak sam wywiad żony prezydenta. Z Waloch polemizowała nawet Agnieszka Kublik z tej samej redakcji. „Pierwsza dama Marta Nawrocka w wywiadzie telewizyjnym zaliczyła kilka wpadek. Ale nie dałabym jej rady, by »zamilkła«" – pisze. „To świetnie, że Natalia Waloch poczuła się zdegustowana, już wie, jak i za co oceniać Nawrocką. Ale żeby feministka radziła »zamilknąć« kobiecie? Feministka mężczyźnie? Niefeministka kobiecie? Czy ktokolwiek komukolwiek może mówić, że lepiej, żeby milczał, jeśli ten nie łże i nie krzywdzi innych?" – pyta dziennikarka „Wyborczej". „Bo jeśli mówi to, co się nam nie podoba, czego nie pochwalamy, co – jak wiemy – potępią liberalne elity, to nie jest żaden powód. Jeżeli mówi głupio, niesładnie, to nie żaden powód. Większość publicznie gadających polityków (obu płci) tak właśnie się zachowuje" – zauważa dalej.

Waloch zarzucono nie tylko hipokryzję związaną z jej rzekomo prokobiecymi poglądami, lecz także klasizm (poszło o słowa: „Pałac Prezydencki to za wysokie progi dla ludzi takich jak państwo Nawroccy"). Odpierając krytykę, komentatorka tylko jednak potwierdziła, że prezydenturę uważa za coś należnego ludziom z wyższych sfer. – Wiedziałam, że będzie grubo, ale nie sądziłam, że aż tak […]. Dostaję komentarze, że jestem klasistką. Po pierwsze napisałam, że Marta Nawrocka jest dziewczyną z gdańskiego blokowiska. Czy się minęłam z prawdą? Raczej nie. Po drugie, czy to źle? Ja też jestem dziewczyną z blokowiska. Pisałam, że gdyby sztabowcy, Kancelaria pozwoliły być bardziej właśnie Nawrockiej w tym wywiadzie dziewczyną z blokowiska, wypadłaby dużo lepiej – rozpoczęła wywód. – Napisałam wprost, że Pałac Prezydencki to za wysokie progi dla Nawrockich. Czy ja uważam, że „człowiek z ludu" nie może zostać prezydentem? Może na tym właśnie polega piękno demokracji. Przypomnijcie sobie Wałęsów. Lech Wałęsa poniekąd był blokersem, ale myśmy mu wybaczali nieumiejętność wysłowienia się czasem, lapsusy, bo myśmy czuli, że za nim stoi idea, misja, walka o dobro społeczne. Jeśli chodzi o Karola i Martę Nawrockich, nie mamy poczucia, że za nimi stoi jakaś wielka wizja, idea, pęd do walki o społeczne dobro. Nie chodzi o to, że to ludzie z blokowiska, w Polsce większość z nas tam ma. Chodzi o staromodną zasadę, że na pewne urzędy wymagane były określone kompetencje merytoryczne, ale też pewien poziom obycia i manier […]. Nie chodzi o to, że ktoś jest zdenerwowany albo czasem czegoś nie wie. Jeśli chodzi o państwa Nawrockich, to stoi za nimi kibolstwo, szemrane znajomości,

eprasa.pl 958d9fc47c

kwestia kawalerki i ja nie uważam, że skoro oni są w Pałacu, to my powinniśmy na to machnąć ręką – wyjaśniała.

Według Natalii Waloch „poprawność polityczna nie polega na tym, że jeśli przed drzwiami opery zaparkuje furmanka, my mówimy »dzień jak co dzień, w zasadzie nic się nie stało«". Zakończyła stwierdzeniem, że „feminizm i siostrzeństwo nie polegają na tym, że zawsze bronimy każdej kobiety".

PUDŁA „NEWSWEEKA"

Wywiad z pierwszą damą w TVN24 został wyemitowany w sobotę 14 lutego. Dwa dni później, w poniedziałek, w kioskach pojawiło się nowe wydanie tygodnika „Newsweek" z Martą Nawrocką na okładce. Zapowiedziano, że czytelnicy poznają „tajemnice Marty Nawrockiej". Czego dowiadujemy się z tekstu Renaty Kim? Że Nawrocka jest spokojna, sympatyczna, raczej stoi z boku. Nie jest „zwierzęciem medialnym", to widać. Jak wskazano, „Gdańszczanie rozkładają ręce: nie znają Marty Nawrockiej. I nawet nie znają nikogo, kto mógłby ją znać". Wiadomo o niej niewiele, że pracowała przez 18 lat w skarbówce, uczęszczała do szkoły baletowej, jest rodzinna. Niemalże w tonie pretensji czytamy: „Ma starszego brata i dużo zawdzięcza swoim babciom, które zajmowały się nią, kiedy była dzieckiem, a potem opiekowały się także jej dziećmi". „O wiele rozmowniejsi są mieszkańcy robotniczej dzielnicy Siedlce. Tam Marta jest tą miłą dziewczyną, która wyszła za chłopaka stąd, Karola. I przez kilka lat, zanim kupili własne mieszkanie kilometr dalej, mieszkała u jego mamy: ona z mężem i małym synkiem z poprzedniego związku w jednym pokoju, a w drugim starsza pani Nawrocka z siostrą Karola Niną. Ludzie wciąż pamiętają, że kiedy Marta jeździła po okolicy rowerem z koszykiem na zakupy, zawsze pomachała im ręką" – opisuje Kim.

Rozmówca gazety kreśli „oficjalną wersję": „Oficjalna wersja jest właśnie taka: fajna, miła, ciężko pracująca osoba, która na dodatek wychowuje trójkę dzieci. Ostoja Karola. Nawroccy konsekwentnie trzymają się tej wersji. Od nich nigdy żadne rzeczy nie wyciekają, pełna dyskrecja".

Czytelnik może oczekiwać, że zaraz pozna prawdziwe oblicze pierwszej damy. Problem w tym, że z tekstu wynika, iż to właśnie prawda o Nawrockiej. Nie ma drugiego dna, wielkiego sekretu, innego życia. Pojawia się wątek kawalerki, ale trudno formalnie coś zarzucić żonie prezydenta. „Nie dowiem się więc, co była funkcjonariuszka KAS, która zwalczała przestępczość, czuła, widząc męża na zdjęciach w towarzystwie osób z gdańskiego półświatka. Czy w domu toczyły się na ten temat rozmowy? Czy jej lojalność wobec męża ma granice?" – pyta wyraźnie rozczarowana autorka tekstu.



Wywiad z pierwszą damą w TVN24 został wyemitowany w sobotę 14 lutego FOT. TVN24

I znów brak czegoś, do czego można przyczepić się na serio. Zostają zatem insynuacje: „Po wyborczym zwycięstwie męża Marta Nawrocka poinformowała, że przechodzi na mundurową emeryturę. Błyskotliwej kariery nie zrobiła. Dlaczego? Służby prasowe Pałacu Prezydenckiego nie odpowiadają na to pytanie".

Najpoważniej ma brzmieć powielana przez „Newsweek" plotka. „W szczycie kampanii na platformie X pojawił się wpis, z którego wynikało, że w 2020 r. umorzyła śledztwo w sprawie przemytu papierosów i alkoholu znanemu bandycie z Gdańska. Kiedy rozpętała się dyskusja, zaprotestowała Agata Jagodzińska, przewodnicząca Związkowej Alternatywy w KAS. Napisała, że to ordynarny fake news" – czytamy. Czyli znowu pudło.

POZYTYWNE ZASKOCZENIA

Wywiad i tekst o Marcie Nawrockiej napędziły falę hejtu. Choć na pierwszej linii ataku stanęły lewicujące kobiety i media krytyczne wobec prezydenta, to trzeba dostrzec, że nie wszyscy, którzy formalnie stoją po przeciwnej niż Nawroccy stronie, wzięli udział w nienawistnej kampanii. Wyłamał się poseł Lewicy Łukasz Litewka. „Miałem możliwość poznać i porozmawiać z Martą Nawrocką, odbieram ją jako osobę, która jest ciepła i serdeczna. Nie zazdroszczę jej, praktycznie z dnia na dzień musiała zostawić swoje »stare życie« i wejść w zupełnie inne, nieznane dotąd otoczenie – oczekiwania są ogromne. Widzę kobietę, która z podniesioną głową jest po prostu sobą. Autentyczną, otwartą i ciepłą osobą, która nie szuka kłótni i walki politycznej, a chce być kimś, kto łączy. Jest w tym naturalna, nie jest politykiem" – podkreśla parlamentarzysta. Litewka wskazuje, że dostrzega „dobre intencje i nieudawanie kogoś, kim nie jest".

Następnie zwraca się do Natalii Waloch: „Pani Natalio, buta, arogancja, odczucie podziału na ludzi lepszych i gorszych. Upewniła mnie pani tylko w przekonaniu, że Marta Nawrocka to Pierwsza Dama Polek i Polaków. Normalnych, tak pięknie zwyczajnych, uczciwych ludzi, którzy mają dość wojny polsko-polskiej".

Polemiczny wobec lewicowo-liberalnego mainstreamu głos wywołał reakcję. „Stanąłem dziś w obronie Pierwszej Damy i wiele osób na tym profilu poinformowało o rezygnacji z dalszego obserwowania oraz uwaga: udziału w zbiórkach i wpłat na chore dzieci. Nie na mnie, na dzieci. Przepraszam, że Was zawiodłem. Wy mnie bardziej" – napisał później Łukasz Litewka.

Pozytywnie zaskoczyła również Katarzyna Kotula. Sekretarz Stanu w KPRM zauważa, że „mówienie innym kobietom, że mają się nie wypowiadać, nie ma nic wspólnego z feminizmem". „Możemy się różnić. Możemy się nie zgadzać. Kłóćmy się i spierajmy. O poglądy. Punkty widzenia. Wartości, które niosą nas przez życie. Ale nie uciszajmy się" – zaapelowała.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 958d9fc47c



Z Anną Bryłką, posłanką Konfederacji do Parlamentu Europejskiego, wiceprezes Ruchu Narodowego
rozmawia Ryszard Gromadzki

Skończmy z propagandą sukcesu wokół SAFE

RYSZARD GROMADZKI: Koalicja rządząca forsuje z determinacją tzw. program SAFE. W jego ramach Unia Europejska ma w imieniu Polski zaciągnąć na 45 lat pożyczki na obronność w kwocie blisko 44 mld euro. Rząd Tuska przekonuje, że pożyczki mają skokowo wzmocnić potencjał obronny Polski i rodzimy przemysł zbrojeniowy. Według polityków obozu rządzącego wszyscy, którzy przeciwstawiają się przyjęciu programu SAFE, to zdrajcy lub głupcy. Inwektywy mają zagłuszyć poważne wątpliwości, które pojawiają się wobec programu?

ANNA BRYŁKA: Moim zdaniem w debacie publicznej przede wszystkim odczuwalny jest deficyt faktów na temat samego programu i wprowadzającego go rozporządzenia. Zajmuję się tą sprawą prawie od roku, czyli od momentu, kiedy podczas posiedzenia Rady Europejskiej w marcu 2025 r. podjęto decyzję, żeby zwiększyć wydatki na obronność. Na pewno pamięta pan wystąpienie przewodniczącej von der Leyen, która zadeklarowała wtedy, że Unia Europejska zamierza wydatkować na zbrojenia 800 mld euro. Z tej puli 650 mld euro oznaczało wzrost wydatków na zbrojenia w PKB poszczególnych krajów członkowskich. Pozostałe 150 mld euro stanowić miały pożyczki, które Unia zaciągnąć miała w imieniu krajów zainteresowanych udziałem w programie. Deklaracja przewodniczącej von der Leyen była odpowiedzią Unii Europejskiej na krytykę ze strony, rozpoczynającego wtedy drugą kadencję prezydenta USA, Donalda Trumpa, który wielokrotnie wytykał państwom Unii niedostateczne wydatki na obronę i w związku z tym żerowanie na amerykańskich podatnikach. Komisja Europejska, wykorzystując kryzys w relacjach z USA, wystąpiła po raz kolejny z inicjatywą zaciągnięcia wspólnego długu. Podobnie jak miało to miejsce w czasie pandemii COVID-19, w związku z tzw. Funduszem Odbudowy.

Oba te przedsięwzięcia, czyli wspólny dług zaciągnięty przez Unię wtedy w ramach Funduszu Odbudowy i program SAFE, łączy mechanizm warunkowości.

Fundusz Odbudowy z programem SAFE łączy dużo więcej. Po pierwsze, o czym w ogóle nie mówi się w debacie publicznej, to podstawa prawna, którą zastosowała Komisja Europejska w tej sprawie. Już to daje do myślenia. KE zastosowała tzw. szybką ścieżkę w oparciu o art. 122 Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej. Ta ścieżka polega na tym, że w całym procesie legislacyjnym pomija się Parlament Europejski. To znaczy, że będąc posłem do Parlamentu Europejskiego, nie mogłam w żaden sposób poprawić tego rozporządzenia.

Ten krok wpisuje się w szerszy trend, który narasta w Unii Europejskiej, związany z umacnianiem władzy Komisji Europejskiej i ignorowaniem traktatów stanowiących Unię Europejską.

Dokładnie. Ale przede wszystkim ten trend przejawia się w ignorowaniu jedynej, demokratycznie wybieranej instytucji Unii Europejskiej, czyli Parlamentu Europejskiego. Kroki zastosowane w sprawie mechanizmu SAFE przez Komisję Europejską spotkały się z dużym oporem Parlamentu Europejskiego. Dlatego w sierpniu ubiegłego roku jego przewodnicząca Roberta Metsola zaskarżyła Radę i Komisję Europejską w sprawie zastosowania złej podstawy prawnej przy wydawaniu rozporządzenia w sprawie SAFE. Oczywiście nie zawiesza to działania rozporządzenia, które weszło w życie w maju 2025 r., ale taka skarga w Trybunale Sprawiedliwości Unii Europejskiej jest. Pokazuje to, że nie ma zgody posłów do Parlamentu Europejskiego na to, żeby Komisja Europejska arbitralnie omijała kluczową instytucję w systemie podejmowania decyzji.

Skarga leży sobie w TSUE, ale liczy się Realpolitik. W tej sprawie rzecz sprowadza się do tego, że największym beneficjentem programu SAFE będą Niemcy, które same w nim nie uczestniczą, ale mają największy sektor zbrojeniowy w Europie.

Faktem jest, że Komisja Europejska stale zwiększa zakres swoich kompetencji, w tym wypadku o tak strategiczny sektor jak obronność. Polska przekazuje przecież swoje kompetencje w tym obszarze Komisji Europejskiej, która zaciąga wspólny dług dla uczestników programu SAFE. Oczywiście beneficjentem SAFE będą w największym stopniu przemysły obronne tych państw Unii, gdzie funkcjonują one w ramach silnych i rozbudowanych struktur gospodarczych. To nie jest tak, że dzięki pieniądzom z SAFE Polska będzie mogła lokować je tam, gdzie będzie chciała.

Skoro tak, to między bajki włożyć można opowieści rządzących, że pieniądze, które pożyczymy w ramach programu SAFE, trafią w większości do polskiej zbrojeniówki.

Właśnie to są kwestie, które trzeba było poprawić w rozporządzeniu wprowadzającym program SAFE. Jego zamysłem są wspólne zakupy przez co najmniej dwa państwa członkowskie Unii. Jest od tego wyjątek, czyli samodzielne zakupy przez jedno państwo

eprasa.pl 958d9fc47c



FOT. ADAM CHELSTOWSKI/FORUM

członkowskie. Ale ten wyjątek obowiązuje tylko do 30 maja.

To śmiesznie mało czasu, żeby przeprowadzić od A do Z tak skomplikowaną operację jak zawarcie dużego kontraktu zbrojeniowego.

Trudno mi ocenić, w jakim zakresie Polska przeprowadzi w ramach SAFE samodzielne zakupy, a w jakim wymiarze będą to zakupy wspólne, bo nikt z przedstawicieli rządu nie wypowiedział się precyzyjnie w tej sprawie. Domniemywam, że jeżeli ministrowie rządu Tuska mówią o samodzielnym ulokowaniu zakupów w ramach SAFE w polskim sektorze zbrojeniowym, to umowy muszą być zawarte do 30 maja. Mówimy o kontraktach wartych miliardy złotych. Po 30 maja w grę wchodzić będą już tylko wspólne zakupy z innym państwem członkowskim. Trzeba będzie znaleźć drugie państwo, które będzie chciało kupić dokładnie to samo co my, a poza tym nie będziemy mieć żadnych gwarancji, że to drugie państwo będzie chciało dokonać zakupów akurat w polskim sektorze zbrojeniowym. To są pytania, na które trzeba odpowiedzieć w pierwszej kolejności. Pamiętajmy, że w SAFE zapisany jest warunek, iż 65 proc. komponentów realizowanych w ramach zakupów musi być wytwarzanych w Europie.

Na razie większość nowoczesnego uzbrojenia, w które Polska zainwestowała w ostatnich latach, pochodziła z USA lub z Korei Południowej. Udział Polski w programie SAFE odwraca ten układ.

Pamiętajmy, że mechanizm SAFE został skonstruowany w sposób, aby zakupy zbrojeniowe przeprowadzać w Europie. Kluczową kwestią według mnie jest to, że nikt dokładnie nie policzył, co w praktyce oznacza wymóg 65 proc. europejskich komponentów w każdym programie operacyjnym realizowanym w ramach mechanizmu SAFE. Czy było to właściwie policzone na etapie składania wniosków do Komisji Europejskiej? Mam co do tego bardzo dużo wątpliwości. Jest jeszcze jedna ważna nauka, która wynika z praktyki rozdzielania pieniędzy należnych Polsce z Funduszu Odbudowy. Komisja Europejska pod byle pretekstem może arbitralnie odmówić wypłaty należnych nam środków, tym razem z programu SAFE. Na przykład uznając, że w Polsce nie ma praworządności.

Albo że łamiemy zasady „obowiązkowej solidarności", odmawiając wjazdu migrantom...

Lub że nie zorganizowano w Polsce „parad równości". To w zupełności wystarczy, żeby Komisja Europejska wstrzymała wypłatę Polsce zaliczek w ramach programu SAFE. Moim zdaniem rozporządzenie wprowadzające SAFE wymagało poprawek, powinniśmy mieć na etapie jego przygotowania możliwość wprowadzania dobrych rozwiązań. Tak się nie stało.

Mleko się rozlało? Czy jeśli prezydent Nawrocki zawetuje ustawę o przystąpieniu Polski do mechanizmu SAFE, to pozwoli to uchronić nasz kraj przed jego negatywnymi skutkami?

Weto prezydenta nie ma tu żadnego znaczenia. To rozporządzenie techniczne. Rząd współpracuje w tej sprawie z Komisją Europejską i Radą Europejską, która decyzją wykonawczą zatwierdziła polski wniosek. Sprawa toczy się już własnym torem. Obawiam się, że pozostało nam tylko spłacać pożyczki zaciągnięte przez Komisję Europejską.

Przez 45 lat.

Tak. Do 2070 r.

Jacek Saryusz-Wolski, doradca do spraw europejskich prezydenta Nawrockiego, przekonuje, że SAFE wymaga ustawy. Prezydencki doradca powołuje się na art. 89 konstytucji, który stanowi, że „ratyfikacja przez Rzeczpospolitą Polską umowy międzynarodowej i jej wypowiedzenie wymaga uprzedniej zgody wyrażonej w ustawie", jeżeli umowa dotyczy znaczącego obciążenia państwa pod względem finansowym.

SAFE jest dużym obciążeniem finansowym, natomiast cały mechanizm został przyjęty w trybie rozporządzenia, a następnie polski plan został zatwierdzony decyzją wykonawczą Rady Europejskiej. W przypadku KPO, czyli również wspólnego długu, przeprowadzono ratyfikację, zarówno przy SAFE, jak i pożyczce dla Ukrainy takiej procedury nie zastosowano.

Czy głównym celem przystąpienia Polski do programu SAFE nie jest w istocie dalsze finansowanie Ukrainy, która też jest uczestnikiem tego mechanizmu, za pieniądze, które będą spłacały kolejne pokolenia Polaków?

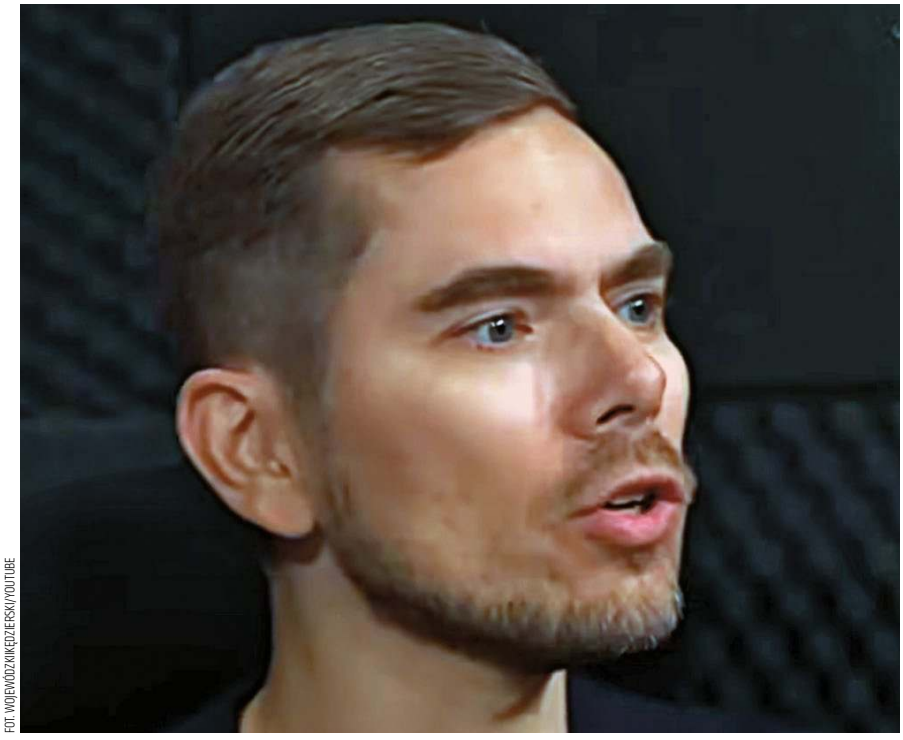
Zasadnicze pytanie, które powinniśmy sobie postawić, brzmi: Czy program SAFE faktycznie wzmocni polskie bezpieczeństwo? Mam co do tego duże wątpliwości. To jest gigantyczne zobowiązanie. Mówimy o kwocie 180–200 mld zł. W tym miejscu trzeba postawić kolejne ważne pytanie: Czy jako Polska jesteśmy w stanie zaabsorbować te pieniądze w naszym sektorze zbrojeniowym? Spójrzmy na ten rachunek chłodnym okiem, do wydatków na obronę na poziomie prawie 5 proc. PKB dokładamy dodatkowo 200 mld zł. Czy mamy zdolność, żeby wykorzystać te pieniądze? Co do Ukrainy, wiadomo, że jakaś pula pieniędzy trafi do Kijowa także w ramach SAFE. Niedawno Unia Europejska przyznała Ukrainie 90 mld euro pożyczki, głównie na programy zbrojeniowe. Ta pożyczka ma być spłacona w momencie, kiedy Rosja wypłaci Ukrainie reparacje, co raczej nigdy się nie wydarzy. W sprawie kolejnego wspólnego długu Polska powinna wziąć przykład z państw Grupy Wyszehradzkiej, Czech, Słowacji i Węgier i nie przystępować do tego mechanizmu „wzmocnionej współpracy". Warto odnotować, że państwa Unii na czele z Niemcami nie były zainteresowane SAFE. Być może bez udziału Polski ten program okazałby się totalną porażką. Skończmy zatem z propagandą sukcesu wokół SAFE, którą uprawia rząd Tuska, i bardzo uważnie patrzmy na ręce rządzącym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 958d9fc47c



Rafał A. Ziemkiewicz



FOT. WOJEWÓDZKIKĘDZIERSKI/YOUTUBE

Polska historia

Łatwość, z jaką rzucona przez znanego historyka, cokolwiek na boku, negatywna opinia o zajmującym się historią dziennikarzu rozpaliła nagle emocje i sprowokowała – niestety, nie tyle spór, ile internetową młóckę – pokazuje, że z naszymi zakłamanymi, ucukrowanymi i zmitologizowanymi dziejami jest podobnie

Negatywna opinia prof. Andrzeja Nowaka o twórczości Piotra Zychowicza wywołała nieoczekiwaną burzę w „prawicowym Internecie" i odnotowana została w ten czy inny sposób przez prawie wszystkie media i influencerów naszej strony politycznego sporu. Wydaje się to zaskakujące. Co prawda, potępienie profesora historii dla autora licznych popularyzujących ją publikacji ujęte zostało w słowach, jak na profesorskie standardy, niezwykle ostrych. Ale cóż takiego się stało, że akurat teraz? Nie pojawiły się przecież nowe ustalenia, nie odkryto nieznanych dotąd świadectw czy źródeł dotyczących epoki. Po prostu podczas długiego wywiadu w Kanale Zero, gdzie gości Andrzej Nowak regularnie, zapytano profesora, co sądzi o twórczości Piotra Zychowicza, a ten odpowiedział, że – w skrócie – sądzi bardzo źle. I to wystarczyło, by spór, do którego doszło po wydaniu ponad 10 lat temu książki „Pakt Ribbentrop-Beck", i – wydawało się – dawno się już wypalił, wybuchł z nową siłą. Niestety, nie jako starcie racji, a wyłącznie nowa fala obelg i złych emocji. Stało się tak, bo uczestnicy tego zadawnionego sporu ze strony „antyzychowiczowej" podchwycili słowa Andrzeja Nowaka jako argument rozstrzygający wreszcie ten spór po ich myśli. Skoro Andrzej Nowak z nami – to któż przeciwko nam?

POJEDYNEK NA MINY

To pokazuje, jak głęboko tkwi w Polakach nasza traumatyczna przeszłość i jak ugruntowany jest romantyczny mit, uświęcający ją i usprawiedliwiający. Problem nie w tym, że ten spór odżył bez żadnych nowych merytorycznych przesłanek – problem w tym, że nadal jest to pojedynek na miny i na argumenty „ad personam". Większość głosów wspierających Andrzeja Nowaka w krytyce Zychowicza miała charakter, delikatnie mówiąc, niegodny i insynuacyjny. Jak zwykle prześcignął w nich wszystkich nasz były redakcyjny kolega Piotr Gursztyn, skądinąd autor godnych uwagi książek na inne tematy, który – gdy na tapetę wchodzą sprawy związane z międzywojniem i wrześniem roku 1939 – popada z punktu w zacietrzewienie graniczące z tzw. małpim rozumem i który wykorzystał tę okazję, by „pojechać" po ojcu Zychowicza, a także obrzucić jego samego i jego rodzinę insynuacjami. Nie wierzę, żeby Andrzej Nowak życzył sobie takich akolitów.

Choć on sam nie jest bez winy, bo sięgając po zarzuty polityczne niejako przyzwolił na przekroczenie granicy pomiędzy krytyką publicystyki a, mówiąc potocznie, gnojeniem publicysty. Zarzuty, że Zychowicz manipuluje źródłami historycznymi, że dobiera je pod z góry założoną tezę, że szuka w historii prowokacji i sensacji, mogą być trafne albo nie, ale mieszczą się w kanonach normalnego, pożytecznego sporu. Ale zarzuty, że to, co Zychowicz pisze, „podoba się w Moskwie i Berlinie" i zyskuje mu popularność „wśród tych, którzy nie lubią polskiej historii", sprowadzają rzecz do poziomu internetowego trollingu. Różne rzeczy mogą się w różnych miejscach podobać z różnego powodu i nie powinno to wpływać na dociekanie prawdy. Czyż np. „ruch praw obywatelskich" w USA lat 60. i rewindykacje Martina Luthera Kinga nie podobały się w Moskwie? Przeciwnie, komunistyczne media lubowały się w nich do tego stopnia, że słowa „a w Ameryce biją Murzynów" weszły do repertuaru potocznych kpin z „realnego socjalizmu". Czy to znaczy, że dla ochrony

eprasa.pl 958d9fc47c



FOT. ALEX KUHN/ARTSERVICE/FORUM

jako wampir

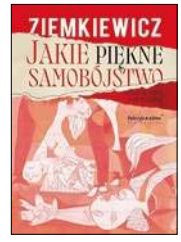
dobrego imienia swego kraju Amerykanie nadal powinni do dziś traktować Murzynów jak obywateli drugiej kategorii, zmuszać ich do posyłania dzieci do osobnych szkół i zajmowania w miejscach publicznych osobnych, oddzielonych od białych miejsc? Czy kiedyś będziemy fałszować historię o podłościach rządu Donalda Tuska i łamaniu prawa przez jego ministrów, bo za bardzo się ta historia spodoba w jakimś kraju odmawiającym nam politycznego rozumu i odpowiedzialności, niezbędnych, by być niepodległymi?

Piotr Zychowicz napisał po „Pakcie Ribbentrop-Beck" wiele książek, ale żadna z nich nie ściągnęła na niego tylu ataków i epitetów; jedynym wyjątkiem są „Skazy na pancerzach", w której Zychowicz wynajduje haniebne epizody w epopei „Żołnierzy Wyklętych". Powiem od razu, że co do zarzutów dotyczących rzetelności tej książki nie mogę się wypowiadać, gdyż sprawy nigdy bliżej nie śledziłem – mogę jedynie powiedzieć co do zasady, że nie jestem przeciwny pisaniu o ciemnych stronach nawet najbardziej chwalebnej historii, jeśli tylko pisanie to opiera się na prawdzie. Ale co do tematyki „Paktu…" śmiem twierdzić, że przez bez mała dwie dekady, odkąd usiadłem do pierwszych studiów i szkiców, które posłużyły napisaniu książki „Jakie piękne samobójstwo", a ostatnio przygotowaniu jej wznowienia, zgłębiłem temat wystarczająco, by kusić się o rozstrzyganie sporu.

WAŻNA ZASŁUGA

Wadą książki o wyimaginowanym pakcie sanacyjnej Polski z III Rzeszą jest to samo, co jest jej największą zaletą: chęć włożenia kija w mrowisko. Tu, mówiąc o „historycznej prowokacji", prof. Nowak ma rację, choć zapomina, że autor książek popularyzujących historię działa na odmiennych zasadach niż historyk naukowiec, i to, co dla drugiego jest uchybieniem, pierwszemu jak najbardziej przystoi. Wkładanie kija w mrowisko jest aktywnością dla debaty publicznej potrzebną i wskazaną, nawet jeśli wymaga złamania zasady „świętości nie szargać, to boli". Jak bowiem odpowiedział na to inny z naszych wielkich: „Trzeba narodowe rany szarpać, aby nie zarastały błoną podłości". Osobiście zamieniłbym tu ostatnie słowo: „aby nie zarastały błoną głupoty".

Zychowicz zmusił wielką liczbę pasjonatów historii do przemyślenia „ucukrowanej" wersji opowieści o upadku niepodległej Polski i do zastanowienia się nad prowadzoną wtedy „mocarstwową" polityką. To jego ważna zasługa. Ale po kilkunastu latach efekt „kija w mrowisku" i emocje powinniśmy przecież mieć dawno za sobą. Tym bardziej że stan naszej wiedzy o epoce znacznie się podniósł. Z licznych publikacji, które wzbogaciły go po roku 2012, roku pierwszego wydania „Paktu…", szczególnie wyróżniam dwie prace prof. Grzegorza Górskiego: „Wrzesień 1939 – nowe spojrzenie" i stosunkowo niedawną monografię „Kampania Wrześniowa" (obie wydane w cyklu „Monografie Akademii Jagiellońskiej"). Ich wartość polega m.in. na tym, że Górski wyrwał się wreszcie z zaklętego kręgu wspomnień, relacji i pamiętników polskich współsprawców katastrofy 1939 r., którzy na różne sposoby starali się wybielić siebie oraz swych przełożonych i ubrązowić narodową tragedię, która poniewczasie pogodziła nienawidzące się i wzajemnie prześladujące polityczne plemiona, nadać jej jakiś wzniosły sens, na użytek przyszłych pokoleń (co się zresztą, jak pokazuje skala ataków na Zychowicza, udało). Sięgnięcie po dokumenty z archiwów niemieckich i innych pokazuje, że wiele spraw miało się zupełnie inaczej, niż zwykliśmy uważać. Zarówno w sferze militarnej, gdzie zachowane niemieckie rozkazy i sprawozdania, dokładnie określające ruchy wojsk w kampanii, każą zrewidować jej przebieg i wiele usprawiedliwiających nieudolnego Wodza Naczelnego mitów, jak i w sferze dyplomacji,



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ „JAKIE PIĘKNE SAMOBÓJSTWO" FABRYKA SŁÓW 2025 (WYDANIE DRUGIE, UZUPEŁNIONE)

eprasa.pl 958d9fc47c

gdzie notatki dyplomatów niemieckich, a także włoskich, francuskich i angielskich dowodzą, że Józef Beck prowadził nieczystą, podwójna grę, dezinformując także swoich współpracowników i konspirując przeciwko Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi i Ignacemu Mościckiemu.

Trwałość emocji nabudowanych wokół zychowiczowego kija w mrowisku bierze się, jak uważam, z faktu, że kij ten wetknięty został w niewłaściwe miejsce. Zychowicz, czyniąc puentą swej książki wizję „historii alternatywnej", w której Polska wspólnie z Niemcami atakuje ZSRS, a następnie zmienia sojusz, przechodząc do obozu amerykańsko-brytyjsko-francuskiego, uczynił przedmiotem kłótni „Czy mogliśmy wejść w 1939 r. w sojusz z Hitlerem?".

Tak ujęty problem pozwala na efektowne darcie szat i wznoszenie plemiennych poryków oraz obfite korzystanie z obecnej wiedzy, co było potem, której oczywiście protagoniści spornych zdarzeń mieć nie mogli. Tylko że jest to spór idiotyczny i bezprzedmiotowy. Polska była – była! – w sojuszu z Hitlerem, od Anschlussu Austrii po rozbiór Czechosłowacji włącznie. Był to sojusz niewypowiedziany, niepotwierdzony żadnym paktem i być może dla Mościckiego, Rydza i Becka, nie mówiąc o umysłach w rodzaju premiera Felicjana Sławoja Składkowskiego, niezauważalny. Oni po porostu sądzili, że dopóki Hitler nam bezpośrednio nie zagraża, dopóty nie będziemy mu przeszkadzać, a nawet na jego awanturach skorzystamy. We wszystkich innych krajach odebrano to inaczej: zarówno Stalin, jak i kraje zachodnie oraz sam Hitler uważali zmianę sojuszy Polski z satelity Francji na satelitę Niemiec za przesądzoną, a polskie gesty zaprzeczenia odbierano tylko jako targowanie od Berlina lepszej ceny.

Wielkim oszustwem „romantyków" jest, że historię Września zaczynają od stycznia 1939 r., od „wielkodusznej propozycji" Niemiec, że w zamian za zgodę na przyłączenie Gdańska do Rzeszy i „korytarz" przez polskie Pomorze gotowe są nas przyjąć do paktu antykominternowskiego i zobowiązać się do wzajemnego z Polską uzgadniania swej polityki zagranicznej. Cała poprzednia gra Becka, która doprowadziła do tego, że zostaliśmy otoczeni z trzech stron przez niemiecką potęgę, skokowo powiększoną o jedną trzecią dzięki przejętej broni i przemysłowi Czechosłowacji, wzięci w kleszcze paktu Hitler-Stalin i pozbawieni realnych sojuszników, jest w ten sposób usuwana z pola widzenia czytelnika, jakby ta sytuacja wzięła się sama z siebie.

Elementem tej demagogii jest fetyszyzowanie, w ślad za Beckiem, sprawy Gdańska, który, gdyby nie niecierpliwość Hitlera, i tak w roku 1940, po zaplanowanym plebiscycie, wszedłby w skład Rzeszy z aprobatą Ligii Narodów i nic byśmy na to nie mogli poradzić – zresztą o niemieckich planach wobec Wolnego Miasta Beck wiedział od dawna i do czasu nie protestował. W istocie, uważam, że Górski udowadnia to bezspornie, nie chodziło Beckowi o Gdańsk, ale o Słowację, jako klucz do budowanego przez niego mocarstwa „międzymorza". Zapatrzony w ten miraż, zarazem, wzorem Piłsudskiego, nie wierząc w podpisywanie „świstków" i nie widząc potrzeby dzielenia się swymi zamiarami (notatki z tych samych spotkań w archiwach polskich i zagranicznych różnią się znacznie, Beck zapisywał tylko kilka ogólników, gdy w relacjach jego partnerów rozmowa była bardzo konkretna i zwykle o czym innym), został przez Niemcy w upokarzający sposób ograny i okpiony – Hitler i podpisywanymi paktami niewiele się przejmował, a co dopiero ustaleniami „na gębę".

Większość głosów wspierających Andrzeja Nowaka w krytyce Piotra Zychowicza miała charakter, delikatnie mówiąc, niegodny i insynuacyjny

STANĄĆ W PRAWDZIE

Zamiast „Czy można było wejść w sojusz z Hitlerem?" możemy więc tylko pytać, czy w kwietniu roku 1939, po bankructwie sanacyjnej polityki, należało go tak manifestacyjnie zrywać, będąc już otoczonym z czterech stron i mając brytyjskie gwarancje, które niczego nie gwarantowały i udzielone nam zostały cynicznie, tylko po to, by, jeśli nie da się powstrzymać agresji Niemiec, pchnąć ją na wschód i zyskać na czasie.

Czy ujawnienie prawdy o mocarstwowych urojeniach i głupocie sanacji podoba się dziś w Berlinie i Moskwie? Jeśli chodzi o mnie – to ostatnia rzecz, jaką powinniśmy brać pod uwagę. Ważne jest, że nie wolno nam wciąż uciekać od wskazywania win samozwańczej przedwojennej „przewodniej siły narodu", która nie tylko uczyniła polską codziennością cenzurę, fałszowanie wyborów, polityczne zbrodnie, krzywoprzysiężne sądy i jedyny w naszych dziejach obóz koncentracyjny, lecz także swym uporczywym pragnieniem zachowania monopolu władzy nawet po klęsce doprowadziła do szerokiego przyzwolenia Polaków na podeptanie przez Francję i Anglię polskiej konstytucji oraz suwerenności i narzucenie nam jako premiera na uchodźstwie tyleż zawistnego i małostkowego, co pozbawionego talentów i horyzontów umysłowych Władysława Sikorskiego.

Nasi dalecy przodkowie stworzyli w swych lękach postać wampira (tak, to nasz, słowiański wkład w światową demonologię): trupa, który czy to dlatego, że za życia dokonał nieukaranej zbrodni, czy też sam padł ofiarą zbrodni niepomszczonej, wyłazi z grobu i rozrabia, szkodząc żyjącym tak długo, aż nie zostanie należycie przebity osikowym kołkiem lub żelazem. Łatwość, z jaką rzucona przez znanego historyka, cokolwiek na boku, negatywna opinia o zajmującym się historią dziennikarzu rozpaliła nagle emocje i sprowokowała – niestety, nie tyle spór, ile internetową młóckę – pokazuje, że z naszą zakłamaną, ucukrowaną i zmitologizowaną historią jest podobnie. Dopóki nie staniemy w prawdzie, nie opowiemy jej sobie samym, nie zrozumiemy i nie przemyślimy, dopóty skazani jesteśmy na histeryczne wybuchy emocji i na powtarzanie starych błędów. Oby tym razem z mniej tragicznymi dla Polski skutkami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 958d9fc47c

Rewolucyjny krok czy unik?



Piotr Semka

Powołanie komisji było niezbędne wobec skali i drastyczności przypadków, które zaszokowały wiernych diecezji sosnowieckiej. Z tym większym zainteresowaniem oczekiwano pierwszego raportu. Czego się z niego dowiadujemy? A czego nie?

Dnia 12 lutego w kurii diecezjalnej w Sosnowcu ogłoszony został pierwszy, cząstkowy raport Komisji „Wyjaśnienie i naprawa". Komisja została powołana 28 października 2024 r., po objęciu diecezji przez nowego biskupa, Artura Ważnego. Na czele zespołu ekspertów stanął Tomasz Krzyżak, dziennikarz i publicysta „Rzeczpospolitej", który od wielu lat podejmuje temat nadużyć wobec dzieci i młodzieży w środowiskach Kościoła. Pozostała piątka członków komisji to: Aleksandra Brzemia-Bonarek, prawniczka, kanonistka z Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie; Michał Wolak, audytor; prof. Monika Przybysz z UKSW; historyk Marek Lasota i jedyna osoba duchowna w komisji – jezuita psychoterapeuta ks. Jacek Prusak.

Raport jest wynikiem prac w ciągu ostatniego roku i był wyłącznie dziełem komisji. Jak podkreślono, cały ten zespół ma charakter niezależny i na kształt jego ustaleń w żadnym stopniu nie wpływali ani biskup sosnowiecki, ani kuria. Dlaczego pierwsza taka komisja powstała właśnie w Sosnowcu? Diecezja sosnowiecka jest stosunkowo młoda. Została powołana 25 marca 1992 r. i przed obecnym jej gospodarzem miała tylko dwóch ordynariuszy: bp. Adama Śmigielskiego (1992–2008) i bp. Grzegorza Kaszaka (2008–2023).

Biskup Kaszak odszedł w atmosferze skandalu w 2023 r. i jest obecnie biskupem seniorem. Jego dymisję łączono z całą sekwencją nagłośnionych przez media skandali w środowisku kapłanów w tej diecezji, o stopniu drastyczności szokującym nawet na tle tego typu spraw z reszty Polski. Na przełomie 2022 i 2023 r. media donosiły o pobiciu w klubie gejowskim rektora seminarium duchownego w Sosnowcu, potem doszło do rozwiązania seminarium duchownego w okolicznościach do dzisiaj niewyjaśnionych, ale wiązanych z zarzutami wobec o wykorzystywanie seksualne kleryków przez przełożonych.

Jakby tego było mało, w tym czasie wyszła na jaw też orgia homoseksualna z udziałem kościelnego zwierzchnika sosnowieckiego, redaktora dodatku do jednego z tygodników katolickich, w której trakcie doszło do nieudzielenia pomocy „pracownikowi seksualnemu", który tej pomocy potrzebował z powodu przedawkowania substancji psychoaktywnych.

I wreszcie upiorny przypadek zabójstwa diakona przez innego kapłana, który po dokonaniu tego czynu sam popełnił samobójstwo.

Można było zatem uznać, że powołanie komisji było wręcz niezbędne wobec skali i drastyczności przypadków, które zaszokowały wiernych diecezji. Z tym większym zainteresowaniem oczekiwano pierwszego raportu komisji.

GORZKA PRAWDA

Biskup Artur Ważny podczas konferencji prasowej, na której zaprezentowano raport, zaznaczył, że jest to pierwsza część z całej przewidywanej serii opracowań. Jak szybko podkreślono, ten „cząstkowy raport" dotyczy wyłącznie oskarżeń o wykorzystywanie osób małoletnich i bezbronnych w strukturach kościelnych diecezji sosnowieckiej.

Dlaczego ograniczono się tylko do tego zakresu przewin? Odpowiadając na to pytanie, prof. Monika Przybysz wyjaśniała: „Krzywda dziecka zawsze domaga się najpilniejszej reakcji. Dlatego ten temat był dla nas najpilniejszy w opracowaniu". Co ujawnia opracowanie komisji? Po pierwsze – zidentyfikowano 29 osób, które są podejrzewane o rozmaite formy wykorzystywania seksualnego dzieci. W tej liczbie raport wymienia: „23 duchownych diecezjalnych, cztery osoby świeckie i dwie osoby z innych diecezji". Po drugie, liczbę skrzywdzonych ustalono na „co najmniej 50 dzieci". Jak precyzują autorzy tekstu – większość, czyli 96 proc. z nich, nie miała ukończonych 15 lat. Równie ważne jest inne stwierdzenie komisji, że spośród 19 księży, którym udowodniono winę, ukarano dotąd tylko sześciu, a jedynie dwóch wydalono ze stanu duchownego. W wypadku reszty – jeden otrzymał dożywotni zakaz posługi kapłańskiej i zakaz kontaktu z dziećmi. Kolejny duchowny dostał czasowy zakaz pracy z młodocianymi i kontaktów z nimi. Jednego księdza ukarano zakazem pojawiania się w parafii i kontaktów z dziećmi. I wreszcie ostatni z sześciu poddanych na razie rygorom został ukarany przez organy państwowe, a procedura kanoniczna wciąż trwa.

Członkowie komisji wyjaśnili, że mieli pełny dostęp do wszystkich dokumentów kurii sosnowieckiej od momentu jej powstania do końca stycznia 2026 r. Mogli przeglądać teczki personalne

eprasa.pl 958d9fc47c

duchowych, korespondencje kurii i wreszcie – akta postępowań kanonicznych. Poza tym mieli dostęp do dokumentów Wyższego Seminarium Duchownego Diecezji Sosnowieckiej, do dokumentów IPN oraz akt postępowań prokuratorskich i sądowych. prof. Maria Przybysz podzieliła się też opinią, że członków komisji zaskoczył duży nieład w dokumentacji kościelnej. Według pani profesor drugą zaskakującą rzeczą jest spora przewaga liczby przypadków skrzywdzenia dziewczynek (stanowią one 66 proc. w grupie pokrzywdzonych dzieci) nad chłopcami.

Jak ocenić skalę nadużyć? Tomasz Terlikowski, publicysta zajmujący się tą tematyką, wypowiadając się dla portalu Kanału Zero, stwierdził, że wyniki raportu nie są szokujące: „Trzy procent duchownych dopuszczający się takich czynów to wynik zbliżony do tych z innych diecezji. Nie zaskakuje też stosunek dziewcząt do chłopców wśród skrzywdzonych. Najciekawsze według mnie jest, że 13 z 19 sprawców kończyło inne niż sosnowieckie seminarium". Może to oznaczać, że okoliczni biskupi przenosili do świeżo utworzonego sosnowieckiego seminarium księży z problemami dotyczącymi zachowań seksualnych.

Ile było skandali obyczajowych, które nie otarły się o żadne złamanie prawa, które spowodowałoby interwencję policji czy pogotowia ratunkowego? Dlaczego zatem komisja nie zajęła się w pierwszej mierze takimi skandalami?

Na temat oceny skali nadużyć wypowiedział się też dr hab. Cezary Kościelniak, który często podejmuje kwestie problemów Kościoła. We wpisie na Facebooku tak skomentował ustalenia komisji: „Jeśli chat dobrze podaje, to w tej diecezji od czasu jej powstania [czyli od 1992 r. – przyp. P.S.] było ok. 600 księży, w tym ponad 400 żyje. A raport mówi o 50 przypadkach, z tego 23 to te, w których coś udowodniono lub podejrzewano. To oznacza, że nie 3 proc., a ok. 6 proc. księży jest w to uwikłanych [...] to jednak nie jest norma. Dalej: w tej diecezji jest zaledwie ponad 500 tys. wiernych (skorelowanie przypadków przestępców na liczbę wiernych). Dla porównania: archidiecezja katowicka liczy 1 mln 300 tys. wiernych, krakowska – 1 mln 500 tys. wiernych, co podwyższa jeszcze skalę problemu diecezji sosnowieckiej. Po tym raporcie bp Artur Ważny mógłby zlecić szeroki raport socjologiczny pozwalający uchwycić czynniki, które doprowadziły do rozkładu tej diecezji".

MIEJSCE SZCZEGÓLNE?

Wyniki raportu potwierdzają zatem przypuszczenia, że diecezja sosnowiecka była miejscem wyjątkowo niepokojących zjawisk. Ale raport cząstkowy dotykał wyłącznie sprawy wykorzystywania dzieci przez kapłanów lub osoby związane z Kościołem. Wszystko to wzbudziło pytanie, dlaczego zajęto się akurat tym aspektem sprawy, w sytuacji gdy najbardziej bulwersujące doniesienia medialne dotyczyły relacji wewnątrz stanu kapłańskiego? Pytania te wiązano niekiedy ze znaną niechęcią części komentatorów katolickich z kręgów Kościoła otwartego do poruszania tematu „lawendowych mafii" przy jednoczesnym superrygoryzmie w sprawach o molestowanie nieletnich.

W swoim komentarzu na portalu PCh24.pl Jan Pospieszalski przypomniał, jak sześć lat temu zwrócił się do rektoratu Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie z pytaniem, czy ks. Mariusz Trąba, który będąc rektorem sosnowieckiego seminarium, stał się bohaterem doniesień prasowych o bójce w klubie gejowskim, to ta sama osoba, która prowadzi na UP JP II zajęcia z historii Kościoła. Pospieszalski zacytował odpowiedź uczelni, że nie może ona potwierdzić, czy jest to ta sama osoba, gdyż w momencie zatrudnienia władze uniwersytetu nie dysponowały żadnymi skargami, które mogłyby wpływać na zatrudnienie wyżej wymienionego. W piśmie wyjaśniono jedynie, że zgodnie z obowiązującym prawem i w porozumieniu z wielkim kanclerzem uczelni, abp. Markiem Jędraszewskim, zdecydowano się rozwiązać umowę z ks. Mariuszem Trąbą. Ta dość mętna odpowiedź nie wyjaśniała, jak to było możliwe, że wobec nagłośnienia w mediach skandalu z klubu gejowskiego wspomniany kapłan mógł tak długo (pół roku) być jeszcze rektorem seminarium sosnowieckiego, a potem – tak jakby to była jakaś nagroda pocieszenia – pełnić przez stosunkowo długi czas funkcję wykładowcy na prestiżowej krakowskiej uczelni katolickiej.



Wszystko to skłaniać powinno teoretycznie do zajęcia się przypadkiem diecezji sosnowieckiej jako miejscem, w którym analiza braku mechanizmów ostrzegawczo-rygorystycznych doprowadziła do rozpowszechnienia się praktyk wyjątkowo demoralizujących dla stanu kapłańskiego. Czynów niegodnych stanu duchownego, ale niepenalizowanych przez prawo karne. Tak naprawdę wszystkie przypadki, które wyszły na jaw i które były głośne w mediach, dotyczyły sytuacji, gdy zdemo-

eprasa.pl 958d9fc47c



FOT. ADOBE STOCK

ralizowani kapłani przekroczyli prawo, jak wtedy, gdy np. nie udzielili pomocy zaproszonej na orgię męskiej prostytutce, bojąc się, że skandal wyjdzie na jaw. Ile jednak było skandali obyczajowych, które nie otarły się o żadne złamanie prawa, które spowodowałoby interwencję policji czy pogotowia ratunkowego? Dlaczego zatem komisja nie zajęła się w pierwszej mierze takimi skandalami?

„NIE PRÓBUJEMY NICZEGO ZAMIEŚĆ POD DYWAN"

Tomasz Krzyżak, szef komisji, pytany o wybór tematu pierwszej części raportu wyjaśnia: „Zakres misji naszej komisji był dość duży. W rozmowach z bp. Ważnym uznaliśmy, że zaczniemy od spraw wykorzystywania nieletnich. Nie oznacza to, że inne sprawy chcemy zamieść pod dywan". Jak wyjaśnia Krzyżak, właśnie w tych sprawach można było oprzeć się o dokumentację dotyczącą konkretnych spraw. „W innych sprawach będziemy musieli dokonać czegoś w rodzaju »kwerendy pamięci«. To np. sprawy dotyczące seminarium czy skandali opisanych w mediach. Proszę zrozumieć. To długie rozmowy na bardzo delikatne tematy".

Tomasz Krzyżak zaznacza, że samo opublikowanie pierwszej części raportu może zmienić reakcję osób, które dotąd wahają się z udzielaniem szczerych wyjaśnień. „Publikacja raportu pokazała, że nasza komisja nie jest wydmuszką. Mamy sygnały, że po naszej pierwszej konferencji niektóre osoby zdecydowały się jednak z nami rozmawiać".

Istotnie zadanie komisji jest niezwykle trudne i delikatne. Dotyczy środowiska kapłańskiego, które jest dość hermetyczne. Na dodatek część księży, która miałaby coś do ujawnienia, może być sparaliżowana świadomością, że może to sprowokować pytania w stosunku do nich samych. Dlaczego np. byli bierni wobec niepokojących zjawisk? Gdzieś w tle, prędzej czy później będzie musiała pojawić się kwestia moralnej odpowiedzialności biskupa seniora Grzegorza Kaszaka za tolerowanie czy brak zauważania występnych zjawisk wśród duchowieństwa jego diecezji. I jak sobie z tym poradzą zarówno komisja, jak i sama diecezja?

Komisja powstała w Sosnowcu jest pierwszym takim przypadkiem, nie licząc wcześniejszej komisji powołanej przez dominikanów we Wrocławiu do zbadania sprawy zakonnika Pawła M.

Na pewno komisja przeszła pierwszą próbę, próbując ustalić skalę pewnego tylko aspektu demoralizacji diecezji sosnowieckiej. Aspektu w tym sensie łatwo nadającego się do zbadania, bo dotyczącego konkretnych przestępstw, których postępowania podejmowały nie tylko organy kościelne, lecz także aparat ścigania państwa polskiego. Wyjaśnienie przypadków demoralizacji wewnątrz stanu kapłańskiego wymagać będzie szczerości ze strony świadków albo uczestników zepsucia. A tu komisja poruszać się będzie po znacznie mniej twardym gruncie.

Komisja powstała w Sosnowcu jest pierwszym takim przypadkiem, nie licząc wcześniejszej komisji powołanej przez dominikanów we Wrocławiu do zbadania sprawy zakonnika Pawła M.

To, jak radzić sobie będzie zespół pod kierownictwem Tomasza Krzyżaka, wpłynie na praktykę bądź kolejnych komisji diecezjalnych, bądź ogólnej komisji Episkopatu, której przewodniczy obecnie bp Sławomir Oder. Jest on obiektem ostrych kontrowersji wśród samych biskupów. To poruszanie się w niezwykle skomplikowanym labiryncie interesów, emocji i wreszcie lęków o odpowiedzialność za przewiny z przeszłości. Niełatwo się będzie w nim nie zagubić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 958d9fc47c

Śląska gwara to nie język



Andrzej Krzystyniak

Jaki był cel procedowania po raz drugi w tej samej kadencji Sejmu projektu ustawy o uznaniu śląskiej gwary za język, skoro finał był z góry przesądzony? Czy chodzi tylko o polityczne przedstawienie, w którym to znów będzie można oskarżać Polskę o tłamszenie śląskich aspiracji tożsamościowych?

Kolejna nieudana próba uznania śląskiej gwary za język regionalny, dodajmy, że to już druga próba w tej samej kadencji Sejmu. Zdumiewać musi upór wnioskodawców, którzy ponadto musieli doskonale zdawać sobie sprawę, że ich wysiłek pójdzie na marne, wszak prezydent Karol Nawrocki zapowiedział zawetowanie ustawy. Obserwując od samego początku grę wokół uznania godki śląskiej za język regionalny, można odnieść wrażenie, że wszystko odbywa się według ustalonego schematu. Początkowo mamy operowanie górnolotnymi frazesami o potrzebie ochrony śląskiego dziedzictwa kulturowego, nieustanne powoływanie się na kilkusettysięczną grupę mieszkańców Śląska (aczkolwiek nie tylko), którzy to w spisie powszechnym zadeklarowali używanie języka śląskiego. Zapewnienia o czystości intencji śląskich regionalistów, którzy to „nie są separatystami" ani też „ukrytą opcją niemiecką". Wszystko podlane sosem o potrzebie zrozumienia Śląska i Ślązaków, którzy to muszą borykać się z „brakiem akceptacji ze strony państwa polskiego".

Ten ostatni argument jest najczęściej podnoszony, gdy projekt ustawy zostaje zawetowany. Tak było w przypadku pierwszego weta prezydenta Andrzeja Dudy, tak jest obecnie, gdy projekt ustawy zawetował prezydent Karol Nawrocki. Zarzut, że on (czyli prezydent Karol Nawrocki) nie rozumie Śląska i Ślązaków, ma być najcięższym oskarżeniem.

KOGO REPREZENTUJECIE?

Nietrudno dostrzec, że narracja o śląskości autorstwa „regionalistów" jest zbudowana na odseparowaniu kulturowym Śląska od Polski, by nie rzec – na jawnej wrogości i proniemieckości. Polska w narracji Ruchu Autonomii Śląska i jego akolitów jawi się wręcz jako okupant, który od 1945 r., a dokładniej od momentu początków „tragedii górnośląskiej", represjonuje Ślązaków, odmawiając im prawa do tożsamości, zaczynając od zamykania Ślązaków w „polskich obozach koncentracyjnych". Przykładów tego typu narracji można by wymienić wiele. Czołowy piewca uznania języka śląskiego, wywodzący się z lewicy, obecnie europoseł Koalicji Obywatelskiej, Łukasz Kohut, nie kryje swej proniemieckości oraz oskarżeń wobec Polski o rzekome tłumienie śląskości, represje wobec mniejszości narodowych po 1945 r. itp.

Narracja o śląskości autorstwa „regionalistów" jest zbudowana na odseparowaniu kulturowym Śląska od Polski

Co ciekawe, uzurpujący sobie prawo do reprezentacji Ślązaków „regionaliści" nie potrafią przekonać do swych poglądów samych mieszkańców Śląska, ponosząc w wyborach kompromitujące klęski, by wspomnieć projekty pod nazwami: Zjednoczeni dla Śląska czy Śląska Partia Regionalna (partia w wyborach samorządowych w 2018 r. zdobyła w województwie śląskim ok. 50 tys. głosów), które nie potrafiły przekroczyć progu wyborczego w wyborach samorządowych. O tym fakcie skwapliwie milczą sprzyjające „regionalistom" media na Śląsku. Jak również o utracie reprezentacji politycznej Ruchu Autonomii Śląska w sejmiku województwa śląskiego, raczej już bezpowrotnie.

Zasadne wydaje się w tym wypadku pytanie: Kogo reprezentują domagający się dziś uznania języka śląskiego? Czy doprawdy kilkusettysięczna rzesza deklarujących posługiwanie się językiem śląskim zgadza się na takową reprezentację? Kto tak naprawdę nie rozumie Śląska i Ślązaków? Każdy, kto choć trochę zetknął się ze śląską gwarą, zauważył jej swoistą różnorodność, mnogość odmian, zada sobie przy tym pytanie, czy skodyfikowanie, czyli ujednolicenie kilku, a może nawet kilkunastu odmian w jeden język, uchroni bogactwo śląskiego dialektu od zaniku? Można wątpić nawet przy sporej dozie życzliwości; to raczej przyspieszy jego unicestwienie.

Trzeba być naprawdę bardzo naiwnym, by wierzyć, że po uznaniu śląskiej godki za język regionalny, a później, w konsekwencji, Ślązaków za mniejszość etniczną, „regionaliści" nagle zrezygnują ze swego konfrontacyjnego stosunku do państwa polskiego, uznają Polskę za swoją ojczyznę i zaczną nagle głosić swą sympatię względem Polski i Polaków. W reakcji na prezydenckie weto czołowy „propagator śląskości", Łukasz Kohut, oświadczył bez ogródek: „Prezydent napluł w twarz setkom tysięcy Ślązaków i Ślązaczek. Nawrocki zachował się jak zwykły ciul". Kohut zapowiedział jednocześnie „dalszą walkę o śląską tożsamość". Doprawdy trudno przejść spokojnie wobec takiego oświadczenia, jednocześnie powątpiewając, czy „setki tysięcy Ślązaków i Ślązaczek" akceptują wulgarne obrażanie prezydenta Rzeczypospolitej.

Co prawda, bez wulgaryzmów, ale jednak sztampowo i bez polotu skomen-

eprasa.pl 958d9fc47c

tował ruch prezydenta obecny marszałek województwa śląskiego, Wojciech Saługa z Koalicji Obywatelskiej, pisząc: „PiS boi się Śląska. PiS nie szanuje Ślązaków. Pamiętajmy o tym przy urnach wyborczych". To raczej prezydent Karol Nawrocki zdecydowanie lepiej zrozumiał Śląsk i Ślązaków, pojmując, jakie są prawdziwe cele uznania śląskiej gwary za język regionalny. Uczciwie trzeba przyznać, że nikt tak wiele nie zrobił dla zohydzenia własnej działalności oraz zniechęcenia do niej niż sami „regionaliści" swoją wrogością i pogardą wobec Polski oraz Polaków.

Zagadką pozostaje pytanie, dlaczego mimo marginalnego poparcia politycznego dla „regionalistów" głoszących odrębność Śląska i Ślązaków wobec Polski są oni grupą tak bardzo wpływową, wspieraną przez regionalne media na Śląsku, obsadzającą swoimi przedstawicielami kluczowe instytucje kultury w województwie śląskim, a przede wszystkim znajdującą upartych przedstawicieli swoich interesów wśród polityków Koalicji Obywatelskiej i ugrupowań lewicowych? Prosta kalkulacja polityczna powinna wykluczać tego rodzaju sojusz. A jednak, odrzucając logikę, Koalicja Obywatelska i lewica popierają dążenia oraz cele „regionalistów".

SŁUCHAJMY JĘZYKOZNAWCÓW

Na nic argumenty językoznawców, że nie można uznać za odrębny język gwary będącej dialektem języka polskiego. W maju 2024 r. na łamach „Do Rzeczy" (nr 21/2024) prof. Aleksandra Niewiara z Instytutu Językoznawstwa Uniwersytetu Śląskiego (będąca jednocześnie członkiem Komitetu Językoznawstwa i Komitetu Słowianoznawstwa Polskiej Akademii Nauk oraz Komisji Etnolingwistycznej przy Międzynarodowym Komitecie Slawistów) przypomniała, że w kluczowym dokumencie pod nazwą „European Charter for Regional or Minority Languages" z 1992 r., przyjętym przez Polskę w 2003 r., za język regionalny uznaje się język „tradycyjnie używany na terytorium danego państwa przez jego obywateli stanowiących grupę liczebnie mniejszą od reszty ludności tego państwa", „różniący się od oficjalnego języka tego państwa", ale jednocześnie niebędący dialektem oficjalnego języka tego państwa. Za języki regionalne w świetle prawa europejskiego nie uznaje się dialektów języka urzędowego.

Z kolei o polskości śląskiej gwary świadczy to, że zostały zaadaptowane do fonetycznego i fleksyjnego systemu języka polskiego (w tym jego dialektalnych odmian): wymawiamy je z polska, odmieniamy według reguł polskiej deklinacji. Opinię, że nie mamy do czynienia z językiem regionalnym, lecz dialektem, podzielają również językoznawcy: prof. Jan Miodek i prof. Jerzy Bralczyk, choć ten ostatni poddaje krytyce argumentację zastosowaną przez prezydenta Nawrockiego.

Jaki zatem był cel procedowania po raz drugi w tej samej kadencji Sejmu tego samego projektu ustawy, skoro finał był z góry przesądzony? Czy chodzi tylko o polityczne przedstawienie, w którym to znów będzie można oskarżać Polskę o tłamszenie śląskich aspiracji tożsamościowych? Czy naprawdę ktoś jeszcze wierzy, że inicjatorom tego typu działań chodzi tylko o zachowanie dziedzictwa kulturowego Śląska?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



eprasa.pl 958d9fc47c



Kacper Tomasiak jest najmłodszym w historii polskim medalistą zimowych igrzysk olimpijskich

FOT. JAVIER SORIANO/AFP/EAST NEWS

Rodzina na medal



Radosław Wojtas

Kibice skoków narciarskich, którzy przez ostatnie lata zastanawiali się, co „po Małyszu" i „po Stochu", liczą na to, że właśnie otrzymali odpowiedź. To Kacper Tomasiak, 19-letni wychowanek LKS Klimczok Bystra, ministrant i lektor w rodzinnej parafii, który kilka miesięcy po zdaniu matury zawiesił na szyi trzy olimpijskie krążki: dwa srebra i brąz. Ale to nie ostatnie sukcesy są w tej opowieści najważniejsze

Ten sezon miał być dla 19-letniego Kacpra Tomasiaka zbieraniem doświadczenia w starciu z najlepszymi. Docieraniem się młodego, obiecującego skoczka. Kiedy w listopadzie ubiegłego roku udzielał wywiadu TVP Sport, mówił, że „wciąż ma rezerwy w locie". – Mam trochę do poprawy, natomiast jest dużo lepiej niż rok temu – mówił. I dodawał: – One [rezerwy] wciąż są. Na pewno nie tak duże jak w poprzednich latach, ale z pewnością są. Jeśli uda się je wykorzystać, to będzie naprawdę fajnie.

Nie pomylił się. Całkiem „fajnie" było już w Pucharze Świata – Kacper Tomasiak zajmuje 14. miejsce w klasyfikacji generalnej. Jest najwyżej notowanym skoczkiem z Polski, wyprzedza Kamila Stocha (25. miejsce), Piotra Żyłę (29. miejsce), Macieja Kota (36. miejsce), Dawida Kubackiego i Pawła Wąska (zajmujących ex aequo 39. miejsce), Aleksandra Zniszczoła (66. miejsce) oraz Klemensa Joniaka (67. miejsce). Ale naprawdę „fajnie" zrobiło się na igrzyskach olimpijskich w Mediolanie i Cortinie d'Ampezzo. Chyba tylko najwięksi optymiści wierzyli, że polscy skoczkowie mogą stanąć na podium, a już scenariusza, że 19-latek przywiezie z Italii trzy krążki, nie rozpatrywał chyba nikt.

Nic dziwnego, że popularność tego młodego sportowca z dnia na dzień eksplodowała. I to nie tylko za sprawą wyników. Duże zainteresowanie wzbudziły zdjęcia, które ks. Edward Pleń, krajowy duszpasterz sportowców, opublikował w mediach społecznościowych. To fotografie z dziękczynnej Mszy Świętej odprawionej w dniu poprzedzającym ostatni start naszego medalisty na igrzyskach. – To była bardzo wzruszająca Msza Święta. Kacper był lektorem i chciał podziękować Bogu za medale – powiedział w rozmowie z „Faktem" ks. Edward Pleń.

DOM NA SKALE

Kacper Tomasiak nie kryje się ze swoją wiarą. Przed każdym skokiem wykonuje znak krzyża. W rodzinnej parafii – pw. Najświętszego Serca Pana Jezusa w Bielsku-Białej – służył do Mszy św. jako ministrant, a później jako lektor. Kiedy cała Polska trzymała kciuki, Duszpasterstwo Liturgicznej Służby Ołtarza Diecezji Bielsko-Żywieckiej wzywało do innego wsparcia. „Otoczmy modlitwą Lektora z naszej Diecezji, skoczka narciarskiego Kacpra Tomasiaka, który już jutro rozpocznie zmagania na Zimowych Igrzyskach Olimpijskich! Drogi Kacprze, tak jak Ty niosłeś kadzidło przed Panem, tak teraz On niech Cię niesie daleko i bezpiecznie! PS Jesteśmy z Ciebie bardzo dumni i dziękujemy za Twoje świadectwo wiary!"– zaapelowali w mediach społecznościowych. Post zilustrowano zdjęciem z procesji Bożego Ciała. Na pierwszym planie Kacper Tomasiak niesie kadzidło przed monstrancją z Najświętszym Sakramentem.

– Zdjęcie ma dwa, trzy lata. Wybraliśmy je specjalnie, bo pięknie pokazuje, kim Kacper był i jest – powiedział w rozmowie z „Faktem" ks. Przemysław Gawlas z parafii Najświętszego Serca

eprasa.pl 958d9fc47c

Pana Jezusa w Bielsku-Białej. – Bardzo ułożony, spokojny, dojrzały jak na swój wiek. Jako ministrant był solidny i obowiązkowy. Taki, na którego zawsze można było liczyć. On nie robił „przypałów". Spokojny, normalny chłopak. I może właśnie dlatego dziś jest tam, gdzie jest – kontynuował kapłan.

Jest tam również dzięki rodzinie. Jego ojciec, Wojciech Tomasiak, biegał na nartach, później został trenerem kombinacji alpejskiej oraz skoków, obecnie pracuje w Szkole Mistrzostwa Sportowego w Szczyrku. To on był pierwszym trenerem syna, a właściwie synów, bo w tej rodzinie skacze nie tylko Kacper, lecz także dwaj jego bracia – Konrad i Filip. Oprócz nich Kacper, najstarszy z pięciorga rodzeństwa, ma jeszcze siostrę i najmłodszego w rodzinie brata. – Na samym początku trochę był trenerem – mówi o swoim tacie. – Teraz natomiast czasem mnie uspokaja, pomaga przeciwstawić się presji. Dziś to trochę taki psycholog. Od początku kariery rodzice mnie wspierają. Miałem pod tym względem szczęście.

Mama medalisty olimpijskiego, Kinga, skończyła pedagogikę, odgrywa rolę dietetyka i psychologa. Wspiera syna mentalnie, jest strażniczką normalności, dba o pozasportowy rozwój skoczka. – [Kacper] pochodzi z bardzo fajnej rodziny, wszyscy go wspierają, sportowo są poukładani – mówi Adam Małysz.

– Nie mamy parcia na szkło. Chcemy być normalni, aby nie zatracić tego, co mamy wypracowane w domu – mówił w jednym z nielicznych wywiadów Wojciech Tomasiak.

ALLELUJA I DO PRZODU!

To fundamenty, na których można budować charakter prawdziwego mistrza. Talent przejawiał od dziecka. Pierwsze zawody wygrał w lutym 2013 r. w wieku sześciu lat na skoczni K-12 w Łabajowie. Startował w nich ze skoczkami starszymi o dwa lata. Jako 12-latek w 2019 r. pojechał do Ruhpolding na nieoficjalne mistrzostwa świata dzieci i zdeklasował konkurencję. Wrócił ze złotem. Już wtedy zaczęły się nim interesować media, szukać w nim kolejnego Małysza. To jest moment, w którym wiele karier zaczyna się chwiać. Pamiętamy Klimka Murańkę, który miał 10 lat, gdy okrzyknięto go zbawcą, a potem przez dekadę walczył, by w ogóle zaistnieć w dorosłym sporcie.



Kacper Tomasiak podziękował Bogu podczas Mszy dziękczynnej sprawowanej przed jego ostatnim startem na igrzyskach FOT. EDWARD PLEŃ/FACEBOOK

Tomasiakowie odrobili tę lekcję. Kacper zamiast do telewizji śniadaniowych jeździł na treningi. Zamiast udzielać wywiadów o swoich marzeniach, odrabiał lekcje. Przejście do wieku juniora, a później do startów z najlepszymi w jego przypadku przebiegło nadzwyczaj łagodnie, choć nie bez turbulencji. Od ubiegłego roku wszystko układa się fantastycznie. Najpierw w życiu pozasportowym: Kacper rozpoczął studia na Akademii Kultury Fizycznej w Krakowie po dobrze zdanej maturze. – Zdawałem polski, matematykę i angielski. Do tego rozszerzenia: angielski, matematyka i biologia, choć te już bardziej, aby spróbować. Z podstawy w każdym miałem ponad 90 proc. Z rozszerzenia też poszło mi nieźle, może z matematyki nieco słabiej, ale nie nastawiałem się tam na coś ekstra – mówił w rozmowie z TVP Sport.

Potem przyszły sukcesy sportowe. 14 września 2025 r. w Stams po raz pierwszy wygrał konkurs Letniego Pucharu Kontynentalnego. W tych zawodach stawał na podium jeszcze dwukrotnie, zajmując kolejno 2. i 1. pozycję, co ostatecznie przyniosło mu zwycięstwo w całym cyklu. 25 października 2025 r. w Klingenthal zadebiutował w Letnim Grand Prix, a 22 listopada zdobył punkty w swoim pierwszym indywidualnym starcie w Pucharze Świata, w konkursie w Lillehammer zajął 18. miejsce. 7 grudnia w Wiśle jeden z konkursów ukończył na 5. miejscu.

Potem były już sukcesy na zimowych igrzyskach olimpijskich. Miał 19 lat i 25 dni, gdy 9 lutego zdobył srebro w Predazzo, zostając najmłodszym od 1992 r. skoczkiem, który wywalczył medal igrzysk w konkursie indywidualnym i najmłodszym w historii polskim medalistą zimowych igrzysk olimpijskich (do tej pory rekord należał do Wojciecha Fortuny, który sięgnął po złoto na igrzyskach w 1972 r., mając 19 lat i 193 dni). W walentynki zdobył brąz w konkursie indywidualnym na skoczni dużej, a dwa dni później – razem z Pawłem Wąskiem – srebrny medal w konkursie duetów. Tym samym Kacper Tomasiak został czwartym polskim olimpijczykiem w historii – obok Ireny Szewińskiej, Otylii Jędrzejczak i Justyny Kowalczyk – który podczas jednych igrzysk sięgnął po trzy medale.

POD PRESJĄ

To wszystko sprawia, że za każdym razem, gdy Kacper Tomasiak będzie siadał na belce startowej, skupione na nim oczy kibiców będą od teraz widziały nie młodego, świetnie zapowiadającego się skoczka, ale olimpijskiego medalistę, po którym można spodziewać się najlepszych skoków. Kogoś, kto mógłby powtórzyć sukcesy Adama Małysza czy Kamila Stocha. To duża presja nawet dla doświadczonego sportowca, a co dopiero dla nastolatka. Ale właśnie te solidne fundamenty: wartości, wiara, wsparcie rodziny, mogą mu bardzo pomóc. – Nikt nie ma takiej głowy jak on. Na takich zawodach jak igrzyska widzisz wokół siebie, jak brylują ci najlepsi, i wydaje ci się, że mogą wszystko, a ty jesteś jeszcze niedoświadczony. U Kacpra tego nie ma, on wykonuje swoje zadanie. To mają nieliczni – stwierdził niedawno Adam Małysz.

Jeszcze przed igrzyskami ojciec skoczka mówił: – Kacper ma taki charakter, że mocno i twardo stąpa po ziemi. Wie, na co go stać. Wie, co robić, żeby było dobrze. I czego nie robić. Wiadomo, teraz jest fajnie. A co będzie, jeżeli przyjdzie dołek? Co wtedy? W takiej sytuacji zawodnik też musi sobie radzić. W szkole mieliśmy dużo talentów, które gdzieś tam po drodze niestety przepadały. Od zgiełku czasami uciec nie sposób, ja i żona prosimy jednak o spokój. Dajmy Kacprowi spokojnie się rozwijać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 958d9fc47c

Ewangelizacja na ekranie



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Agnieszka Golańska-Bault

Reżyser Steven Gunnell żartuje, że czuje się jak członek zakonu rycerskiego, ale jego bronią jest nie miecz, lecz kamera

Jeszcze kilka miesięcy temu sama myśl, że fabularyzowany dokument poświęcony tematyce religijnej, a ściślej rzecz biorąc – kultowi Najświętszego Serca Jezusa, może stać się kinowym hitem w zsekularyzowanej Francji, wydawała się niedorzecznością. Film Sabriny i Stevena Gunnellów pod francuskim tytułem „Sacré Coeur" („Najświętsze Serce") wszedł na ekrany francuskich kin 1 października 2025 r. i w ciągu zaledwie dwóch tygodni zobaczyło go niemal 200 tys. widzów (do połowy stycznia było ich już ponad 470 tys.). Sukces ten zaskoczył wszystkich, w tym samych realizatorów, zwłaszcza że wyprodukowanie i wypromowanie katolickiego filmu we Francji jest nie lada trudnym przedsięwzięciem.

Ta niskobudżetowa produkcja sfinansowana została w ogromnej części z datków osób prywatnych, fanów wcześniejszych religijnych produkcji małżeństwa Gunnellów, a w części, co umożliwiło jej sfinalizowanie, przez Canal Plus. Wymarzona przez reżyserski duet kampania plakatowa w paryskim metrze okazała się poza ich finansowym zasięgiem. Agencje reklamowe obsługujące transport publiczny postanowiły jednak zrobić twórcom swoistą przysługę: od razu odmówiły zawieszenia plakatów reklamujących film w metrze i na dworcach kolejowych, argumentując, że religijny i rzekomo prozelityczny charakter produkcji jest nie do pogodzenia z zasadą neutralności usług publicznych.

O filmie zaczęło robić się głośno. W pierwszych dniach projekcji filmu doszło też do blokad pokazów, a najgłośniejszy spór wybuchł w Marsylii, gdzie lewicowy mer odwołał w ostatniej chwili pokaz w sali kinowej należącej do miasta, powołując się na zasadę świeckości państwa. Sprawa znalazła swój finał w sądzie, który unieważnił decyzję merostwa, dowodząc, że odmowa ta naruszała wiele wolności obywatelskich: wypowiedzi, twórczości artystycznej i dystrybucji. Co gorsza, promocja filmu blokowana była także przez wielu księży, którzy wystraszyli się polemiką i zamieszaniem związanym z pokazami „Sacré Coeur" – wszak we Francji publicznie o wierze mówić nie przystoi, a wykłócanie się o jej miejsce w życiu publicznym zakrawa na niepotrzebny Kościołowi skandal.

Paradoksalnie kontrowersje wokół rozpowszechniania filmu stały się jego najskuteczniejszą reklamą. Informacje i pochlebne recenzje przekazywane pocztą pantoflową przez poruszonych filmem pierwszych widzów wywołały prawdziwe frekwencyjne tsunami. Przed kinami w całej Francji ustawiały się kolejki widzów, a zdobycie biletu na pokaz nie było łatwe, również ze względu na początkowo niewielką liczbę kopii filmu w dystrybucji. Nikt przecież nie przewidział takiego rozwoju wypadków!

Czy jest to oznaka trwałej tendencji i Francuzi częściej zwracać się będą w stronę kina mistycznego, medytacyjnego, chrześcijańskiego? W kinie, w którym z moją rodziną oglądaliśmy „Sacré Coeur", w tym samym czasie wyświetlane były dwie inne chrześcijańskie produkcje: dokument „Baroudeurs du Christ" („Awanturnicy Chrystusa"), o księżach wyjeżdżających na misje w najodleglejsze zakątki świata, oraz amerykańska animacja dla dzieci „Król królów". Zdaniem mojego męża, Francuza, to zdumiewające i w przeszłości niespotykane.

AKTUALNE PRZESŁANIE

W czym tkwi fenomen filmu Gunnellów? Jak to się stało, że wywołał on tak żywe zainteresowanie Francuzów? Jak zrobić dziś film głęboko religijny, który będzie przemawiał, jak w tym przypadku, do wszystkich, nie tylko do ludzi wierzących? Wydaje się, że Gunnellowie, czerpiąc z własnego doświadczenia związanego z nawróceniem w dorosłym wieku, rozumieją, czego potrzeba dziś ludziom szukającym sensu i nadziei w brutalnym świecie. W jednym z wywiadów udzielonych portalowi Academia Christiana mówią, że kręcą filmy, które

eprasa.pl 958d9fc47c

sami chcieli oglądać, gdy byli nastolatkami, odczuwającymi ogromny głód Absolutu, którego nie potrafili wówczas ani zrozumieć, ani zaspokoić. Wychodzą zatem od konkretu.

Osią opowieści są historyczne zdarzenia sprzed 350 lat, które legły u podstaw kultu Najświętszego Serca Jezusowego – objawienia, których dostąpiła Małgorzata Maria Alacoque, młoda, skromna zakonnica wizytka w burgundzkim klasztorze Paray-Le-Monial w latach 1673–1675. Przez 18 miesięcy, w kaplicy adoracyjnej klasztoru, w czasie wystawienia Eucharystii francuska mistyczka spotykała Jezusa i rozmawiała z nim. Jezus ukazywał jej swoje otoczone koroną cierniową serce płonące z miłości do ludzi i prosił, aby Małgorzata Maria zadbała o ustanowienie kultu Jego Najświętszego Serca, aby zadośćuczynić w ten sposób zniewagom wobec jego bezwarunkowej miłości. W czasie tzw. wielkich objawień Jezus szczegółowo instruował zakonnicę, jakie nabożeństwa należy odprawiać. Chodzi m.in. o nabożeństwo w dziewięć pierwszych piątków miesiąca, polegające na spowiedzi i przyjęciu Komunii Świętej wynagradzającej za grzechy świata, któremu towarzyszy obietnica śmierci w łasce uświęcającej, uroczyste obchodzenie uroczystości Najświętszego Serca Jezusowego w pierwszy piątek po oktawie Bożego Ciała, czwartkowa adoracyjna Godzina Święta czy nabożeństwo czerwcowe ku czci Serca Jezusowego, zawierzenia osobiste i narodowe.

Większość z nich, choć zaniedbana lub wręcz zapomniana w pobożności francuskich katolików, wciąż jest jednak bardzo żywa w Polsce. Warto też przypomnieć, że ustanowione przez papieża Klemensa XIII oficjalnie dopiero 100 lat po objawieniach w Paray-le-Monial kult i święto Boskiego Serca Pana Jezusa, zanim rozprzestrzeniło się na cały świat, dotyczyło początkowo tylko Polski, a dekret papieski był odpowiedzią na memoriał polskich biskupów. Polska była niewątpliwie prekursorem kultu Serca Jezusowego na świecie.

Sceny fabularyzowane ukazujące obrazy z życia św. Małgorzaty Marii Alacoque, a szczególnie jej mistyczne wizje, kręcone są z wielką pieczołowitością i artyzmem. To wielka zaleta filmu – tak łatwo w religijnych produkcjach popaść w infantylną czułostkowość i ocierać się o kicz. Twórcy nie ukrywają swoich artystycznych inspiracji: to piękno tradycyjnej liturgii, światłocień nastrojowych obrazów Georges'a de la Toura, arcydzieła Franka Zeffirellego i Piera Paola Pasoliniego, ale przede wszystkim „Pasja" Mela Gibsona. Piękno przyciąga, a współczesne filmy religijne powinny być dla ludzi tym, czym za czasów katedr były witraże.



REŻ. SABRINA I STEVEN GUNNELL „SACRÉ COEUR" FRANCJA 2025

To, na czym szczególnie zależy twórcom filmu, to ukazanie, że zdarzenia sprzed lat nie zostały zamknięte w przeszłości. Objawienia Małgorzaty Marii Alacoque i przesłanie bezwarunkowej miłości, przekazane jej przez Chrystusa, mają rzeczywisty wpływ na losy konkretnych ludzi, a nawet całych społeczeństw na przestrzeni wieków, tak więc również dziś. Choć nie ma o tym mowy w samym filmie, to w przypadku młodej Sabriny Gunnell właśnie kilkudniowe rekolekcje w klasztorze Paray-le-Monial były punktem zwrotnym w jej drodze ku wierze. W filmowej opowieści spotykamy zatem świadków Bożej miłości, odkrywanej właśnie w nabożeństwie do Najświętszego Serca Jezusowego, ludzi w różnym wieku, różnych stanów, pochodzenia, zawodów i w bardzo różnej sytuacji życiowej. Niemal każdy z nas może odnaleźć się w tej czy innej historii życia i odkryć, również dla siebie, sens i radość... odpowiedź na najbardziej intymne pragnienia ludzkiej natury, wszystkich nas bez wyjątku. W tym tkwi zapewne tajemnica niebywałego sukcesu tej produkcji, która daje nadzieję na znalezienie zaspokojenia naszych duchowych braków, pragnień, egzystencjalnej pustki, a przesłanie filmu jest wypowiedziane w sposób tak delikatny i uniwersalny, że porusza nie tylko chrześcijan, lecz także muzułmanów, poszukujących, a nawet niewierzących.

NIEDOCENIANE BOGACTWO

W jednym z wywiadów Steven Gunnell żartuje, że czuje się jak członek zakonu rycerskiego, ale jego bronią jest nie miecz, lecz kamera. Na zarzuty o uprawianie przez niego propagandy i prozelityzmu odpowiada z uśmiechem, że owszem, chodzi jak najbardziej o propagandę, o propagandę miłości i Bożego Miłosierdzia, przy czym z pokorą przyznaje, iż narzędzia, którymi są ten i inne zrealizowane przez niego i jego żonę filmy, mają dostarczyć ludziom faktów i wiedzy, które stanowią punkt wyjścia do osobistej refleksji. Mają również przypomnieć Francuzom i światu o ogromnej religijnej spuściźnie ich kraju: liczba objawień, sanktuariów, wielkich świętych jest ogromnym, zaniedbanym i niedocenianym bogactwem Francji. Ewentualne nawrócenie, do którego może przyczynić się ten film, jest oczywiście również możliwe, ale zawsze jest dziełem samego Boga. Nie wszyscy przecież uznają tę realizację za interesującą i ważną – tak było i w przypadku naszej rodzinnej grupy, oglądającej film w listopadzie we francuskim kinie. Sama jednak, na potrzeby niniejszego artykułu, obejrzałam go powtórnie w domu i przy drugiej odsłonie wydał mi się jeszcze piękniejszy, głębszy, niezwykle bogaty w treści zarówno faktograficzne, jak i teologiczne.

Realizatorzy tej niezwykłej produkcji jako ludzie wiary najbardziej martwią się, gdy słowa krytyki kierowane doń przez ludzi z branży i dziennikarzy skupiają się wyłącznie na technicznej, formalnej stronie filmu, nie dotykając jego istoty. Za św. Franciszkiem pytają z niepokojem: „Co stanie się z duszą, której powiedziano o Chrystusie, a która go odrzuca?". W końcowych scenach filmu wybrzmiewa również dramatyczna konstatacja: „Świat umiera, ponieważ nie umie sam siebie kochać", ale jednocześnie cały film jest przepełniony nadzieją, że to, co po ludzku wydaje się niemożliwe, nigdy nie jest takie w oczach Boga.

Przesłanie nadziei, głoszone przez małżeństwo Gunnellów, dociera wraz z ich filmem do kolejnych krajów. Film pokazano już w Belgii, Szwajcarii, kilku krajach afrykańskich, a jego premiery w tym roku odbędą się w Ameryce Łacińskiej, Kanadzie, USA, Niemczech i Hiszpanii. Na ekrany polskich kin, dzięki zaangażowaniu dystrybutora Rafael Studio, wszedł 20 lutego br. i nosi tytuł „Najświętsze Serce". Czy i u nas powtórzy francuski sukces frekwencyjny? Z całą pewnością na to zasługuje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 958d9fc47c

Chwała bohaterom



Piotr Gociek

„Pojedynek” Łukasza Palkowskiego wierny jest duchowi historii: był czas, gdy w chwili próby polskie elity nie klękały przed wrogami ojczyzny i nie chciały im się wysługiwać

Było to ćwierć wieku temu, chyba już po premierze filmu „Cześć, Tereska”; nagrywałem wywiad z Robertem Glińskim dla Radia Plus o polskim kinie historycznym – a właściwie o jego braku. Podczas prywatnej części rozmowy gość nie krył rozgoryczenia sytuacją w tzw. branży. Marzył mu się film o Katyniu, ale ponieważ podobne zainteresowanie wyraził mistrz Andrzej Wajda, wiadomo było, że temat jest zarezerwowany i nikt inny pieniędzy na kręcenie takiego projektu nie dostanie. Sześć lat później do kin wszedł film Wajdy i tzw. branża uznała, że temat jest zamknięty, bo odfajkowany. Fakt, że z sukcesem, bo „Katyń” dostał przecież nominację do Oscara, ale gdyby nie miał, to temat zamknięty byłby i tak. Po co kręcić drugi film, skoro tylu głodnych czeka na ministerialne dotacje?

PYRRUSOWE ZWYCIĘSTWO

Reguły rządzące kinem III RP nigdy nie były zdrowe, zasady promowania (lub nie) polskiego kina historycznego nigdy nie były jasne, zbyt wiele zależało od tego, jak bardzo używano historii w bieżących politycznych rozgrywkach. Filmów produkuje się dziś mnóstwo, systemu promocji opowieści o polskiej historii nadal brak, ale zdarzają się pojedyncze produkcje, o których warto opowiadać. „Pojedynek” Łukasza Palkowskiego jest jedną z nich. To dobry film, w dobrej obsadzie, w dodatku kręcony z myślą o odbiorcy międzynarodowym. Nawet jeśli nie zarobi dużych pieniędzy w Polsce, to wieszczę mu długie życie w światowym streamingu. Świat ogląda kino historyczne. Wszak i w naszych streamingowych serwisach co rusz goszczą opowieści holenderskie, norweskie, duńskie itd. Warunek jest jeden: jest to kino historyczne przefiltrowane przez kino gatunków. Czasem doprowadzone do skrajności jak fiński „Sisu”, który jest krwawym pastiszem „Rambo” i Tarantina, ale serce ma po właściwej stronie. I Palkowskiemu też się to udaje: serce filmu „Pojedynek” bije tam, gdzie trzeba.

A skąd je ma? Tu znów wrócić trzeba do Roberta Glińskiego, bo jego marzenie o filmie o Katyniu nie zgasło ani w roku 2001, ani 2007. Jest to historia uporu i talentu, już tłumaczę dlaczego. Otóż w roku 2017 miałem przyjemność zasiadać w jury wielkiego konkursu Narodowego Centrum Kultury na pomysł polskiego filmu historycznego. Dostaliśmy setki propozycji, z których wybraliśmy najpierw 50 najciekawszych, a w finale – kilka zdecydowanie najlepszych. Te najlepsze liczyć mogły na pieniądze z Ministerstwa Kultury na dalszy rozwój projektu.

Jury pod przewodnictwem Jarosława Sokoła („Czas honoru”) jednogłośnie wskazało jako najlepszy projekt scenariusza zatytułowany „Sanatorium imienia Gorkiego”, opowieść katyńską o pojedynku z diabłem: z jednej strony polscy oficerowie osadzeni w Kozielsku, którzy nie chcą iść na współpracę, z drugiej cała machina sowiecka, wraz ze swym okrucieństwem, a gdy trzeba – i wyrafinowaniem. Był jeden problem. Autorem tekstu był Robert Gliński, czyli brat rodzony ówczesnego ministra kultury, prof. Piotra Glińskiego. Jak się możecie domyślić, żaden nie był szczęśliwy z naszego werdyktu. Minister, bo bał się oskarżeń o nepotyzm. Reżyser, bo nie uśmiechała mu się łatka „pupila PiS-owskiego reżimu”. Być może dlatego film czekał na realizację tak długo. Dziś już przecież można. Nikt Robertowi Glińskiemu nie wytknie, że się podlizuje władzy, bo frukta dzieli już inna ekipa.

Robert Gliński oddał fotel reżysera Łukaszowi Palkowskiemu. Projekt jest jednak jego, tzn. pod scenariuszem figurują trzy nazwiska: Glińskiego, nieżyjącej już Dżamili Ankiewicz, która była współautorką pierwszej wersji scenariusza sprzed dekad, oraz – tu jedyna nowość – Agathy Dominik. Ta ostatnia dzieli swój czas między projekty amerykańskie i polskie. Wraz z Palkowskim napisała scenariusz filmu „Najlepszy”. Nic więc dziwnego, że powierzył jej przeróbki w „Sanatorium imienia Gorkiego”.

Dla obu Glińskich jest to trochę pyrrusowe zwycięstwo. Robert Gliński doprowadził do końca swą wieloletnią walkę o film katyński. Ale to nie on zbierał będzie większość pochwał. Piotr Gliński wreszcie doczekał się występu hollywoodzkiej gwiazdy w filmie o polskiej historii, choć nie jest to Mel Gibson pod Wiedniem, tylko Aidan Gillen pod Kozielskiem. Ale to nie on będzie ustawiał się do zdjęć na uroczystej premierze, choć przecież pieniądze na projekt wywalczono jeszcze w czasach PiS. Historia bywa przewrotna – zwłaszcza ta filmowa. Dla widza wszystkie te kwestie mają znaczenie dru-

eprasa.pl 958d9fc47c



Oczywiście wszyscy wiemy, jak skończy się ta historia. Nie tak, jak wymaga tego terror happy endów FOT. MATERIAŁY PRASOWE

gorzędne, ważniejsze jest pytanie: „Czy było warto?". Tak, było warto, dostaliśmy produkcję, którą celnie krytyk Łukasz Adamski nazwał na kanale „Się Zobaczy" skrzyżowaniem „Wielkiej ucieczki" z „Katyniem". Ryzykowne porównanie, ale moim zdaniem uzasadnione; to jest właśnie ten konieczny dla odniesienia sukcesu filtr kina gatunków. „Pojedynek" wpisuje się zarówno w długą historię filmów o barwnych ucieczkach (od Alcatraz po niemieckie stalagi), jak i w tradycję wstrząsających filmów wojennych ze wschodniej Europy. Jeden z tych ostatnich nakręcony został przez Roberta Glińskiego w 1992 r. i był to niesłusznie zapomniany dramat na podstawie wspomnień żony Aleksandra Wata „Wszystko, co najważniejsze".



REŻ. ŁUKASZ PALKOWSKI „POJEDYNEK" POLSKA, IRLANDIA, UKRAINA 2025

HAŃBA ZDRAJCOM, CZEŚĆ ROZSTRZELANYM

Wprowadzenie do fabuły jest króciutkie, ale bardzo ważne, szczególnie dla widza zagranicznego: polskie wojsko broni się w 1939 r. przed Niemcami, ale zdradziecki cios w plecy zadają mu Sowieci. Nie jeden, lecz dwóch okrutnych wrogów rozszarpało II Rzeczpospolitą. Potem obozowe życie: od pierwszych chwil jest jasne, że honor i obowiązek polskiego oficera to po pierwsze nie poddać się, po drugie nie współpracować, po trzecie uciec. Cóż z tego, że sytuacja beznadziejna? To z niczego nie zwalnia. Dostajemy zatem zarówno thriller (Jak spróbują? Kto? Ile razy? Komu się uda?), jak i zgodne z duchem historii przypomnienie: Polacy to naród nie do za…, no, nie do pokonania, chciałem powiedzieć. Łukasz Palkowski rozumie, że nie wystarczy mieć historycznej prawdy po swojej stronie: trzeba to jeszcze umieć atrakcyjnie pokazać.

Z pomocą idą aktorzy. Wybór Aidana Gillena do roli mjr. Wasilija Zarubina był idealny. Aktor znany światu jako podstępny Petyr Baelish z „Gry o tron" świetnie wcielił się w mistrza manipulacji w odwracaniu kota ogonem. Tytułowy pojedynek nie polega tylko na tym, kto kogo przechytrzy i z obozu w Kozielsku ucieknie, ale przede wszystkim jest to pojedynek woli. Zarubin chce jak najwięcej polskich oficerów przeciągnąć na stronę Sowietów, oni zaś w przytłaczającej większości przekabacić się nie dają. Wiadomo, jaką cenę będzie trzeba za to zapłacić. W dużym stopniu to, co widzimy na ekranie, przypomina głośny spektakl „Inspekcja" dla TVP, ostatnią realizację Grzegorza Królikiewicza, którą ostatecznie do finału doprowadził Jacek Raginis-Królikiewicz. Tam Zarubina wysłanego z misją do obozu przez Stalina zagrał Mariusz Ostrowski.

Zatem twarz Gillena zapewni uwagę zagranicznego widza, który dostrzeże ją pewnie na plakacie czy na grafice w streamingu. Ale za resztę brawa należą się naszym aktorom. W roli głównej Jakub Gierszał, grający młodego polskiego oficera – i pianistę – Karola Grabowskiego. Tomasz Kot jako Beria. Bogusław Linda jako dr Nowak. Zaskakujący Wojciech Mecwaldowski jako polski oficer żydowskiego pochodzenia, Leon Sztein itd. Budżet nie był mały, więc wstydu w obrazku nie ma, wygląda to wszystko dobrze, Palkowski pewną ręką reżyseruje.

Oczywiście wszyscy wiemy, jak skończy się ta historia. Nie tak, jak wymaga tego terror happy endów. Ale to nieprawda, że film musi mieć szczęśliwe zakończenie, aby był krzepiący. Nie musi łudzić nas fałszywymi nadziejami, żeby podnosić na duchu. „Pojedynek" jest wierny duchowi historii: był czas, gdy polskie elity nie lękały przed wrogami ojczyzny i nie chciały mu się wysługiwać. Polska zapłaciła straszliwą cenę podczas wojny, ale przetrwała. Diabeł ani słodkimi obietnicami, ani nagą przemocą niewiele wskórał. Tym większa hańba na takich jak Zygmunt Berling, który w obozie w Starobielsku poszedł na współpracę z NKWD. „Wypnij na Kremlu pierś po medale / Naród dziękuje ci, generale"– śpiewał o takich jak on Maciej Zembaty.

Chwała bohaterom, hańba zdrajcom, cześć rozstrzelanym. Normalny, polski film. Dlaczego tak rzadko?



Wybór Aidana Gillena do roli mjr. Wasilija Zarubina był idealny FOT. MATERIAŁY PRASOWE

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 958d9fc47c



Kadr z filmu „Znak sprzeciwu" FOT. RAFAEL FILM

Znak sprzeciwu



Krzysztof Masłoń

Nauczycielka angielskiego w podstawówce we wsi Kielno, w powiecie wejherowskim, usunęła znajdujący się w klasie krzyż i wrzuciła go do kubła na śmieci, przy okazji wygłaszając wulgarny komentarz. Miała zostać zwolniona, ale komisja dyscyplinarna przy wojewodzie pomorskim przywróciła ją do pracy, co jednak sprawy nie zamyka, postępowanie karne toczy się bowiem dalej. Tymczasem rządzący zapowiadają wykreślenie kary pozbawienia wolności za obrazę uczuć religijnych. Nie dziwi zatem fakt, że mnożą się ostatnimi czasy wypadki zakłócania Mszy Świętych, obrażania duchownych, niszczenia elementów świątyń. Tak w praktyce wygląda postulowane swego czasu przez posła Nitrasa opiłowywanie katolików.

Bardzo jestem ciekawy, kiedy i czy w ogóle trafi na ekrany film Mateusza Olszewskiego „Znak sprzeciwu", opowiadający o tym, co zdarzyło się w roku 1984 we Włoszczowie, gdzie uczniowie tamtejszego Zespołu Szkół Zawodowych w obronie wartości chrześcijańskich i krzyży zdjętych przez dyrekcję ze ścian budynku szkolnego po wielu protestach zdecydowali się na strajk okupacyjny (w dniach 3–16 grudnia). Spotkały ich za to represje, wielu z nich nie dopuszczono do matury, wspierający młodzież księża otrzymali wyroki więzienia, zawieszone dopiero w kolejnej instancji, a duchownych uniewinnił Sąd Najwyższy na skutek rewizji nadzwyczajnej.

Bliźniaczą do wojny o krzyże we Włoszczowie była batalia o krzyże w Miętnem koło Garwolina. Tam strajk w Zespole Szkół Rolniczych trwał od 7 marca do 6 kwietnia 1984 r. Uczniowie protestowali przeciwko zdjęciu krzyży w ich klasach od początku roku szkolnego, a na groźby ze strony dyrekcji i miejscowych władz odpowiadali pieśniami religijnymi: „Nie rzucim, Chryste, świątyń twych" i „My chcemy Boga". Nie ulękli się nawet ZOMO, które w desperacji zablokowało szosę warszawską, by odseparować zrewoltowane Miętne od świata, co się oczywiście nie udało. O tym, co się tam działo, pisały zagraniczne agencje prasowe, informowało Radio Wolna Europa, a na Jasnej Górze do dziś przy ołtarzu wisi krzyż upamiętniający tamto, brzemienne w skutki dla bardzo wielu ludzi, wydarzenie.

Uczniowie z Włoszczowy i Miętnego podczas strajku skandowali dwuwiersz „Tylko pod krzyżem, tylko pod tym znakiem, / Polska jest Polską, a Polak Polakiem", przypisując go zresztą mylnie Mickiewiczowi. W istocie to nie twórca „Dziadów", a Karol Bieliński w 1856 r. w utworze „Śpiewakowi Mohorta bratnie słowo" napisał:

Bo tylko pod tym
przenajświętszym znakiem
Polska jest Polską i Polak
Polakiem.

Słowa te przywoływane bywają jako dowód na obskurantyzm katolików, poczucie wyższości wobec przedstawicieli innych wyznań, przekonanie, że Polska musi być katolicka, bo inaczej jej nie będzie. Zapomina się jednak, że przez długie lata Polak był prześladowany – albo za polskość, albo za katolicyzm, albo za jedno i drugie. Czasem bycie katolikiem stawało się powodem do dumy. Na Wschodzie np., mówiąc wprost – na Ukrainie i Białorusi, za katolika uchodził ten, kto był jako tako umyty. Tak, tak.

Ale częściej Polak katolik był bity. Jak dzieci we Wrześni na początku XX stulecia, które nie chciały uczyć się religii po niemiecku, oddawały rozdawane im niemieckie katechizmy i powtarzały takie wyznanie polskiej wiary:

My z Tobą, Boże, rozmawiać chcemy
lecz „Vater unser" nie rozumiemy.
I nikt nie zmusi nas Ciebie tak zwać,
boś Ty nie Vater, lecz Ojciec nasz!

Dziewczynki były siekane rózgami po rękach, chłopcy po siedzeniach, ich rodzice trafiali do więzień – tak w Poznańskiem realizowano niemiecki kulturkampf. Maria Konopnicka tak to ujęła wtedy w wierszu „O Wrześni":

Za ten pacierz w własnej mowie,
Co ją dali nam ojcowie,
Co go nas uczyły matki
– Prusak męczy polskie dziatki.

Z kolei Henryk Sienkiewicz najpierw w 1901 r. opublikował w krakowskim „Czasie" artykuł „O gwałtach pruskich", a pięć lat później na tych samych łamach ogłosił „List otwarty do J.C.M. Wilhelma II, króla pruskiego", w którym pisał m.in.: „Tam, gdzie chodzi o obronę najrdzenniejszych praw ludzkich i boskich, o stosunek człowieka do Boga, o ochronę jego skargi, prośby i modlitwy, tam sumienie jest najlepszym agitatorem". I przestrzegał: „Straszne, głęboko niemoralne i niedające się niczym usprawiedliwić są takie ustawy, na które odpowiedzią jest płacz tysięcy bezbronnych dzieci. Szkoła, a w niej nauczyciel, w Królestwie Pruskim nie jest przewodnikiem, który dziecko polskie oświeca i prowadzi do Boga, ale jakimś bezlitosnym ogrodnikiem, którego urzędowym obowiązkiem jest zdrową polską latorośl przemocą przerobić, choćby na krzywą i skarlałą płonkę niemiecką. I oto z każdym rokiem więcej w tych szkołach łez, więcej świstu rózeg, więcej męczeństwa. Miara przebrana wobec Boga i ludzi rodzi nienawiść i nie tylko gniew boski i ludzki, ale niesławę".

Okropny był ten Sienkiewicz, mało tego, że antyrusiński (czytaj: antyukraiński), to i antyniemiecki, a skoro antyniemiecki, to i antyeuropejski. Anachroniczny, nazbyt patriotyczny, za bardzo polski – zatem nie bójmy się tego słowa, nacjonalistyczny. I jako polskiego nacjonalistę wyrugujemy go z polskiej szkoły – nowoczesnej i, oczywiście, świeckiej. Ze szczętem.

Na naszych oczach dogorywa właśnie w nauczaniu polonistycznym, oczyszczane z tego, co w nim chrześcijańskie, „W pustyni i w puszczy", jeszcze trochę, a pożegnamy się definitywnie i z „Potopem", i z „Quo vadis", funkcjonującymi w szkole tylko w postaci fragmentarycznej. Bo po „Krzyżakach" zostały jedynie rzewny śpiew Danuśki i zgrzytanie zębów Juranda. ©℗

eprasa.pl 958d9fc47c

REPUBLIKA

Więcej dyskusji o najważniejszych wydarzenia mijającego tygodnia.
Więcej gości. Więcej konfrontacji dziennikarzy z ekspertami.
Wszystko na żywo. W nowym studiu. I o nowej porze.
Dla Polski. I dla Polaków.

SALONIK ZIEMKIEWICZA



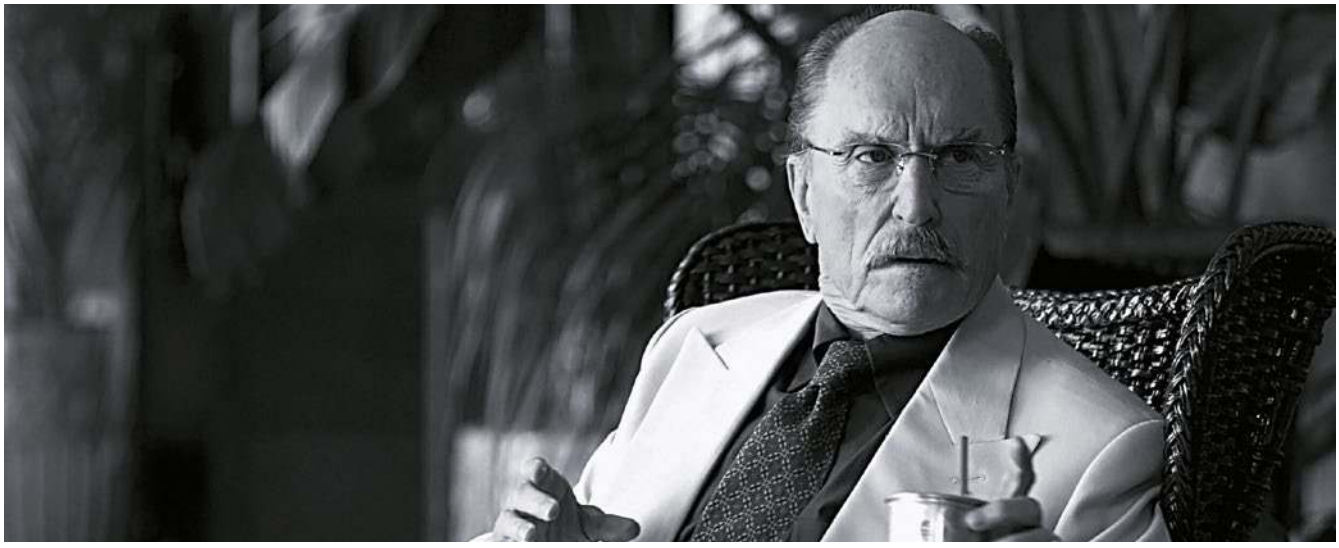
SOBOTA
16:00
w Republice

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 958d9fc47c



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

POŻEGNANIE

Robert Duvall (1931–2026)

W „Ojcu chrzestnym" dzielił ekran z Marlonem Brando oraz Alem Pacino – i nie odstawał ani trochę. Robert Duvall jako Tom Hagen okazał się jedną z najciekawszych, skomplikowanych i ludzkich (obok Freda) postaci całej sagi Coppoli. Ten sam Francis Ford dał mu jeden z najbardziej pamiętnych kinowych epizodów wszech czasów, obsadzając w roli płk. Kilgore'a, miłośnika surfingu i napalmu. Duvall miał jednak do niego pretensje, że ów bohater jest zanadto jednowymiarowy.

Siedem razy nominowany do Oscara, zdobył go tylko raz, za rolę zapijaczonego muzyka w zapomnianym dziś filmie Bruce'a Beresforda „Pod czułą kontrolą" („Tender Mercies" 1983). Był to film z rodzaju tych, które Akademia uwielbia dostrzegać: człowiek show-biznesu szuka drugiej szansy na naprostowanie swego zdewastowanego życia rodzinnego.

Zanim lata 70. wyniosły go na szczyty sławy, zdążył jeszcze spędzić lata 60. w rozmaitych telewizyjnych serialach, choć już w drugiej połowie tej dekady coraz częściej błyszczał na drugim planie także w produkcjach kinowych („Bullitt", „Prawdziwe męstwo"). Potem na szczycie trzymał się długo i pewnie, wspomnijmy miniserial „Na południe od Brazos" (1989). Do kreacji aktorskich dołożył pewną rękę reżysera: film „Apostoł" (1997), który napisał, wyreżyserował i w którym zagrał główną rolę, był majstersztykiem.

W ostatnich dwóch dekadach życia błysnął m.in. w miniserii „Przerwany szlak", w „Drodze" według prozy Cormaca McCarthy'ego, w dramacie „Sędzia" (ostatnia nominacja do Oscara). Niesamowity był w filmie „Aż po grób" (2009), gdzie dali popis z Billem Murrayem i Sissy Spacek. Nie zawsze trafiał z doborem ról (a któż zawsze trafia?), ale nie przydarzały mu się wybory katastrofalne, co w Hollywood jest rzadkością.

Za młodu aktorstwa uczył się w jednej klasie z Gene'em Hackmanem. Gdy biedował w Nowym Jorku, szukając roboty jako aktor, pomieszkiwał razem z także klepiącym biedę Dustinem Hoffmanem. Dorabiali po sklepach i na poczcie. Zapytany kiedyś, czego oczekuje od reżyserów, odpowiedział: „Żeby nie byli dupkami".

Robert Duvall zmarł 15 lutego 2026 r. Miał 95 lat. ©℗

GRA TYGODNIA: „REANIMAL"

Za „Reanimal" stoją twórcy dwóch pierwszych – dodajmy: bardzo udanych – odsłon „Little Nightmares". Poszli dobrze wydeptaną ścieżką, więc gracze, którzy przy „Little Nightmares" bawili się dobrze, powinni się odnaleźć. Choć jest tu poważniej i mroczniej. Fabuła okryta jest mgłą niedopowiedzenia, składamy ją z małych, dawkowanych nam stopniowo fragmentów. Brat i siostra (możemy grać w trybie kooperacyjnym) muszą uciec z wyspy rodem z sennego koszmaru i uratować przyjaciół. Bardzo



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★★

klimatyczna i wciągająca, choć nieco dziwaczna i surrealistyczna gra. ©℗

Radosław Wojtas

- *Gatunek: platformowe*
- *Platforma: PS5, XSX, NS2, PC*
- *Producent, wydawca: Tarsier Studios, THQ Nordic*

eprasa.pl 958d9fc47c

Przyznaj się!

KINO



★★★☆☆☆

REŻ. JAFAR PANAHI
„TO BYŁ ZWYKŁY PRZYPADEK” („UN SIMPLE ACCIDENT”)
FRANCJA/IRAN/LUKSEMBURG 2025

wyst. Vahid Mobasseri, Mariam Afshari, Ebrahim Azizi

Złota Palma w Cannes, reżyser zaocznie skazany za szkalowanie ojczyzny, a współscenarzysta już jest za kratami. Spece od reklamy i promocji nie mają tu zgoła nic do roboty. Iran jest na językach, jak w czasach rewolucji Chomeiniego. Dziś tamte sztandary całkiem wyblądły, reżim ajatollahów dogorywa. Pozostaje tylko zgadywać, jak długo potrwa agonia i czy Wielki Szatan (Ameryka) nie zechce jej skrócić – ku uciesze Małego Szatana (Izraela). W tym kontekście można się też zastanawiać, ile z 20 nagród i 47 nominacji jest wyrazem szczerego uznania dla dzieła, ile zaś objawem koniunkturalizmu jurorów.

Ludzie kina, pouczeni przez Kieślowskiego, wiedzą, że światem rządzi przypadek. Tymczasem w islamie wszystko jest częścią boskiego planu. U Panahiego kierowca zdefektowanego samochodu szuka pomocy w warsztacie. Jeden z pracowników rozpoznaje w nim oprawcę. Eghbal, zwany Kuternogą, z lubością torturował rodaków aresztowanych „za udział w zmowie i wrogą propagandę”, czyli takich, którzy śmieli upominać się o swoje prawa. Problem w tym, że Vahid nie zna twarzy łotra, gdyż podczas przesłuchań uwięzieni mieli opaski na oczach. Wystarczy jeden cios łopatą, by doszło do odwrócenia ról: domniemany kat staje się ofiarą. Twórcy filmu wałkują dwie kwestie. Gdzie kończy się sprawiedliwość, a zaczyna zemsta? Bo przecież nie możemy być tacy sami jak tamci. A jeśli doszło do pomyłki i delikwent jest Bogu ducha winnym mężem i ojcem?

Kłaniają się „Śmierć i dziewczyna” – sztuka Ariela Dorfmana, zekranizowana przez Polańskiego – i „Sekrety z przeszłości” z Noomi Rapace. Tu zaangażowanych jest więcej osób, co oznacza więcej chaosu i komplikacji. Z upływem czasu fabuła nabiera zdecydowanie perskiego kolorytu. W islamskiej republice korupcja osiągnęła krytyczne stadium: policjanci dysponują terminalem, więc łapówkę można uiścić kartą. Cynik powiedziałby, że o irańskim rodowodzie dzieła świadczą też siermiężna forma, nieporadność aktorów i zwroty akcji prowadzące donikąd. Bądźmy jednak wyrozumiali: obcowanie z filmami powstałymi w ostatniej fazie istnienia PRL prowokuje do podobnych refleksji.

Słuszność i jakość rzadko idą w parze. ©℗

Wiesław Chełminiak

RAZEM RAŹNIEJ

W pałacu żyją trzy kobiety w wieku balzakowskim. To nie Wersal, tylko nadgryziona zębem czasu rezydencja w Gorzanowie. Zamiast neogotyckiego łoża z baldachimem – materace na podłodze. Na ścianach resztki sztukaterii. Twórcy filmu kreują świat jak z kolorowego reportażu w prasie dla aspirujących pań. Oto idealne spa oferujące bezterminową pielęgnację ciała i masaż umysłu. Niestety, ceną za względny luksus i poczucie bezpieczeństwa jest ubezwłasnowolnienie. Lokatorki każdego dnia zapewniają Wielką Siostrę o swej wdzięczności i doskonałym samopoczuciu. Potem planują ucieczkę. Filmy alegorie, w których prym wiodą scenografia, kostiumy i oprawa muzyczna, mają wierną, choć niewielką publiczność. Wolniej też się starzeją. Widza szukającego rozrywki wydumane kino nudzi. Konia z rzędem temu, kto tę przepaść zasypie. ©℗



KINO

★★★☆☆☆

REŻ. HELENA GANJALYAN, BARTOSZ SZPAK
„GLORIOUS SUMMER”
POLSKA 2025

wyst. Magdalena Fejdasz, Helena Ganjalyan, Daniela Komędera



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Miłość w Kielcach

GDZIE? ***dawny Pałac Biskupów Krakowskich w Kielcach***
KIEDY? ***do 18 października***

Wystawa „Miłość” domyka tryptyk tematyczny Muzeum Narodowego w Kielcach rozpoczęty w 2012 r. ekspozycją „Czas” i kontynuowany wystawą „Strach” (2019–2020).

„Wielowymiarowość tego uczucia sprawia – piszą kuratorzy o miłości – że niezliczone są wręcz sposoby jej obrazowania. Inaczej bowiem należy przedstawić Caritas czy Agape, inaczej miłość macierzyńską, inaczej wreszcie miłość między dwojgiem ludzi, której symbolem są często postacie zaczerpnięte z mitologii […]”. Przedstawieniu wielowymiarowości tego uczucia posłużyło ponad 100 dzieł z kolekcji muzeum i wypożyczonych z całej Polski. Niektóre prace powstały specjalnie na potrzeby wystawy.

Trzon stanowi malarstwo, a uzupełniają je rzeźba oraz wymiary rzemiosła artystycznego.



FOT. MUZEUM NARODOWE W KIELCACH

Eksponaty prowadzą widza przez świat mitologii, Biblii, literatury, personifikacji, symboli. ©℗

eprasa.pl 958d9fc47c



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Król żydowskiego Zagłębia

Ta książka nosi podtytuł: „Opowieść o królu Mońku Merinie i jego poddanych". O jej bohaterze Chaim Mołczadzki z Będzina miał powiedzieć: „Cokolwiek Merin robi, jest dobre – jest błogosławionym przez Boga przywódcą". Ten „błogosławiony przywódca" w czasie okupacji niemieckiej stał na czele Centrali Żydowskich Rad Starszych na Wschodnim Górnym Śląsku.

Pod wieloma względami przypominał Chaima Rumkowskiego z łódzkiego getta. Obaj, na swoim terenie, byli królami. Czy rzeczywiście wierzyli, że praca na rzecz okupanta pozwoli ocalić żydowską społeczność? W każdym razie wraz z nasileniem prześladowań i deportacji do obozów zagłady coraz powszechniejsze stawało się przekonanie o daremności tego rodzaju wysiłków. Niemniej jest charakterystyczne, że Merin odrzucił propozycję współpracy z Żydowską Organizacją Bojową, którą złożył mu w 1942 r. przybyły do Zagłębia Dąbrowskiego Mordechaj Anielewicz.

19 czerwca 1943 r., wraz ze swoimi współpracownikami, wezwany został Mojżesz Merin do Prezydium Policji w Sosnowcu i aresztowany razem z bratem Chaimem i zastępczynią oraz kochanką Fanny Czarną, a następnie wywieziony do Auschwitz, gdzie trafił na blok XI. Historyk Natan Eliasz Szternfinkiel napisał: „Rola Merina skończyła się. Nie był on już potrzebny Niemcom i postanowili go wykończyć". Tak też się stało.

Żydowskim przywódcą niejako sam się mianował, gdy bowiem niemiecki oficer zażądał od przetrzymywanych w piwnicy ratusza Żydów, by wystąpił ich przedstawiciel, i spytał, kto należy do Rady Gminy Żydowskiej, natychmiast się zgłosił. Został przywódcą Judenratu w getcie sosnowieckim, a od grudnia 1939 r. z nominacji gestapo pełnił funkcję leitera, przełożonego nad wszystkimi Żydami rejencji katowickiej, a później części opolskiej. I odtąd – czytamy – „Niemcy dawali mu przywileje i możliwość rządzenia królestwem, a on był ich wiernym i oddanym wasalem".

W Zagłębiu mieszkało wtedy, jak sam oceniał, 70 tys. Żydów. Miał z kogo ściągać pieniądze na utrzymanie swego urzędu. A jeśli jakaś gmina nie płaciła, to odpowiedzialni za to uchybienie wywożeni byli do obozów. Na śmierć.

W sierpniu 1943 r., już po likwidacji gett w Zagłębiu, Urząd Powierniczy przejął pieniądze gmin żydowskich znajdujące się w oddziale Dresdner Banku w Sosnowcu. Było to 848 tys. 810 reichsmarek. Na prywatnym koncie Mojżesza Merina było także 86 tys. 839,39 reichsmarek.

Chwalił się osobistym poparciem Himmlera i Eichmanna, co – jak się zdaje – nie było do końca wytworem fantazji. Jego chlubę i straż przyboczną stanowiła żydowska policja. „Bano się ich niemal tak jak SS, egzekwowali sankcje nałożone przez radę – od konfiskaty kartek żywnościowych i cennych przedmiotów oraz wyrzucania ludzi z mieszkań, aż po branie zakładników spośród członków rodzin podejrzewanych o chronienie uciekinierów".

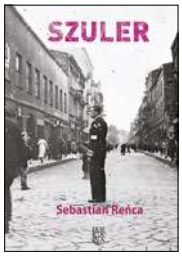
Sebastian Reńca przypomina niewygodne fakty, jak ten, że nie kto inny, jak Hannah Arendt pisała, że „w czasie procesu Eichmanna sąd dwukrotnie poruszył kwestię współpracy żydowskich organizacji okupacyjnych z Niemcami:

»Sędzia Icchak Raveh uzyskał od jednego ze świadków – uczestnika ruchu oporu – potwierdzenie faktu, że policja żydowska była »narzędziem w ręku zbrodniarzy«, jak również tego, że Judenraty prowadziły politykę współpracy z nazistami. Natomiast sędzia Halevi stwierdził na podstawie przesłuchań Eichmanna, że naziści uważali tę współpracę za »kamień węgielny« swej polityki żydowskiej«".

O Mojżeszu Merinie żydowski dziennikarz Mordechaj Canin napisał po wojnie: „Jego rękami Niemcy zaczęli zagładę Żydów. On był tym, który dostarczał Niemcom »wyselekcjonowane transporty« Żydów do Oświęcimia. Najpierw biedaków, bezrobotnych, potem sieroty, wdowy, chorych ze szpitala, Żydów z innych gmin. Germański moloch żądał coraz więcej ofiar i Merin dostarczał tysiąc, dwa tysiące, dziesięć tysięcy z Sosnowca, z Będzina, z Chorzowa, z Katowic. Piece Oświęcimia szeroko otwierały drzwi dla Żydów, a Moniek Merin dostarczał pełne pociągi ludzi".

A przecież w getcie w sosnowieckiej Środuli nie brakowało ludzi przeświadczonych o tym, że to Merin właśnie „jest nowym zbawcą narodu żydowskiego; że w Będzinie i Sosnowcu udało się uniknąć zamkniętego getta dzięki jego staraniom; że śmiertelność jest tam mniejsza niż przed wojną; że na ulicach nie ma żebraków". No, istny eden.

Bohater czy antybohater „Szulera" w świetle znanych relacji był – czytamy – „człowiekiem z przypadku. Mającym w sobie nieco bezczelności, tupetu i rozmachu. Był również odważny". A czy racja była po stronie tych, którzy go bez mała czcili (Emil Zegadłowicz pisał o nim sztukę – niedokończoną) czy nienawidzili? Niech państwo przeczytają książkę Sebastiana Reńcy, tę rozmowę z duchami o czasach pogardy. ©℗



★★★★★★

SEBASTIAN REŃCA „SZULER"
ARCANA, KRAKÓW 2025

eprasa.pl 958d9fc47c



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Nicolas i inne chłopaki

Śmieszna książka. Skompromitowany polityk, który modelowo przerżnął swą prezydenturę, przyrównuje się do prześladowanego Jezusa (oraz – i nie przeszkadza mu ten kontrast – do mściciela Edmunda Dantesa z „Hrabiego Monte Christo"). Ważna książka. We Francji była i bestsellerem, i dynamitem politycznym. Jak to było słynnym skeczu szachowym Kabaretu Pod Egidą? „Od kiedy to skompromitowani nie grają?".

Nicolas Sarkozy jest obiektem licznych postępowań prokuratorskich i bywalcem sądowych sal. Do pudła trafił, bo podobno brał pieniądze od Kaddafiego. Ale mu tego nie udowodniono. Prezydent Francji w latach 2007–2012 ma wciąż wielu wpływowych sojuszników, zwłaszcza w świecie mediów i biznesu. I ogromne ambicje, które realizuje za pośrednictwem syna, ostro idącego w górę we francuskiej polityce. Człowiek, który pogrzebał francuską centroprawicę, może jeszcze w przyszłości znacząco wpłynąć na jej los. Czy tak będzie?

„Dziennik więźnia", kabotyńska spowiedź człowieka, który po trzech tygodniach w więzieniu uważa, że swój straszny los opisać może jedynie na najwyższym diapazonie (tu mamy ową śmieszność). A zarazem rzecz intrygująca. Zdaniem znawców francuskiej polityki misternie wyważona: atak na prezydenta Macrona, wyciągnięcie ręki do Marine Le Pen, podważenie bezstronności sądów nad Sekwaną.

I teraz najlepsze: o ile histeryczny ton tych zapisków i narcyzm autora są nie do zniesienia, o tyle w kwestiach politycznych trudno nie przyznać Sarkozy'emu racji. To nie jest normalne, by rozgrzane sądy pod błahym pretekstem pakowały nielubianego polityka do więzienia. Zwłaszcza że wyrok w jego sprawie wydawała ta sama sędzia, która za czasów Sarkozy'ego aktywnie uczestniczyła w ulicznych demonstracjach przeciw reformie wymiaru sprawiedliwości. (W dodatku aktywistka związku sędziowskiego, który portret urzędującego wówczas prezydenta zawiesił na centralnym miejscu swej „ściany wrogów"). I nie jest normalne, by bez prawomocnych wyroków ostatecznej instancji jeden prezydent odzierał drugiego z orderów.

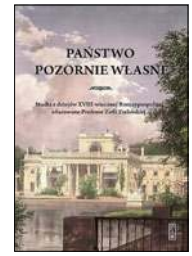
Naturalne jest, że z więźniem solidaryzuje się inna ofiara francuskiej sądokracji – Marine Le Pen, której pod dętym powodem zakazano kandydowania w wyborach prezydenckich. Kto myślał, że jedynie w Polsce mamy kłopot z nadzwyczajną kastą, powinien uważnie przeczytać „Dziennik więźnia". ©℗



★★★☆☆☆
NICOLAS SARKOZY „DZIENNIK WIĘŹNIA" SONIA DRAGA 2026

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Prace ofiarowane prof. Zofii Zielińskiej: panorama epoki stanisławowskiej i analiza procesów wiodących do upadku Rzeczypospolitej. Warto dla samego tekstu prof. Richarda Butterwicka, a jest tu jeszcze 20 innych historyków.



AUTORZY RÓŻNI „PAŃSTWO POZORNIE WŁASNE" PIW

Zapiski żałobne, spowiedź, terapia. Ceniona amerykańska pisarka idzie drogą Joan Didion i jej „Roku magicznego myślenia", próbując na papierze oswoić tragedię – nagłą śmierć ukochanego męża – i znaleźć nowy początek.



GERALDINE BROOKS „DNI PAMIĘCI" GW RELACJA

Intrygująca historia enklawy portugalskiej w Chinach, niegdyś raju handlu, dziś – kasyn o obrotach większych niż w Las Vegas. Autorka opisuje dzieje Makau z punktu widzenia chińskiej koncepcji filozoficzno-politycznej tianxia.



ELŻBIETA POTOCKA „MAKAU" WYDAWNICTWO GRADO

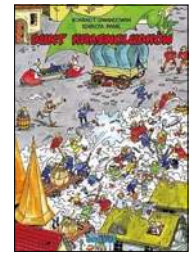
Siódmy tom monumentalnej „Historii Śródziemia" zbierającej wszystkie materiały (publikowane i inedita) dotyczące opus magnum Tolkiena. Tym razem wiele o Sarumanie i o tym, jak Profesor rozbudowywał swój świat.

recenzuje Piotr Gociek



J.R.R. TOLKIEN „ZDRADA ISENGARDU" ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA:
OPODATKOWAĆ KRASNOLUDKI!
Zaskoczenie dla tych, którzy są przekonani, że pierwsza dama polskiego komiksu, Szarlota Pawel, rysowała tylko historie o Kleksie. Tutaj za tekst odpowiada Konrad T. Lewandowski, autor książek fantasy (seria o Kotołaku), SF i kryminałów. Komiksy zawarte w tomie ukazywały się na początku lat 90. w „Świecie Młodych", „Uśmiechu Numeru" i „Filipince". Przetrwały próbę czasu. ***Piotr Gociek***



KONRAD T. LEWANDOWSKI, SZARLOTA PAWEL „BUNT KRASNOLUDKÓW" ONGRYS 2026

eprasa.pl 958d9fc47c



Věra Jourová była komisarzem do spraw sprawiedliwości, spraw konsumenckich i równości płci, a następnie wiceprzewodniczącą KE odpowiedzialną za „wartości". Można zaryzykować twierdzenie, że to jej w dużej mierze zawdzięczamy cenzorskie działania VLOPs FOT. EMILIE GOMEZ/EP/EU

Wolność słowa zagrożona



Łukasz Warzecha

Komisja Europejska oczekuje od platform internetowych, że będą reagować na „ryzykowne treści", czyli takie, które są wymierzone w elity i islam, pobudzają nastroje przeciwko uchodźcom i LGBT, zawierają populistyczną retorykę, a nawet serwują przekaz antyrządowy i antyunijny

Przez lata twórcy internetowi, właściciele popularnych profili w mediach społecznościowych, a także zwykli użytkownicy, których spotkała jakaś forma cenzury: demonetyzacja, ograniczenie widoczności profilu (tzw. shadowban), skasowanie wpisu, czasowa blokada konta albo w ogóle jego skasowanie, byli przekonani, że był to skutek poglądów właścicieli i pracowników internetowych gigantów: Facebooka, TikToka czy spółki Alphabet, czyli właściciela Google i YouTube. Nie było wszak tajemnicą, że władze tych firm i ich zespoły składały się w większości z ludzi o poglądach na lewo od centrum. W tej sytuacji kolejne zaostrzenia tzw. wytycznych dla społeczności i kolejne fale cenzury, miękkiej lub twardej, wdrażanej przez te firmy, wydawały się naturalną konsekwencją prywatnych zapatrywań osób tam pracujących albo te podmioty kontrolujących.

A co, jeśli ta hipoteza jest trafna tylko częściowo albo nawet jest całkowicie błędna? Co, jeśli od dekady za kolejnymi działaniami cenzorskimi wielkich podmiotów cyfrowych stała Komisja Europejska, a kulminacją tych poczynań jest Akt o usługach cyfrowych DSA – (Digital Services Act) – rozporządzenie unijne, które weszło w życie w 2023 r., w Polsce przez wiele środowisk reklamowane jedynie jako sposób na poradzenie sobie z samowolą wielkich firm? To właśnie jego implementację, przy propa-

eprasa.pl 958d9fc47c

gandowym jazgocie koalicji, zawetował niedawno prezydent Karol Nawrocki, jako przyczynę podając zagrożenie dla wolności słowa.

Taka teza do niedawna mogła brzmieć jak fantastyka polityczna albo – proszę wybaczyć oklepane sformułowanie – teoria spiskowa. Tak mogło być do 3 lutego 2026 r., kiedy Komisja Wymiaru Sprawiedliwości (Committee on the Judiciary) Izby Reprezentantów Kongresu Stanów Zjednoczonych opublikowała swój raport zatytułowany: „Groźba zagranicznej cenzury, cz. II: europejska dziesięcioletnia kampania na rzecz cenzurowania światowego Internetu oraz sposób, w jaki uderzała w wolność słowa w USA". 160-stronicowy dokument przynosi drobiazgowe i doskonale udokumentowane zestawienie działań KE, zmierzających do wywarcia nacisku na cyfrowych gigantów, aby wprowadzali coraz ostrzejsze reguły i coraz ściślej ograniczali wolność słowa. Raport nie jest publicystyką. Na poparcie zawartych w nim wniosków przytoczono kilkaset relacji ze spotkań odbytych z przedstawicielami firm internetowych przez reprezentantów unijnych instytucji, e-maili, artykułów i fragmentów firmowej korespondencji wewnętrznej, a więc nieprzeznaczonej pierwotnie do rozpowszechniania. W takich przypadkach pisze się zwykle bardziej otwarcie.

Komisją kierują dwaj republikańscy kongresmeni: przewodniczącym jest Jim Jordan z Ohio, a jego zastępcą Jamie Raskin z Maryland. W składzie są oczywiście przedstawiciele obu partii: oprócz przewodniczącego i jego zastępcy 24 kongresmenów republikańskich i 18 demokratycznych.

NIE TYLKO PRZECIW EKSTREMIZMOWI

Może wydawać się dziwne, że komisja amerykańskiego parlamentu zajęła się działaniami instytucji unijnych. Jednak, jak wynika z raportu, naciski UE miały wpływ na politykę cyfrowych gigantów nie tylko w Europie, lecz także praktycznie na całym świecie. Firmy, określane w unijnych dokumentach, w tym w DSA, jako bardzo duże platformy internetowe (VLOPs – Very Large Online Platforms), nie były w stanie różnicować swoich wytycznych w zależności od miejsca zamieszkania czy przebywania użytkowników, więc decyzje wynikające z działań komisji wprowadzały dla wszystkich. Kongres uznał zatem, że miało to negatywny wpływ na kwestię wolności słowa również w USA.

Dla zrozumienia, z jakim schematem działania mieliśmy do czynienia, ważne jest spojrzenie z dystansu. W ciągu dekady, będącej przedmiotem badania komisji Kongresu, powstawały kolejne gremia i rekomendacje, z których wiele było formalnie dobrowolnych, a przystąpienie do nich nie było dla VLOPs obowiązkowe, jednak – jak wynika z cytowanej wewnętrznej korespondencji – nikt tam nie miał złudzeń, że nieuczestniczenie w tych poczynaniach oznacza kłopoty. Urzędnicy UE dawali to jasno do zrozumienia.

Celem strategicznym kolejnych Komisji – ta droga zaczęła się jeszcze za przewodnictwa Jeana-Claude'a Junckera (lata 2014–2019), a kontynuowała ją Ursula von der Leyen – była zaś zamiana reguł formalnie niewiążących na obowiązkowe, a więc te zawarte w DSA. Jako szczególny szwarccharakter w świetle raportu jawi się Czeszka Věra Jourová, była komisarz do spraw sprawiedliwości, spraw konsumenckich i równości płci (lata 2014–2019), a potem, w pierwszej Komisji Ursuli von der Leyen, wiceprzewodnicząca odpowiedzialna za „wartości". Można zaryzykować twierdzenie, że to jej w dużej mierze zawdzięczamy cenzorskie działania VLOPs.

Opisana w raporcie historia nacisków zaczyna się w roku 2015, gdy przy Dyrekcji do spraw Migracji i Spraw Wewnętrznych KE powołano Forum Internetowe UE (EUIF). Oficjalnie miało ono zajmować się zapobieganiem rozprzestrzenianiu się w Internecie poglądów i zachowań ekstremistycznych, jednak szybko zarzuciło sieć o wiele szerzej. Niemała część opublikowanych w raporcie dokumentów pochodzi właśnie z EUIF.

Kierunek działań komisji wytyczyły Niemcy. To tam w 2017 r. do ustawodawstwa weszło Netzwerkdurchsetzungsgesetz, czyli ustawa o zasadach cenzurowania sieci, uwzględniająca m.in. „mowę nienawiści" i dająca tydzień na usunięcie treści zaliczonych do tej kategorii. Przedstawiciele Facebooka stwierdzili, że niemiecka ustawa wykreowała podejście oparte na zasadzie „usunąć w razie wątpliwości". Zatem domyślnym działaniem jest usuwanie, a nie pozostawienie treści.

Dla EUIF wyznacznikiem jest kilkudziesięciostronicowy „Podręcznik ryzykownych treści" (Handbook of Borderline Content), publicznie niedostępny. Owe „ryzykowne treści", które mają powodować reakcję platform internetowych, to treści antyelitarne, antyimigranckie, islamofobiczne, pobudzające nastroje przeciwko uchodźcom i LGBT, populistyczna retoryka, a nawet treści antyrządowe i antyunijne. Jak widać, zakres jest ogromny, zwłaszcza gdy uwzględnimy, że większość tych pojęć jest elastycznie rozciągana i dopasowywana do postulatów unijnych mandarynów i polityków głównego nurtu. Raport wspomina o warsztatach w ramach EUIF, zorganizowanych dla przedstawicieli firm internetowych w 2022 r., podczas których reprezentanci KE domagali się podejmowania wobec tego typu treści działań prewencyjnych, polegających m.in. na demonetyzacji. Miała ona dotykać twórców poruszających wspomniane wyżej tematy, a także uderzających w covidowy sanitaryzm.

WALKA Z „MOWĄ NIENAWIŚCI" I „DEZINFORMACJĄ"

Duże znaczenie miały dwa przyjęte – znów „dobrowolnie" – kodeksy postępowania. Słowo „dobrowolnie" trzeba tu pisać w cudzysłowie. Jednym z dowodów na faktyczny przymus w tej sprawie jest wewnętrzny e-mail, przesłany między pracownikami Google w czerwcu 2023 r., w którym zawarto informację o otwarciu nowej podgrupy roboczej w ramach jednego z kodeksów postępowania. Pracownik pisze: „Zakładam, że chcemy dołączyć (tak naprawdę nie mamy wyboru)".

W 2016 r. stworzono kodeks dotyczący „mowy nienawiści", a dwa lata później – „dezinformacji". Jak wynika z dokumentacji, zawierającej relacje ze spotkań z Věrą Jourovą, sygnalizowała ona VLOP-om, że te wytyczne miały tymczasowo wypełnić „lukę prawną" do momentu ustanowienia regulacji wiążącej prawnie, czyli uchwalonego w 2022 r. DSA. To niejedyne miejsce, gdzie raport wskazuje, że DSA jest logiczną kontynuacją wcześniejszych działań, a skoro tak, to jasne jest, że jego głównym celem nie było wzmocnienie zwykłych użytkowników przeciwko

eprasa.pl 958d9fc47c

samowoli mediów społecznościowych, ale wprowadzenie cenzury jako mechanizmu obowiązkowego.

Pojęcie dezinformacji jest kluczowe, ponieważ gremia cenzorskie definiują je rozszerzająco – nie tylko jako informacje wprost sprzeczne z możliwymi do ostatecznego zweryfikowania faktami. Tak było chociażby podczas pandemii, kiedy walka z rzekomą dezinformacją w sprawie szczepionek i polityki covidowej była dla KE priorytetem – w 2020 r. jasno oświadczył to członek gabinetu politycznego Jourovej w korespondencji z TikTokiem. Tyle że w wypadku sporu o sanitaryzm mieliśmy do czynienia z kontrargumentami opartymi na pojawiających się na bieżąco badaniach, a o wiedzy naukowej z danego momentu naprawdę trudno było mówić, że jest niezachwiana i ostateczna. Mimo to każde zdanie odrębne, choćby najlepiej uzasadnione, od razu kwalifikowano właśnie jako „dezinformację".

Do tego pojawia się jeszcze pojęcie „misinformacji" (misinformation), niemające zgrabnego polskiego odpowiednika. Różnica między pierwszym a drugim teoretycznie jest taka, że w przypadku dezinformacji mamy do czynienia z celowym kłamstwem, zmierzającym do osiągnięcia z góry zakładanego celu, podczas gdy to drugie ma być niecelowym i nieintencjonalnym podawaniem dalej nieprawdziwych wiadomości. Przy czym w optyce komisji pomiędzy jednym a drugim nie było znaczącej różnicy.

Poza sprawą polityki pandemicznej KE ostro zabrała się również do tępienia niepoprawnych opinii na temat wojny na Ukrainie. Komisja domagała się od VLOP-ów bieżących informacji w sprawie zwalczania przez nie „problematycznej zawartości". Platformy internetowe karnie raportowały swoje „sukcesy". Pod koniec 2022 r. YouTube informował, że usunął 80 tys. filmów i zamknął 9 tys. kanałów, które „zaprzeczały, minimalizowały lub trywializowały atak Rosji na Ukrainę". Zaprzeczanie to jawne rozminięcie się z faktami, które można jednoznacznie zdefiniować, choć i tak można mieć wątpliwości, czy powinno to być powodem do usuwania treści. Jednak minimalizowanie albo trywializowanie to już kompletnie arbitralne i nieostre pojęcia. Można by zadać pytanie kierownictwu YouTube: Jak bardzo trzeba było potępiać Rosję i jak bardzo wychwalać Ukrainę, żeby nie podpaść pod którąś z tych kategorii?

Instytucje uniijne mogą liczyć na wsparcie certyfikowanych podmiotów sygnalizujących, czyli po prostu certyfikowanych donosicieli

W sukurs przy takich pytaniach mogą przyjść organizacje, uznawane przez Komisję za certyfikowane podmioty sygnalizujące, czyli po prostu certyfikowanych donosicieli, których donosy są traktowane priorytetowo. To podmioty takie jak NewsGuard – amerykańska firma powiązana z lewicowym establishmentem. Deklaruje, że stoi na straży rzetelności medialnej, faktycznie forsując jedynie słuszną linię. Publikacje ludzi powiązanych z NewsGuard, pojawiające się wyłącznie w tytułach bliskich establishmentowi, takich jak „The New York Times" czy „The Washington Post", skupiają się na śledzeniu „rosyjskich powiązań" po stronie konserwatywnych podmiotów medialnych. To metoda doskonale znana z polskiego podwórka, powielana przez takie organizacje jak Demagog.pl.

EUROPEJSKA TARCZA DEMOKRACJI

Przejdźmy do roku 2023, czyli do momentu wejścia w życie rozporządzenia Parlamentu Europejskiego i Rady UE numer 2022/2065 – Aktu o usługach cyfrowych. W jaki sposób zaszyto w nim mechanizm cenzury? Chodzi o nakładany na VLOP-y w art. 34 rozporządzenia obowiązek okresowej oceny ryzyka systemowego, które zostało mgliście wyjaśnione jako „ryzyko wystąpienia faktycznych lub przewidywalnych negatywnych skutków dla dyskursu obywatelskiego i procesów wyborczych oraz dla bezpieczeństwa publicznego". Brzmi to, jak instrukcja z „Raportu mniejszości" Philipa K. Dicka: „przewidywalne negatywne skutki dla dyskursu obywatelskiego" – w praktyce można pod tę kategorię podstawić niemal wszystko, co nie pasuje władzy i establishmentowi. Punktem odniesienia jest tutaj choćby unijna Karta Praw Podstawowych, zawierająca m.in. zakaz dyskryminacji ze względu na orientację seksualną.

Z kolei art. 35 DSA nakłada na te same podmioty obowiązek zmniejszania systemowego ryzyka. Zatem po prostu stosowania cenzury. Jako że VLOP-y nie miały jasności, jak odczytywać definicję ryzyka systemowego, komisja wskazała, że powinny stosować dwa wspomniane wyżej „nieobowiązkowe" kodeksy: dotyczący „mowy nienawiści" oraz „dezinformacji". A w czasie warsztatów dotyczących wdrażania DSA w maju ubiegłego roku przedstawiciele VLOP-ów usłyszeli, że usuwanie nielegalnej zawartości nie wystarczy; usuwana ma być zawartość „niepożądana", choć całkowicie legalna.

Kary dla niepokornych są gigantyczne. Za niepodporządkowanie się DSA grozi kara aż do 6 proc. globalnego rocznego przychodu. Trudno się dziwić, że niemal wszyscy kładą uszy po sobie. Wyłamał się tylko X, będący własnością Elona Muska, i w ubiegłym roku w grudniu nałożono na niego karę w wysokości 120 mln euro. Oficjalnie powody były trzy: niejasne kryteria przyznawania niebieskich odznak zweryfikowanego konta, odmowa dostępu do danych dla „badaczy" oraz brak przejrzystości systemu reklam. Każdy, kto ma do czynienia z Facebookiem, wie, że jeśli za te sprawy ukarano firmę Elona Muska, to firma Marka Zuckerberga mogłaby zostać za to samo i wiele innych spraw ukarana w dwójnasób. Tak się jednak nie dzieje z prostego powodu: Facebook grzecznie wprowadza unijne reguły cenzorskie, a X nie.

Jeśli ktoś sądził, że DSA to koniec drogi, to grubo się mylił. Jak wskazuje raport, kolejne zagrożenia tworzy program Europejskiej Tarczy Demokracji, sprawa w Polsce kompletnie nieznana. Informacje o nim można znaleźć na stronach komisji. Oto jak opisywany jest cel tarczy: „Zabezpieczenie integralności sfery informacyjnej; wzmocnienie instytucji, wolnych i uczciwych wyborów, a także wolnych i niezależnych mediów; wzmocnienie odporności społecznej i zaangażowania obywateli". To język czysto orwellowski – w praktyce każde słowo zawarte w tym opisie trzeba rozumieć odwrotnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 958d9fc47c

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

MAŁGORZATA PABIS: „KOBIETY DO ZADAŃ SPECJALNYCH”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

<<<

~~998~~ ZŁ

516,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 482 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 958d9fc47c

Raj dla imigrantów



Krzysztof Kawęcki

Komisja Europejska ogłosiła, że żaden kraj Unii Europejskiej nie ma możliwości wyłączenia z unijnych przepisów migracyjnych. Nawet jeżeli rząd polski uzyska od UE – ze względów taktycznych przed wyborami parlamentarnymi – zgodę na częściowe, chwilowe zwolnienie od obowiązku relokacji, to będzie to jedynie działanie doraźne

W ciągu ostatniej dekady Polska stała się krajem imigracyjnym. To rezultat polityki migracyjnej realizowanej przez lata zarówno przez Platformę Obywatelską (dziś Koalicję Obywatelską), jak i Prawo i Sprawiedliwość. Wprowadzane przez kolejne rządy skrajnie liberalne przepisy doprowadziły do gwałtownego napływu cudzoziemców, nie tylko z Ukrainy.

W roku 2012 rząd Donalda Tuska przyjął 140-stronicowy dokument „Polityka migracyjna Polski – stan obecny i postulowane działania". Przyjęty przez Radę Ministrów dokument wpisuje się w unijną politykę wielokulturowości, której pierwszym etapem jest otwarcie na migrację ekonomiczną. Podobnie jednak jak w przypadku narracji zachodnich ośrodków proimigracyjnych znalazły się w nim obszerne fragmenty o przeciwdziałaniu nielegalnej imigracji i ochronie granic. Określone zostały – zapewne w celu uspokojenia opinii publicznej – priorytety w zakresie przyjmowania imigrantów (osoby pochodzenia polskiego, studenci, naukowcy, cudzoziemcy prowadzący działalność gospodarczą, obywatele państw członkowskich Unii Europejskiej). Rozwijane miały być mechanizmy uproszczonego podejmowania pracy przez cudzoziemców. Podobnie w roku 2017 Jerzy Kwieciński, minister inwestycji i rozwoju w rządzie PiS, wskazywał na konieczność otwarcia polskiego rynku na zagranicznych pracowników. Przekonywał, że w latach 2015–2020 z polskiego rynku pracy zniknie 600 tys. osób, które powinni zastąpić cudzoziemcy. W ślad za raportami różnych instytucji międzynarodowych, w tym Banku Światowego, przyjmowano, że w roku 2030 na polskim rynku pracy brakować będzie ok. 4 mln pracowników i jedynym sposobem przeciwdziałania będzie oczywiście przyjęcie imigrantów. Nowelizacja ustawy o rynku pracy wprowadziła ułatwienia w dostępie do rynku pracy dla obywateli z państw spoza UE. Do Polski zaczęli przyjeżdżać cudzoziemcy z krajów pozaeuropejskich, w tym z Da-

eprasa.pl 958d9fc47c


FOT. ADOBE STOCK

lekiego Wschodu i Afryki. Z danych Eurostatu wynika, że w roku 2017 w naszym kraju prawo legalnego pobytu uzyskało ponad 680 tys. obcokrajowców. W roku 2023 przyznano najwięcej zezwoleń ze wszystkich państw członkowskich UE – 643 tys.

Stworzony został system zachęt dla imigrantów ekonomicznych. Doświadczenie państw zachodnich pokazuje, że jest to pierwszy etap na drodze do zainstalowania ideologii multikulturalizmu. W Niemczech w latach 70. przebywało ok. 2,5 mln imigrantów ekonomicznych z południa Europy i północnej Afryki. Wprowadzony następnie program łączenia rodzin doprowadził w ciągu 20 lat do gwałtownego wzrostu liczby imigrantów – do 7,3 mln. W ten sposób Republika Federalna Niemiec stała się państwem, w którym migranci są nieodwracalnym składnikiem niemieckiej rzeczywistości. Polityczny przekaz skierowany do obywateli niemieckich, że ekonomiczni imigranci nie pozostaną na stałe, był świadomie sfałszowany. Programy integracyjne okazały się nieskuteczne. Dziś co piąty Niemiec ma obce korzenie, większość z nich to potomkowie gastarbeiterów.

KONCEPCJA „ISLAMU EUROPEJSKIEGO"

Przyjęty w roku 2019 przez rząd PiS strategiczny projekt „Polityka migracyjna Polski" faktycznie był kontynuacją zapisów programu polityki migracyjnej rządu PO i PSL. W kolejnym dokumencie pod tym samym tytułem, opracowanym przez Zespół do spraw Migracji Departamentu Analiz i Polityki Migracyjnej Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, odrzucono ideę wielokulturowości na rzecz „kultury wiodącej". Odwoływano się do pojęcia doktryny „Leitkultur" sformułowanej przez muzułmanina Bassama Tibiego, twórcę koncepcji „islamu europejskiego". Doktryna ta zakłada integrację imigrantów zgodnie z wartościami demokracji liberalnej, której wektory wyznaczają sekularyzm, świecka tolerancja, pluralizm religijny i kulturowy, społeczeństwo obywatelskie.

W roku 2022 środowiska liberalno-lewicowe przygotowały raport „Gościnna Polska 2022+", w którym propagowano wizję wielokulturowej i wieloetnicznej Polski. W jednym z rozdziałów postulowano wypracowanie i przyjęcie polityki integracyjnej dotyczącej cudzoziemców oraz przedstawicieli mniejszości, „tak aby uwzględniała nie tylko perspektywę polskiego społeczeństwa, ale również potrzeby grup imigranckich, a w szczególności uchodźców wojennych z Ukrainy". Autorzy rozdziału Maciej Bukowski i Maciej Duszczyk (w latach 2023–2025 podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i Administracji) szacowali obecność Ukraińców na ok. 2,9 mln osób. „Polska – piszą – staje się krajem dwunarodowym, z oczywistą przewagą narodu polskiego, ale z rosnącym udziałem narodu ukraińskiego. Związane są z tym szanse, ale i wyzwania. Przy przyjęciu rozwiązań systemowych w zakresie przede wszystkim mieszkalnictwa, edukacji, rynku pracy, opieki zdrowotnej oraz kultury większa niż do tej pory obecność Ukraińców w Polsce będzie korzystna".

Rząd Donalda Tuska przyjął strategię migracyjną Polski na lata 2025–2030, której nadano tytuł „Odzyskać kontrolę. Zapewnić bezpieczeństwo". Powiela ona kierunki proimigracyjne nakreślone w poprzednich dokumentach rządowych. Zapowiedzi „selektywnego podejścia do polityki imigracyjnej", tj. regulowanie zasad wjazdu i pobytu w Polsce cudzoziemców, w sytuacji obowiązujących unijnych regulacji są pozbawione praktycznego znaczenia.

Nowy horyzont polityki migracyjnej Unii Europejskiej wyznacza pakt o migracji i azylu zatwierdzony w maju roku 2024 kolejno przez Parlament Europejski i Radę Europejską. W ostatnim przypadku większością kwalifikowaną (przeciwko głosowały Polska, Słowacja i Węgry), a nie z zastosowaniem zasady jednomyślności. Pakt wprowadza mechanizm solidarności, który zakłada migrację między państwami UE na poziomie minimum 30 tys. osób rocznie. Obowiązkowa solidarność ma na celu przerzucenie imigrantów z takich krajów jak Włochy, Hiszpania, Francja czy Niemcy do państw mniej obciążonych, np. Polski. Liczbę imigrantów przeznaczonych do relokacji ustali Komisja Europejska m.in. na podstawie liczby ludności i PKB danego kraju. Państwo, które nie wyrazi zgody na przyjęcie migrantów, zobowiązane będzie do zapłaty 20 tys. euro za każdego nieprzyjętego cudzoziemca. Pakt o migracji i azylu został uszczegółowiony w kilku unijnych rozporządzeniach, które będą stosowane od czerwca roku 2026.

Traktat o funkcjonowaniu UE (TFUE) określa, że Unia w zakresie legalnej imigracji może ustanawiać warunki dotyczące wjazdu i pobytu obywateli państw trzecich na terenie państwa członkowskiego, w tym przepisy dotyczące łączenia rodzin. W odniesieniu do nielegalnej imigracji określa zasady powrotów i readmisji. Pakt dotyczący migracji i azylu ma obowiązywać wszystkie państwa

eprasa.pl 958d9fc47c

członkowskie, z wyjątkiem Danii, która wynegocjowała wcześniej klauzulę opt-out (wyłączenie z unijnych przepisów), oraz Irlandii, która wynegocjowała wcześniej klauzulę opt-in (możliwość wyboru inicjatyw unijnych, w których uczestniczy). Państwa te podpisały stosowne protokoły z UE. W ostatnim czasie rząd Holandii wystąpił bezskutecznie do Brukseli o zastosowanie migracyjnej zasady opt-out. Komisja Europejska ogłosiła, że żaden kraj UE nie ma możliwości wyłączenia z unijnych przepisów migracyjnych, a wynegocjowanie tej zasady było możliwe jedynie wówczas, gdy toczyły się negocjacje w sprawie traktatów. Ostatnio rzecznik KE, Markus Lammert, oznajmił, że pakt migracyjny jest wiążący dla wszystkich państw UE.

Tak więc między bajki można włożyć zapewnienia Donalda Tuska i polityków koalicji rządowej, że Polska nie będzie wdrażała paktu migracyjnego. Teoretycznie unijni decydenci mogą uznać, że państwa członkowskie UE znajdujące się w obliczu „znaczącej sytuacji migracyjnej" mogą co najwyżej wnioskować o obniżenie finansowych wkładów solidarnościowych lub ich zamianę na wsparcie personalne i rzeczowe, przeznaczone na działania w innych państwach. Nawet jeżeli rząd uzyska – ze względów taktycznych przed wyborami parlamentarnymi – zgodę na częściowe, chwilowe zwolnienie od obowiązku relokacji z uwagi na presję migracyjną na granicy z Białorusią i liczbę przyjętych Ukraińców, to będzie to jedynie działanie doraźne.

PRAWICOWE MYŚLENIE ŻYCZENIOWE

Sympatycznie brzmiały słowa Karola Nawrockiego wypowiedziane w kampanii wyborczej, że jako prezydent Polski będzie dążył do jednostronnego wypowiedzenia paktu migracyjnego. Jednak w sytuacji, gdy polityką azylową i migracyjną „zarządza" UE i żadne państwo członkowskie UE nie może samodzielnie o niej decydować, ówczesne słowa obecnego prezydenta Polski należy traktować w kategoriach życzeniowych.

Prawo i Sprawiedliwość słusznie zarzuca rządowi brak skutecznych działań wobec przerzucania imigrantów na terytorium Polski przez władze niemieckie. Jednak prowadzenie akcji protestacyjnych pod hasłem „Stop nielegalnej imigracji" nie odnosi się do rzeczywistego zagrożenia, które stanowi, wspierana przez UE, legalna imigracja. Jednym z założeń paktu o migracji i azylu jest przeciwdziałanie nielegalnej imigracji w rozumieniu Unii. Służyć temu ma wzmocniona kontrola zewnętrznych granic UE. Zaostrzone mają zostać procedury azylowe poprzez zmianę definicji „bezpiecznego państwa trzeciego". Agencja UE do spraw Azylu (AUEA) ma monitorować wdrażanie przez kraje Unii przepisów w zakresie udzielania azylu i przyjmowania imigrantów. Jednocześnie utrzymane zostaną „legalne środki azylowe".

Polityka migracyjna UE to zaprogramowane działanie międzynarodowych ośrodków finansowych, politycznych, medialnych, którego wykonawcą jest brukselski establishment

Niestety, nawet w kręgach Konfederacji pojawiły się wypowiedzi, których wcześniej nie było. Ewa Zajączkowska-Hernik zastrzega wprawdzie, że nie chce masowego zalewu imigrantów, ale uznaje imigrację zarobkową: „Nielegalnych imigrantów nie powinniśmy do Polski w ogóle wpuszczać, ale jesteśmy za wszystkimi, którzy przybywają do Polski w celu budowania naszej gospodarki, zakładania tutaj rodzin, budowania naszego potencjału i poprawiania naszej dzietności". Także prezes wchodzącego w skład Konfederacji Ruchu Narodowego Krzysztof Bosak podczas ubiegłorocznego kongresu tej partii, w rzeczowym i dobrym wystąpieniu, w sprawie imigracji zaprezentował jednak kontrowersyjne stanowisko. Obok oczywistych sformułowań o potrzebie odpowiedniej polityki migracyjnej, bezpiecznych granicach, potrzebie sprawnego systemu deportacyjnego i działań służb państwowych z jego ust padły słowa: „Potrzebujemy kontroli napływu imigracji i selekcji imigrantów. Potrzebujemy warunków, pod którymi chcemy przyjmować cudzoziemców, i oczywiście górnych kwot imigracji, aby imigranci pozostali w Polsce zdecydowaną i rozproszoną mniejszością, tak by mogli się integrować".

Realnym zagrożeniem jest zjawisko migracji usankcjonowane przez UE. Globalistyczne centra wskazują, że w najbliższych dwóch dekadach nastąpi napływ do Europy „migrantów klimatycznych" z Afryki. Szacują, że do roku 2050 może przybyć do Europy od 25 do 80 mln imigrantów.

ODRZUCIĆ FEDERALIZM

Mathieu Bock-Côté w wydanej w roku 2016 książce „Multikulturalizm jako religia polityczna" zauważa, że współczesne modele ustrojowe – demokracja multikulturowa i demokracja kosmopolityczna – dążą do zniszczenia narodu jako wspólnoty politycznej. Zwraca uwagę, że kwestia imigracji, w tym muzułmańskiej, w polityce lewicy europejskiej to działanie na rzecz zniszczenia chrześcijańskiej tożsamości Europy. Muzułmanie mieliby stać się Europejczykami pozbawionymi świadomości narodowej. Ludność muzułmańska miałaby się zeuropeizować. Niektórzy ze zwolenników tego poglądu uznają nawet, że islam doprowadzi do otwarcia Europy na multikulturalizm, konieczny do dekonstrukcji państw narodowych i do stworzenia globalnej wspólnoty politycznej.

Polityka migracyjna UE to zaprogramowane działanie międzynarodowych ośrodków finansowych, politycznych, medialnych, którego wykonawcą jest brukselski establishment. Dlatego konieczna jest współpraca wszystkich sił w Europie, które odrzucają unijny federalizm. Trzeba jednak mieć świadomość, że paktu migracyjnego nie da się odrzucić w ramach UE – na gruncie takich instytucji jak Parlament Europejski, Komisja Europejska, Rada UE czy Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Prawdę tę trzeba „bez światłocienia" przekazać Polakom. To gigantyczne edukacyjne wyzwanie dla polskiej polityki. Po wejściu w życie paktu migracyjnego każdy następny rok pozostawania w UE oznacza utratę chrześcijańskiej, narodowej tożsamości. Polska nie może być krajem imigracyjnym.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 958d9fc47c

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl 958d9fc47c

Rozstanie z Europą



Filip Memches

Rosyjski establishment polityczny postawił na eurazjanizm. Koncepcja ta w dzisiejszej wersji stanowi wyraz wrogości Rosji do Zachodu. Ale biorąc pod uwagę to, czym była pierwotnie, nie jest ona bezwarunkowo antyzachodnia



FOT. ADOBESTOCK

Politolog Siergiej Karaganow należy do czołowych antyzachodnich „jastrzębi" rosyjskiego życia publicznego. Niedawno udzielił on wywiadu amerykańskiemu dziennikarzowi Tuckerowi Carlsonowi. Dużą część tego, co w tej rozmowie powiedział, należy interpretować w kategoriach charakterystycznej dla propagandy Kremla, buńczucznej retoryki wojennej. Chodzi zwłaszcza o straszenie Europejczyków gotowością użycia przez Federację Rosyjską broni jądrowej, m.in. w kierunku Poznania (skądinąd owe pogróżki to stały element w repertuarze Karaganowa).

Z przekazu werbalnego, który płynął z ust Rosjanina, wyzierała pewność siebie. To, czy jednak była ona autentyczna czy też stanowiła maskę mającą zasłonić coś zgoła przeciwnego, chyba dającego o sobie znać w mowie ciała politologa, pozostaje sprawą otwartą.

Ale w wywiadzie Carlsona z Karaganowem warto zwrócić uwagę na co innego. Chodzi o ten wątek rozmowy, który można potraktować jako ilustrację istotnej zmiany, która zaszła w myśleniu rosyjskich elit politycznych o globalnej architekturze. Otóż Karaganow wyraził przekonanie, że Rosja to nie tylko największe terytorialnie państwo świata, lecz także odrębna względem Europy (ale wobec Azji również), rozciągająca się na olbrzymiej przestrzeni, cywilizacja. Ów pogląd jeszcze kilkanaście lat temu krążył poza głównym nurtem polityki rosyjskiej. Wtedy był kojarzony głównie z koncepcją Aleksandra Dugina – wówczas publicysty kibicującego Władimirowi Putinowi, choć pozbawionego wpływu na Kreml.

Wywód Karaganowa można streścić następująco: Rosjanie wracają do swoich korzeni, czyli do Eurazji. Owszem, łączy ich z Europą to, że przyjęli od niej chrześcijaństwo (którego kolebkę stanowi jednak Azja), ale ów fakt jest tylko jednym z wielu czynników kształtujących rosyjską tożsamość. Jednocześnie bowiem Rosja pozostaje krajem mnóstwa etnosów i mnóstwa religii, oprócz chrześcijan (co istotne, obrządku wschodniego) zamieszkują ją choćby wyznawcy islamu, buddyzmu, judaizmu. A pod względem politycznym Federacja Rosyjska to spadkobierca imperium Dżyngis-chana – państwa, któremu w średniowieczu przez ok. 240 lat podporządkowane były ziemie ruskie. Rosję zatem łączą silne więzi z Azją. Konsekwencję tego stanu rzeczy stanowi zacieśnianie współpracy z Chińską Republiką Ludową.

Interlokutor Carlsona nie szczędził Europie mocnych oskarżeń. Stwierdził, że jest ona źródłem wszelkiego zła. Chodziło mu zarówno o zjawiska stare, które bynajmniej – jak zasugerował – nie odeszły w przeszłość: kolonializm, rasizm, nazizm, jak i nowe, będące pokłosiem przetaczającej się przez Zachód lewicowej rewolucji kulturowej – deprecjonowanie modelu normalnej rodziny, obrzydzanie postaw patriotycznych. Mówiąc o tym, Karaganow poczynił ważną konstatację: kiedyś Rosja obrała kurs na Europę. Tak było na początku XVIII w. za panowania cara Piotra I Wielkiego. Chodziło o to, żeby naśladować europejskie wzorce rozwoju społecznego i ekonomicznego. Ale ostatecznie wybór dokonany przez rosyjskiego monarchę okazał się błędem, i to brzemiennym w skutki. Dlatego, zdaniem politologa, odwrót Rosjan od Europy jest spóźniony, należało go zainicjować już 150 lat temu. Gdyby tak się stało, Rosja uniknęłaby obu wojen światowych i komunizmu jako ideologii importowanej z Zachodu.

IDEOLOGIA OPARTA NA ZŁUDZENIACH

Niezależnie od tego, jak Karaganow charakteryzuje Europę, jego opinia zawiera opis rzeczywistej zmiany w polityce rosyjskiej XXI stulecia. Choć Władimir Putin wywodzi się ze służb specjalnych Związku Sowieckiego, to gdy w roku 1999 został prezydentem Rosji, nie był bynajmniej zapatrzony w dyktatorów ZSRS. Natomiast drogowskazu dla siebie upatrywał w polityce Piotra I. Rosja za panowania tego cara weszła do grona największych potęg europejskich. Za to w roku 2006

eprasa.pl 958d9fc47c

rosyjski politolog Dmitrij Trenin dostrzegł we wczesnych prezydenturach Putina podobieństwa do działalności jeszcze innego polityka. W tym przypadku chodziło o Piotra Stołypina, w latach 1906–1911 premiera Rosji. Zamierzał on przeprowadzić modernizacyjne, kapitalistyczne reformy, ale z zachowaniem systemu autorytarnego (misję tego polityka przerwał jego zgon, w roku 1911 został śmiertelnie ranny przez zamachowca z partii eserów i zarazem agenta carskiej tajnej policji, ochrany).

Dlatego słuszna jest teza, że istotną cechą wczesnych prezydentur Putina była opcja prozachodnia. I mimo że Federacja Rosyjska już wówczas dążyła do hegemonii na obszarze dawnych republik sowieckich, to zarazem starała się o jak najlepsze stosunki z Zachodem, zwłaszcza w dziedzinie współpracy gospodarczej z takimi państwami jak Niemcy czy Francja. A rosyjscy antyzachodni radykałowie postponowali Kreml.

W polskich dyskusjach dotyczących utwardzania się reżimu Putina często odzywają się głosy, że dla Polski korzystny byłby scenariusz, w którym Rosja podążyłaby ścieżką liberalną i prozachodnią. Tyle że za takim postawieniem sprawy przemawia głównie oparta na złudzeniach ideologia. Pięknie brzmiące hasła przeważają w niej nad przyziemnymi realiami. Ci, którzy dają się na nią nabierać, wyobrażają sobie Zachód jako monolit. A tak nie jest. Każde państwo zachodnie kieruje się w pierwszej kolejności swoimi partykularnymi interesami, niezależnie od zawierania rozmaitych porozumień w ramach paktu północnoatlantyckiego czy Unii Europejskiej. Jako konkretny przykład niezgody między państwami zachodnimi można wymienić spór o Gazociąg Północny. Niemcy układały się w tej kwestii z Rosją, nie bacząc na stanowisko Polski (być może dlatego, że nawet III Rzeczypospolitej – członka NATO i UE – nie traktują jako pełnoprawnej części Zachodu).

Z kolei prozachodni wektor wczesnych prezydentur Putina trafnie skomentował w roku 2009 na łamach „Plusa Minusa" Jan Rokita. Proces, przez który przechodziła wtedy Rosja, nazwał on „denikinizacją" (od nazwiska dowódcy kontrrewolucyjnych wojsk w rosyjskiej wojnie domowej, gen. Antona Denikina). W oczach publicysty ówczesna polityka Putina stanowiła zwycięstwo Białej Gwardii zza grobu „ku satysfakcji świata i przestrachowi Polaków". Przypomnijmy: carska, a następnie biała Rosja – w pierwszej wojnie światowej sojusznik Francji i Wielkiej Brytanii – nie garnęła się do tego, żeby przyznać Polakom niepodległość państwową. Gdyby zatem dziś w Rosji jakimś cudem władzę przejęli politycy liberalni i prozachodni, nie oznaczałoby to automatycznie, że zamierzaliby oni iść na rękę Polsce.

INACZEJ NIŻ DUGIN

Oczywiście obecny cywilizacyjny i geopolityczny zwrot Kremla w stronę Eurazji jest zarazem aktem wrogości wobec Zachodu. Siergiej Karaganow nie pozostawił przecież co do tego wątpliwości. Niemniej sama koncepcja eurazjanizmu, do której w wywiadzie z Tuckerem Carlsonem się odwołał (choć owego terminu chyba w tej rozmowie nie użył), nie jest bezwarunkowo antyzachodnia. Problem bowiem polega na tym, że w postsowieckiej Rosji została ona zagospodarowana przez Aleksandra Dugina, a on interpretuje ją jako uzasadnienie rosyjskich resentymentów żywionych z powodu klęski Związku Sowieckiego w zimnej wojnie i rozpadu tego państwa. Tymczasem eurazjanizm narodził się na początku trzeciej dekady XX w. wśród rosyjskich białych emigrantów. Ludziom tym marzyło się co innego niż konfrontacja Rosji z Zachodem. Gdy bowiem Dugin epatuje antykolonialistyczną retoryką, obsadzając Federację Rosyjską w roli jednego z ośrodków (biegunów) buntu Globalnego Południa przeciw Zachodowi, teoretycy eurazjanizmu 100 lat wcześniej snuli rozważania nad zgubnymi dla swojej ojczyzny konsekwencjami ekspansywnej polityki w kierunku zachodnim, którą od czasów panowania Piotra I prowadzili carowie z dynastii Romanowów.

W 1922 r. w Wilnie Marian Zdziechowski wygłosił prelekcję zatytułowaną „Eurazjatyzm rosyjski" (z jej treścią można się zapoznać w wyborze jego pism „O rewolucji i bolszewizmie", wydanym w roku 2021 nakładem krakowskiego Ośrodka Myśli Politycznej). Filozof ten był przenikliwym znawcą kultury rosyjskiej. W swoim odczycie zwrócił uwagę na rozczarowanie rosyjskiej inteligencji Europą z jej projektami stanowienia nowoczesnego i postępowego porządku społecznego. I – według Zdziechowskiego – to ów zawód legł u podstaw eurazjanizmu, a nie przeświadczenie o konieczności rywalizacji z Zachodem.

Rzecz w tym, że ten nurt się zaczął wykolejać i stracił swój – z polskiej perspektywy pożądany – antybolszewicki charakter. W umysłach części jego teoretyków (bo nie wszystkich) zakiełkowała bowiem myśl, że utworzenie państwa sowieckiego to… dla Rosji szansa na powrót do swoich eurazjatyckich korzeni. Dlatego że bolszewicy zerwali z Europą. To zaś miało oznaczać, że chcąc nie chcąc, praktyka polityczna zmusi ich do oparcia się na tożsamości rosyjskiej, a nie obcej Rosjanom ideologii komunistycznej, czyli przyjdzie im obiektywnie realizować historyczną misję Rosji jako odrębnej cywilizacji. I poniekąd tak się stało. Tyle że ZSRS okazał się państwem ekspandującym w stronę zachodnią. A nie bez znaczenia jest też to, że środowisko teoretyków eurazjanizmu było mocno infiltrowane przez agenturę sowiecką.

Zdaniem Siergieja Karaganowa Europa jest źródłem wszelkiego zła: kolonializmu, rasizmu, nazizmu, deprecjonowania modelu normalnej rodziny, obrzydzania postaw patriotycznych

Dziś w Rosji tacy ich intelektualni spadkobiercy jak Dugin wysławiają Związek Sowiecki w wymiarze cywilizacyjno-geopolitycznym, innym niż wymiar ideologiczny – jako Eurazję, która pod dyktaturą Józefa Stalina stawiła czoła Zachodowi. Z tego zaś, co Karaganow wyartykułował w wywiadzie przeprowadzonym z nim przez Carlsona, można wysnuć wniosek, że w dyskursie rosyjskiego establishmentu politycznego eurazjanizm już się po prostu zadomowił.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 958d9fc47c

Sytuacja bez wyjścia



Paweł Chmielewski

Nie widać żadnej perspektywy na pojednanie Bractwa Kapłańskiego św. Piusa X ze Stolicą Apostolską. Główne problemy to stosunek do dokumentów Soboru Watykańskiego II i dziedzictwo pontyfikatu papieża Franciszka

2 lutego przełożony generalny Bractwa (FSSPX), ks. Davide Pagliarani, ogłosił, że na początku lipca 2026 r. w jego wspólnocie odbędą się konsekracje nowych biskupów: jeżeli będzie trzeba, to również bez zgody Rzymu. Oznacza to prawdziwy przełom w dotychczasowych relacjach z Watykanem. Bractwo zostało założone w 1970 r. przez abp. Marcela Lefebvre'a celem zachowania liturgicznej i doktrynalnej Tradycji Kościoła. Popadło w konflikt ze Stolicą Apostolską, bo papieże przeprowadzali w tamtym czasie gruntowną modernizację katolicyzmu, której kierunek abp Lefebvre oceniał bardzo krytycznie. W 1988 r. hierarcha zdecydował się na wyświęcenie biskupów dla Bractwa pomimo wyraźnego zakazu ze strony Jana Pawła II. W odpowiedzi papież ogłosił ekskomunikę abp. Lefebvre'a i nowych biskupów, sugerując, że Bractwo znalazło się w stanie schizmy. Wiele lat po śmierci abp. Lefebvre'a sytuację postanowił uzdrowić Benedykt XVI. W 2007 r. dał Kościołowi swobodę celebrowania tradycyjnej liturgii, a w roku 2009 zdjął ekskomuniki. Dialog, który nawiązał wówczas z FSSPX, nie przyniósł porozumienia w kwestiach doktrynalnych, ale od strony formalnej sytuacja została w dużym stopniu znormalizowana. Ten stan rzeczy rozpoznawał nawet papież Franciszek, który zaczął przekierowywać posługę kapłanów Bractwa na zwykłe tory funkcjonowania w Kościele, np. poprzez umożliwienie im spowiadania wiernych w zgodzie z prawem kościelnym.

GROŹBA EKSKOMUNIKI

Biskupów wyświęconych przez abp. Lefebvre'a było pierwotnie czterech. Dwaj już nie żyją, a pozostali zbliżają się do wieku emerytalnego. Bez biskupów Bractwo nie byłoby w stanie funkcjonować na dotychczasowych zasadach: prowadzi seminaria, a to oznacza konieczność wyświęcania księży; formuje wiernych, a to wymaga zdolności do udzielenia sakramentu bierzmowania. Do tego są potrzebni biskupi. Teoretycznie Bractwo mogłoby prosić o pomoc biskupów diecezjalnych, ale to wymagałoby uprzedniego pojednania z Rzymem, do czego daleko z przyczyn doktrynalnych. Dlatego deklaracja ks. Davide'a Pagliaraniego o planie wyświęcenia nowych biskupów nikogo nie zaskoczyła. Problem w tym, że tak samo jak w roku 1988 Stolica Apostolska nie chce się na to zgodzić – i grozi Bractwu kolejnymi ekskomunikami.



Kardynał Víctor Manuel Fernández (z lewej) oraz ks. Davide Pagliarani podczas spotkania w Watykanie

FOT. BRACTWO ŚW. PIUSA X - WIERNI/FACEBOOK

Po wyborze Leona XIV ks. Davide Pagliarani postanowił poprosić Watykan o zgodę na nowe święcenia. Latem 2025 r. napisał list do papieża, ale Ojciec Święty nie udzielił żadnej odpowiedzi. Przełożony generalny Bractwa wysłał drugi list. Odpowiedź przyszła dopiero w styczniu tego roku. Udzielił jej prefekt Dykasterii Nauki Wiary, kard. Victor Manuel Fernández. Z racji na swój urząd to właśnie on odpowiada za dialog z Bractwem. To dość szczególna sytuacja, bo nie ma obecnie w Kościele innego kardynała, który wzbudzałby tak poważne zastrzeżenia natury doktrynalnej i moralnej. Kardynał napisał w młodości kilka książek dla młodzieży, gdzie przedstawiał ludzką seksualność w dość dziwacznym, mistycznym ujęciu.

eprasa.pl 958d9fc47c

Fragmenty jego prac krążą w Internecie i do dziś wywołują zdziwienie wielu czytelników. Papież Franciszek uczynił go w 2018 r. arcybiskupem La Platy w Argentynie, ale kardynał nie dał sobie rady. Podjął złe decyzje w sprawie księdza oskarżanego o wykorzystywanie nieletnich, za co musiał później przepraszać.

W 2023 r. Ojciec Święty powołał go mimo wszystko do Watykanu, powierzając najważniejszy urząd dla spraw doktrynalnych. Kardynał zaczął od gwałtownej obrony dokumentu „Amoris laetita", który wprowadza wątpliwą naukę o rozumieniu ludzkiego sumienia oraz dopuszcza do Komunii Świętej rozwodników w powtórnych związkach bez wymogu życia w czystości. Wkrótce purpurat ogłosił deklarację „Fiducia supplicans" o błogosławieniu par tej samej płci, co wywołało największy w historii Kościoła (sic!) sprzeciw biskupów wobec Watykanu – tekst odrzuciły niemal cała Afryka i wiele krajów w innych częściach świata. Wreszcie w roku 2025 ten sam kardynał opublikował notę „Mater Populi fidelis", gdzie skrytykował popularne wśród wiernych tytuły maryjne „Pośredniczka wszystkich łask" oraz „Współodkupicielka", tego drugiego wprost zakazując w liturgii czy oficjalnych wypowiedziach Kościoła. Można powiedzieć, że kard. Fernández reprezentuje wszystko, co Bractwo św. Piusa X krytykuje w Kościele po Soborze Watykańskim II.

Do spotkania między prefektem Dykasterii Nauki Wiary a przełożonym Bractwa doszło 12 lutego. Kardynał Fernández zaproponował dialog teologiczny, jednocześnie grożąc ekskomuniką i ogłoszeniem stanu schizmy w przypadku wyświęcenia biskupów bez zgody Rzymu. Ksiądz Pagliarani obiecał, że odniesie się do tej propozycji. Co się ostatecznie wydarzy, zobaczymy dopiero w połowie roku, bo niezależnie od aktualnego stanowiska Bractwa mogą być jeszcze prowadzone zakulisowe rozmowy. Stolica Apostolska odwołuje się do Kodeksu Prawa Kanonicznego oraz do dogmatu o prymacie władzy papieskiej, który ogłosił Sobór Watykański I. Wskazuje, że nominacje biskupie są wyłączną prerogatywą Ojca Świętego. FSSPX uważa, że to legalizm, bo najważniejsze jest dobro wiernych, a temu ma służyć właśnie konsekracja nowych biskupów, nawet przy sprzeciwie Rzymu. Spór w tej materii jest bardzo złożony i trudny do jednoznacznego rozstrzygnięcia. Tak naprawdę jego podłożem jest jednak coś zupełnie innego, a mianowicie rozbieżności doktrynalne.

ZASADNE WĄTPLIWOŚCI

Główny problem dotyczy tekstów Soboru Watykańskiego II. Podczas spotkania z ks. Davide'em Pagliaranim kard. Fernández powiedział, że dokumentów tamtego zgromadzenia nie da się skorygować. Innymi słowy, są nienaruszalne – można co najwyżej dyskutować o ich właściwej interpretacji. Tymczasem bardzo wielu katolików tradycyjnych czy konserwatywnych uważa, że dokumenty soborowe są wewnętrznie sprzeczne i domagają się wcale nie nowych interpretacji, ale po prostu wyjaśnienia. Dotyczy to przede wszystkim deklaracji „Dignitatis humanae" o wolności religijnej, która przyznaje wszystkim ludziom prawo do wyznawania takiej wiary, jaka im się podoba – choć wcześniej Kościół nauczał, że człowiek otrzymał od Boga prawo do wyznawania wyłącznie wiary katolickiej, a inne religie można tylko tolerować.

Kolejny problem stwarza konstytucja soborowa „Lumen gentium", gdzie mówi się, że Kościół Chrystusa „trwa w" Kościele katolickim, zamiast zgodnie z ujęciem tradycyjnym powiedzieć, że Kościół Chrystusa jest z Kościołem katolickim tożsamy. Podobnych wątpliwości można byłoby jeszcze mnożyć i wydaje się całkiem zasadne oczekiwanie, by Stolica Apostolska wydała jakiś autorytatywny, uroczysty dokument, który raz na zawsze przetnie wątpliwości i nada wspomnianym kwestiom nowe ujęcie, w pełni zgodne z Tradycją Kościoła.

Ostatecznie Sobór Watykański II został zwołany przez papieża Jana XXIII jako sobór duszpasterski, to znaczy taki, który nie chce definiować nowych dogmatycznych prawd. Taki charakter soboru podtrzymał i wielokrotnie podkreślał papież Paweł VI, ten, który zgromadzenie przeprowadził i zakończył. Znaczna część dokumentów soborowych ma dość poślednią wagę: są rozpolitykowane, silnie osadzone w bieżącym kontekście społecznym. Nie ma w nich tradycyjnych klauzul, które wskazują na poważne, uroczyste i nieomylne nauczanie, jak np. groźba wyklęcia z Kościoła tych, którzy by dany tekst odrzucali. Sobór był w istocie bardzo „słaby" pod kątem stopnia jego autorytatywności doktrynalnej. W okresie posoborowym ten stopień w praktyce podniesiono, traktując dokumenty Vaticanum II tak, jakby były nieusuwalnym elementem Bożego objawienia. Bractwo św. Piusa X słusznie protestuje przeciwko takiemu ujęciu, ale to nie natrafia po drugiej stronie na żadne zrozumienie. W Watykanie dalej uważa się, jakoby litera soboru była wykuta w kamieniu niczym Dekalog Mojżesza. Dlatego dialog teologiczny, który kard. Fernández zaproponował Bractwu, jest obarczony ryzykiem kompletniej klęski – nie można dojść do żadnych wspólnych konkluzji, jeżeli obie strony kategorycznie odrzucają fundamentalne przesłanki, z których wychodzi interlokutor.

Wydaje się, że w celu wypracowania naprawdę trwałego porozumienia każdy powinien zrobić krok wstecz. Bractwo św. Piusa X słusznie troszczy się o dobro wiernych i jego prośba o zgodę na święcenia biskupie jest w pełni zrozumiała. Konsekrowanie pasterzy wbrew Rzymowi stanowi jednak obiektywne naruszenie wyłącznej prerogatywy papieskiej, co nawet przy najlepszej woli trzeba ocenić jako działanie bardzo wątpliwe od strony prawnej.

Z drugiej strony w Stolicy Apostolskiej zdaje się brakować krytycznej refleksji nad obecnym stanem Kościoła. Apostazja świata Zachodu, choć motywowana wieloma przyczynami natury filozoficznej, politycznej i społecznej, jest zakorzeniona również w tempie i głębokości rewolucji, na którą zdecydowano się w Kościele po Soborze Watykańskim II. Gwałtowne odrzucenie starej liturgii czy dialog międzyreligijny posunięty aż do akceptowania obcych religii jako uprawnionych dróg do Boga to rzeczy, których z perspektywy katolickiej Tradycji po prostu nie da się bezkrytycznie zaakceptować.

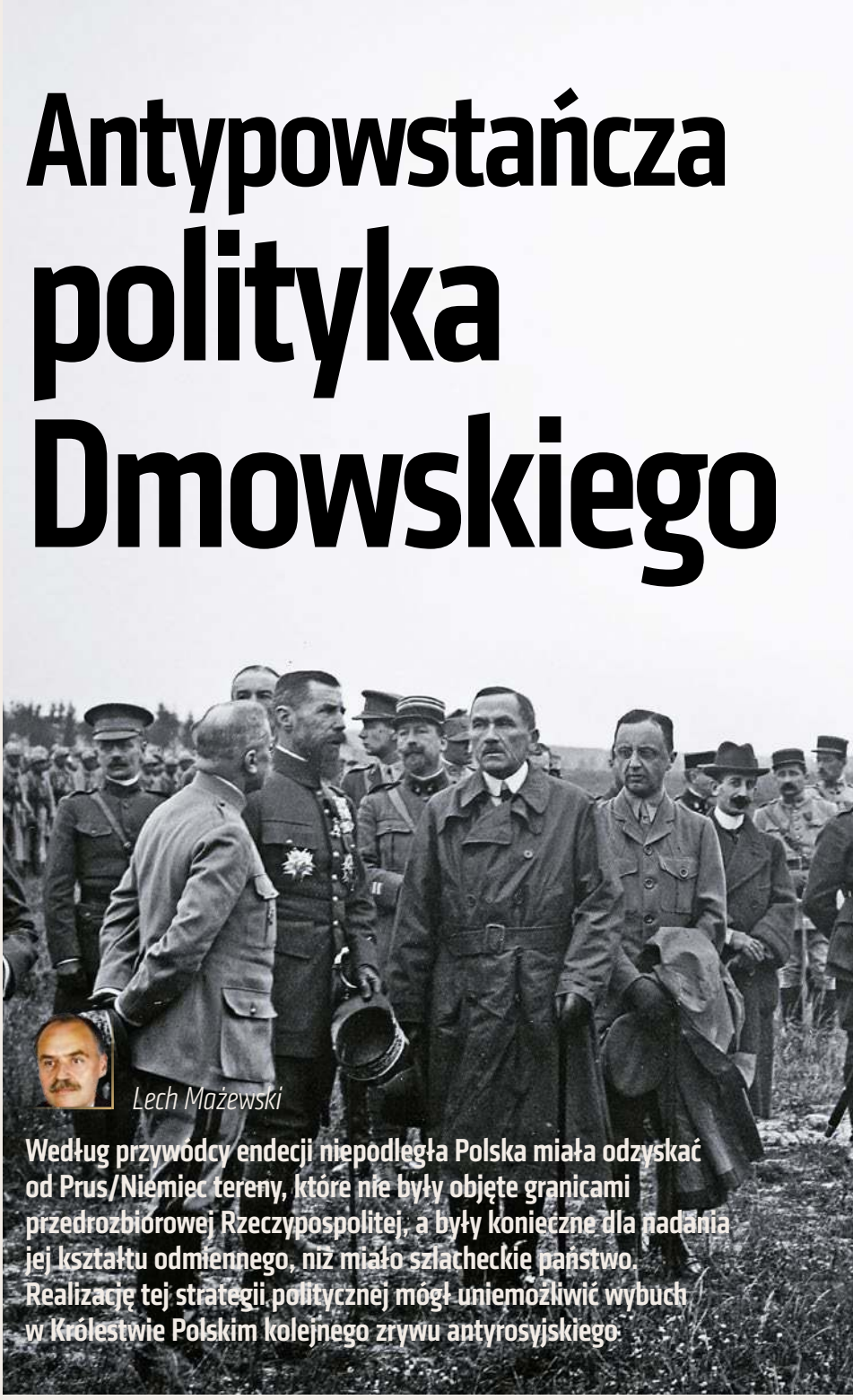
Niechęć Bractwa do włączenia się w sztywną strukturę legalną Kościoła katolickiego oraz uparte przekonanie kardynałów z Rzymu o niezmienności tekstów soborowych sprawiają, że trudno jest patrzeć w przyszłość z optymizmem. Wydaje się, że mamy do czynienia z klasycznym dramatem – tak jak w dobrej greckiej tragedii na horyzoncie po prostu nie widać żadnego wyjścia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 958d9fc47c

Antypowstańcza polityka Dmowskiego



Lech Mażewski

Według przywódcy endecji niepodległa Polska miała odzyskać od Prus/Niemiec tereny, które nie były objęte granicami przedrozbiorowej Rzeczypospolitej, a były konieczne dla nadania jej kształtu odmiennego, niż miało szlacheckie państwo. Realizację tej strategii politycznej mógł uniemożliwić wybuch w Królestwie Polskim kolejnego zrywu antyrosyjskiego

Zazwyczaj traktuje się Romana Dmowskiego jako publicystę, wybitnego pisarza politycznego czy twórcę doktryny polskiego nacjonalizmu. Pamięta się też jego świetne dokonania dyplomatyczne z okresu konferencji wersalskiej po zakończeniu pierwszej wojny światowej. Tymczasem w latach 1904–1914 skutecznie angażował się on w czynną politykę wymierzoną w powstańcze próby Józefa Piłsudskiego, powiązane ze współpracą z kilkoma wywiadami. Szczegółowo ta sprawa opisana została w świetnej monografii Ryszarda Świętka „Lodowa ściana. Sekrety polityki Józefa Piłsudskiego 1904–1918".

Nie da się zrozumieć myśli politycznej Dmowskiego i polityki, którą prowadził na początku XX stulecia obóz narodowodemokratyczny, bez uwzględnienia lekcji wyciągniętej przez przywódcę endecji ze spuścizny powstań narodowych, a szczególnie z tragedii insurekcji styczniowej. Podsumowując swoje przemyślenia, pisał: „Dwa główne powstania, 1830 i 1863 roku, przyniosły korzyść – naszym wielkim kosztem – interesom nie naszym. Pierwsze było dywersją, która ocaliła rewolucyjny Zachód od zbrojnej interwencji rosyjsko-pruskiej, tu przynajmniej nie służyło sprawie wrogów; drugie gorzej, bo umożliwiło Prusom oddalenie Rosji od Francji i związanie jej z sobą na naszą zgubę […]. Wyrobiły nam one wreszcie w świecie reputację narodu, dla którego nic zrobić nie można, bo on sam dla siebie zrobić nic nie umie [...]. Opinia publiczna w Europie dawała nam od czasu do czasu jałmużnę sympatii lub politowania [...], w niektórych zaś gabinetach dyplomatycznych pamiętano, że umiemy swoim kosztem oddawać usługi obcym i rejestrowano nas jako bezmózgową hołotę polityczną, którą w razie potrzeby można wyzyskać nie tylko dla obcych, ale nawet dla wrogich Polsce interesów". Nie jest to jednak jednoznaczne z dezawuowaniem wysiłku samych powstańców. Współtwórcę Ligi Narodowej „obchodzą tylko politycy, tylko organizatorowie zbrojnych poczynań", nie zaś ci, „co się bili: to żołnierze, do których polityka nie należy. Z chwilą, kiedy poszli za wezwaniem do walki o wolność czy o niepodległość Polski, za wezwaniem tych, którym zaufali, ich rzeczą było dobrze bić się, być dobrymi żołnierzami, nic więcej. Ich nieszczęście, jeżeli źle umieścili swoje zaufanie".

ZMIERZAĆ WIELOMA DROGAMI

Pod koniec XIX w. doszło do nadania narodowej strategii politycznej nowego kształtu. Lider LN, występując przeciw tendencjom ugodowym, cechującym zarówno pozytywistów, jak i propagowanych przez środowiska konserwatywne, dążąc przy tym do nadania pracy organicznej rysu niepodległościowego, odrzucał jednocześnie powstańczy szantaż. Do niepodległości powinniśmy

eprasa.pl 958d9fc47c



Roman Dmowski (na pierwszym planie w środku) jako założyciel Komitetu Narodowego Polskiego podczas tworzenia przez gen. Józefa Hallera Armii Polskiej we Francji, czerwiec 1918 r. FOT. KRZYSZTOF CHOJNACKI/EAST NEWS

zmierzać wieloma drogami. Walka zbrojna tylko wtedy miałaby odegrać istotną rolę, gdyby w ten sposób chciano dokończyć długoletni proces „wybijania się na niepodległość", tocząc ją w sprzyjających warunkach międzynarodowych.

Dopiero po wybuchu rewolucji 1905 r. w myśleniu Dmowskiego ukształtowała się strategia polityczna, polegająca na przedefiniowaniu głównego przeciwnika Polski: nie jest już nim Rosja, ale Prusy/Niemcy, i określeniu, że to zjednoczenie ziem polskich przyniesie niepodległość, a nie odwrotnie. Ponadto niepodległa Polska miała odzyskać od Prus/Niemiec tereny, które nie były objęte granicami przedrozbiorowej Rzeczypospolitej, a były konieczne dla nadania jej kształtu odmiennego, niż miało szlacheckie państwo. Realizację tej strategii politycznej mógł uniemożliwić wybuch w Królestwie Polskim kolejnego powstania antyrosyjskiego. W takiej sytuacji nie dałoby się wykluczyć porozumienia rosyjsko-niemieckiego, ponieważ wzmocnieniu uległyby te siły w Rosji, które posługując się groźbą polskiej irredenty, dążyły do ugody z Niemcami. Oznaczałoby to powtórzenie scenariusza z roku 1863. Lider Narodowej Demokracji trzykrotnie stawiał czoła siłom dążącym do wybuchu insurekcji, na czele których za każdym razem stał Piłsudski.

Pierwszą areną antypowstańczej polityki Dmowskiego było Tokio, dokąd w 1904 r. przybył, aby uniemożliwić Piłsudskiemu uzyskanie wsparcia dla planów wywołania powstania w Królestwie Polskim. W efekcie udało mu się przekonać Japończyków, by nie wspierali tych dążeń. W złożonym memoriale przywódca endecji dowodził, że powstanie nie ma szans na sukces. Klęska, podobnie jak poprzednie, pociągnęłaby za sobą trwały, ciągnący się przynajmniej przez jedno pokolenie, upadek ducha Polaków. Stłumiwszy powstanie, Rosja „w najbardziej decydującym momencie swej walki z Japonią mogłaby zabrać z Polski prawie wszystkie swe wojska [...]. Natomiast w obecnym położeniu, którego cechą jest wzrastające podniecenie ludności polskiej i panika wśród Rosjan zamieszkałych w Polsce uczynić tego nie może, nawet gdyby jej stosunki z Niemcami i Austrią były jak najlepsze". Japończycy, przyjmując tę argumentację, nie poparli powstańczych planów Piłsudskiego – mimo jego związków z ich wywiadem. Okazało się, że dla Tokio większą wartość ma sama groźba wybuchu walk nad Wisłą niż kolejna klęska z tym związana.

Do kolejnego starcia doszło już niedługo, bo w trakcie rewolucji 1905 r. Piłsudski chciał wykorzystać rewolucję w Rosji do wybuchu antyrosyjskiego powstania w Królestwie. Już 19 października 1904 r. wyraźnie o tym sam mówił: „Przejście do nowej taktyki jest koniecznością, nawet gdyby ta doprowadziła do powstania utopionego we krwi". „Dążenie do zaostrzania walki w Królestwie, bez oglądania się na rozwój sytuacji w Rosji i do tworzenia zbrojnych oddziałów, które podejmować będą walkę, musiało w konsekwencji prowadzić do zaostrzenia represji, co stawało się przesłanką do wybuchu powstania w Królestwie" – twierdził o ówczesnych działaniach Piłsudskiego Andrzej Garlicki, jeden z jego biografów. Polityce, która miała doprowadzić do kolejnego starcia polsko-rosyjskiego, zdecydowanie przeciwstawiła się LN, obawiając się powtórzenia scenariusza z lat 60. XIX w., który kulminował klęską powstania styczniowego.

BRATOBÓJCZE WALKI

Współkierowana przez Dmowskiego LN napisała w odezwie z 1 sierpnia 1905 r.: „Nie wzywamy Was do niedorzecznych porywów, do wyruszania z gołą piersią lub z rewolwerami na karabiny i armaty moskiewskie – przeciwnie, wszystkich, co Was do tego pobudzają, jako szaleńców lub zbrodniarzy odepchnijcie od siebie". We wcześniejszej zaś odezwie z 8 lutego organizacja ta tłumaczyła: „Winni są nie tylko ci, co wyrządzają społeczeństwu krzywdę, ale i ci, którzy na nią pozwalają, którzy nic nie czynią, żeby jej przeszkodzić". Ale liderzy Ligi nie ograniczyli się do pisania odezw. Aby ukrócić możliwość wybuchu kolejnego powstania czy też tylko podsycania rewolucyjnej anarchii, narodowi demokraci nie czekali na interwencję rosyjskiego wojska.

Podległy Lidze Narodowy Związek Robotniczy stanął w obronie przed bojówkami Polskiej Partii Socjalistycznej czy Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy. W odezwie z marca 1906 r. podnoszono, że „socyaliści krzyczą, grożą, wydają odezwy, lecz nam ni pracy, ni chleba przez to nie przybywa". I dalej: „Ci, co wciąż przyrzekają raj ziemski, a nędzę szerzą, co głoszą wolność, a każdego przeciwnika politycznego rewolwerem i sztyletem częstują, co bezbronnych mordują, a na najpożyteczniejsze

eprasa.pl 958d9fc47c

instytucie robotnicze, jak np. na sklepy spółdzielcze, wciąż napadają i strzelają, co wdzierają się na zebrania i bezbronny tłum, radzący o sprawach narodowych, swemi browningami chcą rozpędzać, ci wreszcie, co plwają na najświętsze uczucia nasze narodowe – to nie obrońcy, a wrogowie robotnika". W efekcie zaczęło dochodzić do starć między bojówkami NZR a takimi samymi PPS i SDKPiL. Stanisław Kozicki w swojej monografii Ligi Narodowej twierdził, że bratobójcze walki były „następstwem zamiaru socjalistów sterroryzowania robotników i spontanicznej reakcji tych ostatnich. Ani władze Ligi, ani NZR nie organizowały samosądów, ani też nie wydawały wyroków śmierci".

Piłsudski pragnął stworzyć z Organizacji Bojowej PPS narzędzie zdolne nie tylko do wywołania, lecz także do pokierowania antyrosyjskim powstaniem. Ale skończyło się to niepowodzeniem. Nic tu nie dała współpraca z wywiadem japońskim. Trafnie komentował po latach Dmowski: „Próba powstania w czasie wojny japońskiej nie udała się. Cała rzecz była tak sztuczna, tak widocznie narzucona z zewnątrz, takim była anachronizmem, że w żadnej grupie ludności nie znalazła poparcia [...]. Wtedy ci sami ludzie, którzy wywiesili byli sztandar niepodległości, oderwania się od Rosji, poprowadzili robotę rewolucyjną, wiążącą kraj z Rosją, czyniącą Polskę tylko jedną z guberni rewolucyjnej Rosji i zacierającą na zewnątrz wszelką jej odrębność. Po dziś dzień pozostaje dla mnie tajemnicą, jak to jedno z drugim kleiło się w ich umysłach".

W celu rozpoczęcia przygotowań powstańczych na terenie Galicji doszło do nawiązania kontaktu przez PPS-Frakcję Rewolucyjną z wywiadem austriackim i wciągnięcia tej partii do prowadzenia wywiadu przeciwko Rosji. Świętek pisze, że współpraca wywiadowcza z Austro-Węgrami musiała równocześnie oznaczać współpracę z Niemcami: „Sojusz militarny państw centralnych obejmował bowiem także dziedzinę wywiadu. Evidenzbureau działało na odcinku rosyjskim w ścisłej łączności z wywiadem niemieckim. Projektowane umowy wywiadowcze z polskim ruchem rewolucyjnym w istocie rzeczy niosły za sobą konsekwencje polityczne i przez

Piłsudski nie miał koncepcji politycznej. Kontynuował jedynie powstańczy szantaż, próbując jednocześnie wziąć zupełnie nieskuteczny odwet za dotychczasowe klęski

czynne wspieranie akcji antyrosyjskiej Polaków dotykały niebezpiecznie kwestii polskiej. Układy te nie mogły być obojętne dla Niemiec i musiały być przynajmniej aprobowane w Berlinie, jeśli sami Niemcy nie byli nawet ich autorami [...]. W tym kontekście włączenie Piłsudskiego do agentury austriackiej, siłą faktów i układów oznaczało formalną i faktyczną służbę jednocześnie na rzecz Niemiec". Nie może zatem dziwić, że w Berlinie i Wiedniu liczono na polskie powstanie, widząc w nim ważący czynnik militarny na tyłach armii rosyjskiej w początku wojny. Jako wysoce niekorzystne dla siebie brały je również pod uwagę władze rosyjskie, rozważając nawet możliwość odstąpienia od mobilizacji w warszawskim okręgu wojennym.

ETYKA ODPOWIEDZIALNOŚCI

Odpowiedzią narodowych demokratów na te działania była obfita działalność publicystyczna na łamach „Przeglądu Narodowego", następcy „Przeglądu Wszechpolskiego", wydawanego w Warszawie od 1908 r., a także w ramach bogatej palety tytułów prasy prowincjonalnej przez nich kontrolowanej. Tłumaczono tam, jakim zagrożeniem dla Polski może być wybuch kolejnego powstania antyrosyjskiego, przestrzegając przed powtórzeniem się scenariusza z 1863 r. Mogłoby się wydawać, że posługując się jedynie siłą argumentu, a nie argumentem siły, nie można niczego znaczącego uzyskać w polityce. A jednak w momencie wybuchu wojny okazało się, że to wystarczy, jeśli tylko reprezentuje się narodowy interes, będąc w stanie jasno wyłożyć, o co nam chodzi.

6 sierpnia 1914 r. pierwsze oddziały strzeleckie weszły na teren Królestwa Polskiego. Upragnione przez Piłsudskiego powstanie jednak nie wybuchło. Dmowskiemu udało się doprowadzić do sytuacji, w której większość Polaków opowiedziała się przeciwko Prusom/Niemcom, a za sojuszem francusko-brytyjsko-rosyjskim. Jan Engelgard, redaktor naczelny „Myśli Polskiej", zauważył: „Czyn strzelców Józefa Piłsudskiego w ogóle nie zaistniał w świadomości ludności Królestwa i Warszawy, a prasa odnosiła się do niego wrogo". Później legioniści mieli rację, śpiewając w „My, Pierwsza Brygada", że wśród Polaków są zupełnie „osamotnieni".

Po latach Dmowski stwierdził: „Gdyby [...] tak się stało [wybuchło powstanie], to uważałbym, że nie mam prawa składać winy na legiony, na ich dowódców, na polityków krakowskich. Wina byłaby przede wszystkim nasza. Ludzie, którzy od tak dawna zajmowali się sprawą polską i znali jej położenie, którzy w niej sobie wytknęli wyraźną drogę, a nie umieli tyle zorganizować społeczeństwa, żeby ich jako tako rozumiało i żeby w rozstrzygającej chwili przeciw nim nie poszło, złożyliby dowody niesłychanego niedołęstwa i ponieśliby straszną odpowiedzialność przed historią. Szkodnicy, świadomi czy nieświadomi, istnieją wszędzie, ale przywiązanie do ojczyzny u narodów zdrowych i silnych polega nie na tym, żeby narzekać na szkodników i płakać nad wyrządzoną przez nich szkodą, jeno na przeciwdziałaniu szkodzie, na kierowaniu postępowaniem narodu tak, żeby była ona niemożliwa".

W wypowiedzi przywódcy endecji uderza mordercza dla przeciwników wyrozumiałość polityka dla działań emocjonalnych, wyrastających z etyki przekonań, i zgodnie z etyką odpowiedzialności gotowość wzięcia odpowiedzialności nawet za rezultaty nie swoich działań, bo ich animatorzy nie wiedzą, co czynią. To nie jest polemika z koncepcją polityczną, gdyż zdaniem Dmowskiego Piłsudski jej nie posiadając, kontynuował jedynie powstańczy szantaż, próbując jednocześnie wziąć zupełnie nieskuteczny odwet za dotychczasowe klęski. Współpraca z wywiadem japońskim czy austriackim, a w rezultacie z niemieckim nie jest tu sprawą najważniejszą. Tak wygląda nieprzeciętność animatora antyrosyjskich poczynań, o której tyle niedawno napisał Mariusz Wołos w kolejnej biografii Piłsudskiego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 958d9fc47c



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Zamach na Kutscherę

Udany zamach na generała SS i policji Hansa Kutscherę, dokonany 1 lutego 1944 r. przez Armię Krajową, nie miał znaczenia militarnego. Przeciwnie, wzmógł jeszcze odwetowe represje niemieckie na ludności cywilnej. Ale miał olbrzymie znaczenie propagandowe i moralne. Oto kat Warszawy (bo tak go określano) otrzymał to, na co zasłużył – już w trakcie zarządzonych przez niego i dokonywanych represji.

Czy wszystko o tym zamachu wiemy? Są film fabularny, filmy dokumentalne, są liczne publikacje książkowe i artykuły. Ale zostały też ślady w dokumentach konspiracyjnych, które są skrzętnie przez badaczy pomijane, bo nie pasują do ich ideologicznych wizji. Obszerny dokument kontrwywiadu AK z marca 1944 r. wspomina, co Niemcy wiedzieli prawie natychmiast o tym zamachu. Tego samego dnia bowiem warszawskie gestapo „wiedziało już dokładnie, która organizacja wykonała zamach". Co więcej, jest tam też informacja, że „wiedziano również, że jedna z grup wywiadu NSZ dopomagała w ewakuacji magazynu, znajdującego się w zagrożonym lokalu w pobliżu miejsca zamachu".

Dokument ten, znajdujący się obecnie w Archiwum Akt Nowych, przeszedł przez ręce licznych historyków, którzy dokonywali adnotacji, że z tej teczki korzystali. Dlaczego jednak żaden z nich nie wspomniał w swych publikacjach, co jest w jego treści? Mgła ideologiczna w ich oczach nie pozwoliła im choćby wspomnieć, że jest taka informacja. Czyli lepiej jest zamilczeć to, co nie pasuje do politycznie poprawnej wykładni? Przez stosowanie takiej cenzury można pomijać fakt ścisłej współpracy tych organizacji, jeszcze przed ich scaleniem.

Z tym zamachem wiążą się jeszcze inne, dziwne sprawy. Oto w publikacji jakiegoś Romana Grunszpana: „The Uprising of the Death Box of Warsaw: A Documentary Book about Jewish and Christian Lives under Nazi Rule in the Warsaw Ghetto and in the Non-Jewish Region of Warsaw" (Nowy Jork 1978) znaleźć można prawdziwe kurioza. Autor twierdzi bowiem, że dowodził trzyosobową grupą żydowską o kryptonimie… Parasol i to on dokonał likwidacji Kutschery!

Książka zawiera fotografię, pokazującą bardzo kiepski fotomontaż ręki trzymającej pistolet maszynowy z podpisem: „Z prawej widać karzącą rękę autora z pistoletem, z którego zastrzelił nazistowskiego szaleńca". My tu możemy w to wszystko nie wierzyć i śmiać się, ale w USA jest to literatura pomocnicza dla szkół do historii Holokaustu.

Kutschera nie był szaleńcem i nie od jego losu zależało powstrzymanie niemieckiego bestialstwa. Brak naszej reakcji pozwala na odzieranie nas z prawdziwej historii na rzecz… No czego? ©℗



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Kocioł w łódzkiej drukarni

Jesienią 1899 r. drukarnię organu PPS – „Robotnika" – przeniesiono z Wilna do Łodzi. Maria i Józef Piłsudscy zamieszkali pod fałszywym nazwiskiem w wynajętym mieszkaniu, pod którym umieszczono sprzęt poligraficzny. Zmieniła się natomiast osoba zecera i Stanisława Wojciechowskiego zastąpił Kazimierz Rożnowski.

Dekonspiracja nastąpiła przypadkowo. Agenci policyjni zwrócili uwagę na Aleksandra Malinowskiego, który jednorazowo zakupił zbyt dużo papieru. Śledząc go, zauważyli, że wraz z Rożnowskim odwiedził mieszkanie Piłsudskich. Malinowskiego aresztowano na dworcu, a przy okazji przeszukano podejrzany lokal.

Policja wkroczyła do Piłsudskich nad ranem 22 lutego 1900 r., a wyniki rewizji przeszły najśmielsze oczekiwania. Znaleziono nieuchwytną od lat drukarnię „Robotnika", zatrzymano poszukiwanego lidera PPS. W euforii z odniesionego sukcesu funkcjonariusze ochrany przeoczyli zachowanie Marii. Pani Piłsudska nie straciła przytomności umysłu i wysłała służącą, aby ostrzec przed aresztowaniem Rożnowskiego. Zecer natychmiast wyjechał z miasta, powiadamiając o wydarzeniach innych działaczy.

Maria została zwolniona po 11 miesiącach więzienia. Podczas śledztwa konsekwentnie utrzymywała, że właściwie o niczym nie wiedziała, a zakochana w mężu nie zwracała uwagi na jego działalność.

Natomiast Piłsudski osadzony w słynnym X pawilonie warszawskiej Cytadeli symulował chorobę psychiczną. Wskazówki otrzymywał z zewnątrz (od zaprzyjaźnionego psychiatry), a kontakt zapewniał zastępca naczelnika (!) więzienia, Aleksy Siedelnikow. Rosjanin miał żonę Polkę i od wielu lat bezinteresownie pomagał więźniom. Piłsudski okazał się niezłym aktorem i na konsultację wezwano dyrektora szpitala psychiatrycznego w Warszawie, Iwana Sabasznikowa.

Rosyjski lekarz po rozmowie w cztery oczy z Piłsudskim (i upewnieniu się, co do stanu jego umysłu) podpisał orzeczenie korzystne dla uwięzionego. Był to postępek zgodny z obyczajami epoki – rosyjska inteligencja pozostawała w opozycji do carskiego reżimu, to z jej szeregów wywodzili się rewolucjoniści. Rosyjski inteligent nie mógł zdekonspirować Piłsudskiego i postąpił zgodnie z własnym sumieniem.

W grudniu towarzysz Wiktor trafił na obserwację do petersburskiego szpitala Mikołaja Cudotwórcy, gdzie łatwiej było zorganizować ucieczkę. Tak stało się po kilku miesiącach, a Piłsudski nie musiał już symulować choroby. Dyrektor placówki (Polak z pochodzenia) błyskawicznie zorientował się w stanie zdrowia podopiecznego i nie zamierzał przeszkadzać. ©℗

eprasa.pl 958d9fc47c

Stałe związki Ukrainy z Rosją



Plac Niepodległości w Kijowie, 18 lutego 2026 r.
FOT. KAROL PORWICH/EAST NEWS



Maciej Pieczyński

Minęły cztery lata od wybuchu pełnoskalowej wojny. A jednak Ukraińcy wciąż nie zerwali całkowicie ani gospodarczych, ani kulturowych relacji z państwem agresorem

W przededniu pełnoskalowej wojny między Ukrainą a Rosją kwitła w najlepsze wymiana handlowa. Rzut oka na dane statystyczne pokazuje, jak wiele gospodarki obu państw straciły na decyzji Putina o rozpoczęciu inwazji. W 2021 r. Ukraina zajmowała 15. miejsce (2 proc. obrotu) wśród partnerów handlowych Rosji. Wartość handlu między tymi dwoma krajami przekraczała 12 mld dol. Według danych Rosstatu w 2021 r. Ukraina dostarczyła do Rosji towarów i usług wartych łącznie 4,2 mld dol. Eksport w drugą stronę opiewał zaś na kwotę 7 mld dol. Rosja dla Ukrainy była jednym z trzech najważniejszych partnerów handlowych.

NIENARUSZALNOŚĆ INFRASTRUKTURY PRZESYŁOWEJ

Inwazja w naturalny sposób ograniczyła relacje gospodarcze do minimum, ale nie doprowadziła do ich całkowitego zaprzestania. Skalę natychmiastowego przerwania łańcucha dostaw pokazują dane ukraińskiej Służby Celnej. W lutym 2022 r. import z Rosji na Ukrainę wynosił 548 mln dol., eksport zaś – 240 mln dol. W marcu tego samego roku wskaźniki spadły do 43 mln dol. (import) i 4,2 mln dol. (eksport).

Bliskie relacje gospodarcze są oczywistym spadkiem po czasach sowieckich. W obu krajach panowały te same standardy technologiczne. Kolej, energetyka, budownictwo, infrastruktura – to wszystko łączyło Ukrainę z Rosją. I w dużej mierze łączy nadal. Pomimo wybuchu wojny Ukraina pozostawała i potencjalnie nadal pozostaje dla rosyjskich surowców krajem tranzytowym. Po wybuchu wojny gaz wciąż trafiał na Ukrainę za pośrednictwem dwóch przygranicznych punktów: Sochraniwka i Sudża. Sochraniwkę Kijów zamknął 11 maja 2022 r. Sudża w obwodzie kurskim, 300 m od granicy, pozostała wówczas ostatnią bramą dla rosyjskiego gazu do Europy przez Ukrainę. Rozpoczęcie inwazji wcale nie zatamowało napływu paliwa z państwa agresora. Co ciekawe, pierwszego dnia pełnoskalowego konfliktu Rosjanie nawet zwiększyli przesył gazu. 24 lutego 2022 r. przez Sudżę popłynęło na zachód o 123 proc. więcej surowca niż tydzień wcześniej. Najprawdopodobniej Moskwa liczyła na błyskawiczne zwycięstwo. Ze zwiększonej ilości surowca miałby

eprasa.pl 958d9fc47c

korzystać nowy, marionetkowy rząd, zainstalowany po zdobyciu Kijowa.

W sierpniu 2024 r. wojska ukraińskie wkroczyły do obwodu kurskiego, zajmując m.in. Sudżę wraz z położoną zaledwie 300 m od granicy stacją pomiarową. Nawet jednak wtedy Rosja nie przestała przesyłać gazu przez Ukrainę do Europy. Ani Moskwa, ani Kijów nie zdecydowały się na zablokowanie dostaw.

Paradoksalnie, nienaruszalność infrastruktury przesyłowej była we wspólnym interesie obu walczących stron. Moskwa zarabiała na sprzedaży gazu, Kijów zaś – na jego tranzycie, przy czym zdecydowanie lepiej na tej transakcji wychodziła Rosja. Eksperci wyliczyli, że do budżetu Ukrainy trafiało jedynie 20 proc. przychodów – resztę pochłaniały koszty obsługi całego procesu. Kijów, uzależniony od dostaw z Rosji, rozpoczął zatem przygotowania do przestawienia infrastruktury na dostawy surowca wyłącznie z zachodu. Dopiero 1 stycznia 2025 r. wygasła tranzytowa umowa rosyjsko-ukraińska, dotycząca dostaw gazu. Kijów postanowił jej nie przedłużać. Ucierpiała na tym Słowacja, która jako jedyny kraj Unii Europejskiej wciąż polegała na dostawach gazu z Rosji przez Ukrainę.

Zablokowanie tranzytu nie oznacza zerwania wymiany handlowej. Ukraina nie wpuszcza rosyjskiego gazu na swoje terytorium, ale kupuje ten surowiec przez europejskich pośredników. I nie jest to żadna teoria spiskowa. Mówią o tym sami przedstawiciele władz w Kijowie. „Muszę państwa rozczarować, ale my naprawdę nadal kupujemy rosyjski gaz, który przez gazociąg TurkStream płynie do Serbii i Węgier" – przyznał publicznie niecały rok temu wiceprzewodniczący komisji do spraw energetyki w Radzie Najwyższej Ołeksij Kuczerenko. Paradoksalnie, powodem zakupu rosyjskiego gazu były rosyjskie bombardowania infrastruktury krytycznej. W tej sytuacji bowiem Kijów tym bardziej i tym więcej potrzebuje tego surowca.

Tylko w czerwcu 2025 r. Ukraina kupiła prawie 350 mln m sześc. rosyjskiego gazu. Tak wynika z danych przedstawionych przez Operatora Systemu Przesyłu Gazu Ukrainy. Większość tego surowca trafiła nad Dniepr za pośrednictwem Węgier i Słowacji. Ówczesny minister energetyki, Herman Hałuszczenko, zauważył wówczas, że zwiększenie importu gazu jest konieczne. Po pierwsze, z powodu problemów z jego produkcją, po drugie – z uwagi na niedobory surowca w magazynach.

Zatem pomimo wojny Ukraińcy nadal zmuszeni są pośrednio korzystać z usług państwa agresora. Jednak nie wszyscy nad Dnieprem gotowi są przyjąć tę – wynikającą z oczywistych uwarunkowań – prawdę. Serwis fact-checkingowy Vox Ukraine negatywnie zweryfikował tezę o zakupie rosyjskiego gazu przez Ukrainę. Uzasadnienie brzmiało następująco: „To nieprawda. Ukraina bezpośrednio nie importuje rosyjskiego gazu od 2015 r., a z dniem 1 stycznia zaprzestała jego tranzytu. Gaz, który otrzymują Słowacja czy Węgry, z prawnego punktu widzenia przestał być rosyjski po tym, jak trafił na ich terytorium". Stosunkowo łatwo jest obalić tę argumentację. Jeśli rosyjski gaz kupowany przez pośredników przestaje być rosyjski, to równie dobrze można byłoby uznać, że nie ma niczego nagannego w omijaniu sankcji przez Moskwę czy w handlu z Rosją za pośrednictwem tzw. floty cieni. Oczywiście de iure gaz już nie jest rosyjski, ale de facto jest.

INWAZJA PRZYSPIESZYŁA DERUSYFIKACJĘ

Podobna, choć nie do końca analogiczna sytuacja ma miejsce, jeśli chodzi o ropę. To kolejny surowiec, który przed pełnoskalową inwazją Rosja transportowała przez Ukrainę do Europy. Po agresji Kijów wprowadził całkowite embargo na towary z Rosji. W tym na produkty naftowe. Jednak nie zatrzymał tranzytu. Ropa nadal płynęła rurociągiem Przyjaźń. Dopiero w ostatnim czasie pojawił się problem. Infrastruktura została uszkodzona wskutek rosyjskiego ostrzału. Ropa nie trafiła na Słowację i Węgry – a więc do tych krajów, które wciąż kupują surowiec z Rosji. Ostrzałami infrastruktury krytycznej nad Dnieprem Kreml w pewnym sensie zaszkodził również własnym interesom gospodarczym. Ponadto Ukraińcy skutecznie niszczyli rosyjskie rafinerie daleko za linią frontu. Wcześniej jednak Kijów korzystał z rosyjskiej nafty podobnie, choć nie w dokładnie ten sam sposób, jak z rosyjskiego gazu. Tu można zauważyć kolejny paradoks obecnej wojny. Ukraińskie czołgi napędzane były rosyjską ropą. Ukraina kupuje bowiem diesel na Węgrzech i w Turcji. Czyli w krajach, które produkują diesel z surowca importowanego z Rosji.

Relacje rosyjsko-ukraińskie po wybuchu pełnoskalowej wojny nie ograniczają się jedynie do wymiany handlowej. Istotną, bo wpływającą na nastroje i postrzeganie otaczającej rzeczywistości sferą tych relacji jest również kultura. Inwazja Rosji przyspieszyła proces derusyfikacji Ukrainy. Po zwycięstwie rewolucji Euromajdanu nowe władze w Kijowie prowadziły ożywioną politykę dekomunizacji. Pełnoskalowa agresja sprawiła jednak, że ekipa rządząca Ukrainą postanowiła pozbyć się nie tylko symboli sowieckich, lecz także wszelkiego rodzaju śladów rosyjskiej tożsamości. Z punktu widzenia państwa i jego interesu może się to wydawać zrozumiałym kierunkiem. W praktyce jednak derusyfikacji nie dało się przeprowadzić, nie kompromitując samej idei, nie obnażając słabości jej założeń oraz nie doprowadzając do pogłębienia już i tak istniejących podziałów w społeczeństwie.

Ofiarami agresji w dużej mierze padli mieszkańcy rosyjskojęzycznych regionów Ukrainy – wschodu oraz południa kraju. To zaś powinno przyspieszyć proces przechodzenia na tych terenach na język rosyjski. I rzeczywiście, bardzo wielu Ukraińców pod wpływem wydarzeń demonstracyjnie przestało używać mowy agresora. Jednak nie wszyscy. Oczywiście po rosyjsku nadal mówili ci spośród mieszkańców, którzy przed wojną popierali Moskwę i czekali na „wyzwolenie" przez jej wojska. W powszechnym obiegu zyskali miano „ždunów", czyli „czekających". Wciąż jest to spora grupa ludzi, którzy uważają, że bomby, które spadają im na głowy, są wystrzeliwane z winy Zełenskiego, nie zaś Putina. Jednak daleko idącym uproszczeniem byłoby etykietowanie wszystkich rosyjskojęzycznych Ukraińców mianem „ždunów". Nawet ukraiński nacjonalizm nie jest wyłącznie ukraińskojęzyczny. Brygada „Azow", która obroną Azowstalu w Mariupolu napisała jedną z najgłośniejszych kart obecnej wojny, wyrosła ze środowiska rosyjskojęzycznych narodowych socjalistów ze wschodniej Ukrainy. Na tle używanego na co dzień języka dochodziło do publicznych sporów w gronie najbardziej radykalnych w swoich poglądach ukraińskich patriotów. Ponadto mimo

eprasa.pl 958d9fc47c

wszystko spore kontrowersje wzbudziły represje wobec Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej (Patriarchatu Moskiewskiego). Wiadomo powszechnie, że wielu jej duchownych, hierarchów i wiernych po cichu, ale jednak popierało rosyjską inwazję. Jednak władze w Kijowie, zamiast chirurgicznie usuwać najbardziej niebezpieczne jednostki, postanowiły zastosować odpowiedzialność zbiorową. Tym samym zniechęcając do idei ukraińskiej niepodległości wielu wahających się Ukraińców. I dostarczając kremlowskiej narracji argumentów na rzecz tezy o prześladowaniach religijnych nad Dnieprem.

To oczywiste, że kultura i język rosyjski były, są i będą narzędziami rosyjskiej propagandy. Narzędziami szczególnie niebezpiecznymi w kraju mającym tak silne związki historyczne, etniczne i tożsamościowe z Rosją jak Ukraina. Problem w tym, że próbując usunąć to zagrożenie z przestrzeni publicznej, Kijów nie był w stanie zaoferować w zamian niczego atrakcyjnego. Zabrzmi to szokująco dla fanatyków poprawności politycznej, ale ukraińska kultura nie ma żadnych szans w rywalizacji z rosyjską. Moskwa może zaoferować muzykę Czajkowskiego, powieści Dostojewskiego i Tołstoja, język rosyjski jest natomiast lingua franca wciąż na sporym obszarze Eurazji. Bułhakow urodził się i wychowywał w Kijowie. Dziś na Ukrainie odsądzany jest (i słusznie) od czci i wiary za swoje antyukraińskie poglądy, ale to nie zmienia faktu, że to on jest powszechnie znanym na całym świecie klasykiem literatury, a nie którykolwiek z ukraińskich pisarzy. Ukraińscy twórcy nie dorastają rosyjskim do pięt pod względem rozpoznawalności, poczytności, popularności, a także uniwersalności przekazu. Zresztą Kijów, zamiast sprzyjać rozwojowi kultury, woli pielęgnować kult OUN-UPA, promując Banderę i Szuchewycza jako wzory do naśladowania dla ukraińskich patriotów. Najwybitniejszy ukraiński poeta, Taras Szewczenko, ma na swoim koncie antypolskie wersy i prozę po rosyjsku, więc nawet on nie jest eksportowym towarem bez skazy. Zaś najbardziej znana współczesna pisarka, Oksana Zabużko, poza ciekawą prozą i feministycznymi poglądami zasłynęła też peanami na cześć Szuchewycza. Współczesna kultura rosyjska też bije na głowę tę ukraińską.

Już po wybuchu wojny nad Dnieprem rekordy popularności biła twórczość rodem z państwa agresora. Najpopularniejszy utwór wiosną 2025 r. na Ukrainie? „Homay" baszkirskiego (czyli de facto rosyjskiego) zespołu Ay Yola. Najpopularniejszy serial na Ukrainie? „Słowo pacana. Krew na asfalcie" – opowieść o gangach czasów pierestrojki, zresztą też najpopularniejszy serial sensacyjny w dziejach Rosji. W obu przypadkach mowa nie o tępej, prowojennej propagandzie, tylko o fenomenach popkultury, które po prostu trafiają w gust widzów czy słuchaczy w Rosji i poza jej granicami. „Słowo pacana" ponoć oglądali nawet ukraińscy żołnierze w okopach. To pokazuje, jak potężna jest rosyjska kultura. Ay Yola cieszy się ogromną popularnością w krajach Azji, serial Żory Kryżownikowa zaś – w świecie rosyjskojęzycznym. Natomiast zasięg globalny zyskała viralowa piosenka „Sigma Boy" w wykonaniu nastoletnich rosyjskich piosenkarek, a do ocieplenia wizerunku państwa agresora przyczynił się też oscarowy film „Anora" z udziałem rosyjskich aktorów. Ukraina może jedynie pomarzyć o takim zasięgu (pop)kulturowego wpływu. Swoje okno możliwości miała w czasach, gdy świat zachwycał się przemowami Wołodymyra Zełenskiego. Jego talent aktorski niewątpliwie odegrał tutaj bardzo istotną rolę. W końcu Zełenski, zanim wszedł do polityki, był częścią tej samej przestrzeni popkulturowej co „Sigma Boy", „Anora", Ay Yola czy „Słowo pacana" – wiadomo przecież, że jako rosyjskojęzyczny komik podbijał cały były Związek Sowiecki. Zarówno Ukrainę, jak i Rosję. A jako ukraińskojęzyczny bohater narodowy swojego kraju rozkochał w sobie zachodnią opinię publiczną, która jednak w końcu się odkochała, wysłuchując kolejnych roszczeniowych tyrad obiektu swoich westchnień.

W JĘZYKU AGRESORA

Zmiany nazw ulic, w których rosyjskich dowódców, pisarzy czy polityków zastępują bohaterowie ukraińskiego oporu przeciwko Rosji, nie zmienią do końca świadomości mieszkańców. Nawet ci Ukraińcy, którzy nienawidzą Putina za rozpętaną wojnę, słuchają rosyjskiej muzyki, oglądają rosyjskie filmy i rozmawiają ze sobą po rosyjsku.

Na koniec dwa symptomatyczne dowody na rzecz tezy, w myśl której Ukraina wciąż pozostaje pod przemożnym wpływem językowo-kulturowym Rosji. Pierwszy: w Kijowie powstała podziemna rosyjska szkoła. Została utworzona przy należącym do Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej (Patriarchatu Moskiewskiego) monasterze. Dzieci są tam uczone z sowieckich podręczników, oglądają rosyjskie filmy i słuchają rosyjskich pieśni. Nie jest to fejk wymyślony przez kremlowską propagandę. O istnieniu takiego tajnego nauczania poinformowali na początku tego roku dziennikarze ukraińskiego portalu śledczego Slidstvo.Info. Oficjalnie jest to „klub rodzinny", ale funkcjonuje jak normalna szkoła. Dzieci przychodzą tutaj codziennie, po lekcjach w ukraińskiej szkole. SBU i prokuratura wszczęły śledztwo. I oczywiście można ukarać „kolaborantów". Ale sam fakt, że w samym sercu Ukrainy funkcjonuje podziemne nauczanie języka rosyjskiego, powinien być dla władz w Kijowie ostrzeżeniem. Ukraińcy są z natury niepokorni, o czym świadczą dwie zwycięskie rewolucje w pierwszych dwóch dekadach XXI w. W pewnym momencie mogą zatem uznać radykalną derusyfikację za politykę represji.

Z badań opinii publicznej wynika, że jedynie 62 proc. Ukraińców rozmawia w domu wyłącznie po ukraińsku

Drugim dowodem są wyniki badań opinii publicznej, opublikowane latem 2025 r. przez grupę Rejtynh. Wynika z nich, że jedynie 62 proc. Ukraińców rozmawia w domu wyłącznie po ukraińsku. 27 proc. badanych posługuje się na co dzień zarówno ukraińskim, jak i rosyjskim. 10 proc. przyznało, że rozmawia w domu w „języku agresora". A przecież mowa o sondażu, przeprowadzonym przez ukraiński ośrodek na terenach pozostających pod kontrolą Kijowa. Prawdziwa skala rosyjskojęzyczności może być jeszcze większa. Zatem Ukraina wciąż, pod względem językowym i kulturowym, z Rosją nie zerwała. I nie zanosi się na to.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 958d9fc47c



FOT. ADOBE STOCK

ZŁOTO W ŚMIETNIKU

Trzeba uważać na to, co się wyrzuca do śmietnika. Do takiego wniosku skłaniają perypetie 57-letniego mężczyzny w Torre Lapillo (Włochy). Nie zauważył on, że wśród śmieci, których pozbył się z domu, znalazła się skrzynka ze sztabkami złota wartymi ponad 120 tys. euro. Kiedy zorientował się w pomyłce, zgłosił sprawę na policję. Początkowo funkcjonariusze pochodzili do zdarzenia sceptycznie. Ostatecznie jednak podjęli wielogodzinne poszukiwanie skarbu na wysypisku śmieci. Skrzynka ze złotem się odnalazła.

ODERWANE PODWOZIE

Na lotnisku w Antalyi mogło dojść do tragedii. Urwało się podwozie jednego z samolotów. Maszyna miała odlecieć do Gaziantep. Gdy tuż przed oderwaniem się od ziemi kołowała na pasie startowym, nastąpiła awaria. Na pokładzie było 175 pasażerów i sześciu członków załogi. Na szczęście nikomu nic się nie stało. Samolot trzeba było podnieść z pasa startowego przy użyciu specjalnych poduszek pneumatycznych.

KAWAŁ LODU

Sople lodu mogą stwarzać niebezpieczeństwo nie tylko dla zdrowia, lecz także dla życia. Przekonała się o tym kobieta w Iwantiejewce koło Moskwy. Gdy wchodziła do supermarketu, od jego dachu oderwał się ogromny kawał lodu. Odbił się od parapetu i następnie spadł na nią, powodując u niej poważny uraz głowy. Kobieta nie mogła się ruszać aż do chwili, gdy przyjechało pogotowie ratunkowe, które po udzieleniu pomocy przewiozło ją na pilne leczenie do szpitala.

UDERZYŁ PIORUN

Podczas gwałtownej burzy w bazie wojskowej w Popayán (Kolumbia) żołnierz pełniący wartę przy helikopterze został trafiony piorunem. Mężczyzna, któremu szybko udzielono pomocy medycznej, przeżył. Wstępna inspekcja wykazała, że uderzenie pioruna uszkodziło również śmigłowiec. Według lokalnych mediów nad okolicą przetoczyła się potężna burza, a region był w środku pory deszczowej. Wojsko zaś wydało oświadczenie, że to, co się stało, nie ma związku z toczącymi się tam działaniami zbrojnymi.

TROSKA O JEDNOŚĆ

Państwowy regulator mediów w Gabonie zawiesił działalność platform społecznościowych w tym kraju do odwołania. Powodem decyzji jest stawiany im zarzut, że podsycają konflikty i pogłębiają podziały. Urząd konkretnie wskazał rozpowszechnianie fałszywych informacji, cyberprzemoc oraz nieuprawnione ujawnianie danych osobowych. Zdaniem rzecznika tej instytucji obraźliwe i nienawistne treści zagrażają jedności narodowej. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

ETS kaputt?

Już Stefan Kisielewski mówił, że „socjalizm to ustrój, w którym bohatersko pokonuje się trudności nieznane w żadnym innym ustroju!". Tradycję niestrudzonej walki z własnymi błędami z dumą kontynuują liderzy w Brukseli. Komisja Europejska szykuje właśnie nowe pakiety legislacyjne, które mają pomóc unijnemu przemysłowi. Temu samemu przemysłowi, który popadł w tarapaty z powodu... fatalnych decyzji eurokratów.

To „polityka klimatyczna" Brukseli doprowadziła do gwałtownego wzrostu cen energii, które ciążą nie tylko zwykłym mieszkańcom Europy, lecz także przedsiębiorcom. Ci sami eurokraci wprowadzili system ETS, który szybko doprowadził do stagnacji europejskiej produkcji przemysłowej. To dzięki „zielonym" urzędnikom firmy z UE z roku na rok muszą oddawać coraz więcej pola chińskim i amerykańskim konkurentom.

Katastrofalna kondycja niemieckiej gospodarki – z najnowszej analizy firmy doradczej EY wynika, że pod koniec 2025 r. w niemieckim przemyśle pracowało o ponad 120 tys. osób mniej niż rok wcześniej – sprawiła, że coraz śmielej zielonym absurdom sprzeciwiają się obecne władze w Berlinie. Kanclerz Friedrich Merz zasugerował nawet ostatnio, że unijny system ETS1 może wymagać zmian lub nawet zawieszenia.

Co prawda, prezydent Francji Emmanuel Macron tradycyjnie bronił rynku emisji dwutlenku węgla i próbował przekonywać, że porzucenie klimatu dla utrzymania konkurencyjności byłoby „strategicznym błędem", ale inwestorzy i tak przejęli się ryzykiem zawieszenia systemu. Efekt? Ceny uprawnień do emisji spadły o ponad jedną piątą, z ponad 90 do ok. 70 euro za tonę. Da się? Da się. ©℗

eprasa.pl 958d9fc47c

Przygotowania do wojny?



Przywódca ChRL Xi Jinping dokonuje przeglądu oddziałów wojskowych podczas obchodów 80. rocznicy zwycięstwa Chin nad Japonią, Pekin, 3 września 2025 r.

FOT. LI GANG/XINHUA NEWS AGENCY/FORUM

Robert Bogdański

W roku 2028 na Tajwanie odbędą się wybory, w których ma szansę wygrać partia prochińska. Jeżeli jej się to nie uda, wówczas przewodniczącemu Xi może się wydać, że na chwilę uchyli się okno możliwości

Czystka dokonana na początku tego roku przez chińskiego dyktatora w szeregach najwyższych władz wojskowych żywo przypomina czystkę stalinowską z roku 1937 w Związku Sowieckim. Wówczas życie straciło trzech z pięciu marszałków ze słynnym Michaiłem Tuchaczewskim na czele, a z kadry kierowniczej w rozmaity sposób usunięto prawie 80 proc. oficerów.

Chińska czystka przypomina stalinowską nie z powodu krwawości lub rozległości działań. Co do krwawości, to trudno w dzisiejszych czasach przewyższyć Nikołaja Jeżowa, a rozległości zwyczajnie nie znamy i zapewne prędko nie poznamy, choć eksperci uważają, że Xi Jinping przegonił w zwalnianiu generałów Mao Zedonga. W każdym razie brak wiarygodnych informacji o przebiegu wydarzeń i fakt, że Xi Jinping pozbywa się swoich starych, wypróbowanych towarzyszy, każe nam wracać myślą do komunistycznego imperium sprzed 90 lat. Jeden z komentatorów kostycznie zauważył, że jesteśmy w sytuacji dawnych kremlinologów, którzy orientowali się w aktualnych konfiguracjach na szczytach sowieckiej władzy, oglądając retuszowane fotografie, z których znikali towarzysze, jeszcze poprzedniego dnia wysoko dzierżący sztandar rewolucyjnej walki.

Uderzającym podobieństwem jest to, że w gruncie rzeczy nie znamy przyczyn czystki, w wyniku której w Centralnej Komisji Wojskowej KC KPCh, czyli w organie sprawującym w imieniu partii kontrolę nad wojskiem, pozostało jedynie dwóch członków: Xi Jinping i jego rękodajny, Zhang Shengmin, człowiek odpowiedzialny za dyscyplinę i realizator czystki. Oficjalnym powodem jest korupcja, to zresztą powód wymieniany także przy wcześniejszych dymisjach. Jego ogromną zaletą jest prawdopodobieństwo: w Ludowej Armii Wyzwoleńczej, a także w chińskiej kompartii periodycznie wybuchają skandale korupcyjne, więc taki zarzut jest bardzo prawdopodobny i narracyjnie bezpieczny. Nie chodzi przecież o przeprowadzanie jakichkolwiek czystek, tylko o dbanie o uczciwość wojska.

W odniesieniu do Zhang Youxia, najwyżej stojącego oficera i działacza partyjnego, który został zdymisjonowany i poddany śledztwu, pojawił się jeszcze jeden zarzut, wypuszczony w świat w sposób dość oryginalny, a mianowicie za pomocą amerykańskich dziennikarzy. „Wall Street Journal" zamieścił sensacyjny tekst o tym, że prawdziwym powodem popadnięcia w niełaskę było ujawnienie Amerykanom chińskich tajemnic nuklearnych. Oczywiście Pekin w żaden sposób nie odniósł się do tych rewelacji, które miały swoje źródło najpewniej właśnie w stolicy Chin. O jakiego typu „tajemnice" mogłoby chodzić? Najprawdopodobniej o rzecz stosunkowo prostą, czyli o liczbę głowic, którą posiadają Chińczycy. Wrócę jeszcze do tego, by wyjaśnić, dlaczego ta informacja jest ważna.

ZMIANA POKOLENIOWA

Podobnie jak w roku 1937, oficjalna (lub nieoficjalna) treść zarzutów jest w gruncie rzeczy nieistotna. Tuchaczewskiego skazano jako niemieckiego szpiega, więc Zhang może być szpiegiem amerykańskim albo prostym łapownikiem, czemu nie? O prawdziwej przyczynie napisał anglojęzyczny organ chińskiej kompartii na użytek publiczności zachodniej, „Global Times", który cytował organ partyjny wojska. Zamieszczono tam znamienne zdanie, że działalność oskarżonych „zagroziła absolutnemu przywództwu Partii w wojsku i podważyła podstawy kontroli nad armią przez Partię". Od czasu słynnej skrzydlatej strofy Władimira Majakowskiego „mówimy Partia, a w domyśle – Lenin" doskonale wiadomo, że w takich stwierdzeniach chodzi o podporządkowanie przywódcy kompartii, czyli Xi Jinpingowi. To on chce mieć w ręku pełnię władzy.

Co interesujące, człowiek, którego usunął Xi, był – według wszelkich dostępnych danych – jego przyjacielem i towarzyszem młodości. Ich ojcowie razem walczyli o komunistyczne Chiny, oni sami wychowywali się wspólnie, a ponieważ Zhang był nieco starszy, Xi Jinping traktował go jako kogoś w rodzaju starszego brata. Potem ich kariery rozwijały się równolegle, aby wreszcie w sposób dramatyczny się rozłamać. Amerykański ekspert, były oficer CIA zajmujący się Chinami, Jonathan Czin, wskazuje, że Zhang zrobił dla Xi całą

eprasa.pl 958d9fc47c

czarną robotę w armii, usuwając niewygodnych ludzi, a następnie po prostu sam padł ofiarą tego samego systemu, który pozwala utrzymać w ryzach 90-milionową partię komunistyczną i podległe jej wojsko. System ten funkcjonuje tak, że na każdego są kompromaty, które mogą zostać w odpowiednim momencie wyciągnięte.

W armii zatem dokonuje się zmiana pokoleniowa: usuwani są ludzie mający ok. siedemdziesiątki, czyli rówieśnicy przewodniczącego. On sam musi oczywiście zostać, jako ucieleśnienie ideałów, do których dąży kraj. Na ich miejsce przyjdą ludzie młodsi, 40-, 50-letni. I w tym miejscu pojawia się pytanie: Do czego Xi ich potrzebuje? Natychmiast w przestrzeni publicznej pojawiła się hipoteza, że chodzi o „młode wilki", którym będzie można powierzyć zadanie przeprowadzenia inwazji na Tajwan, a oni wykonają je bez wahania. Oczywiście nie wiemy na pewno, czy stara gwardia także nie wykonałaby chętnie tego rozkazu.

Opublikowany na początku roku raport German Marshall Fund, w którym próbowano odpowiedzieć na pytanie, jakie byłyby dla Chin polityczne, gospodarcze i militarne skutki wojny o Tajwan, zdaje się sugerować nieco inne rozwiązanie. W jednym ze scenariuszy pojawia się tam poważne ryzyko polityczne, które mogłaby spowodować wojna na dużą skalę, niezakończona sukcesem w postaci opanowania wyspy. Autorzy raportu wskazują, że mogłoby to spowodować zniszczenie relacji między Partią a wojskiem. Wojskowi mogliby przeciwstawiać się partyjnej narracji o tym, że kampania była w istocie „zwycięstwem", bo znaliby prawdę, a w odpowiedzi na to kierownictwo partyjne mogłoby cynicznie oskarżyć generałów o niekompetencję i nielojalność, co z kolei mogłoby się skończyć mniej lub bardziej otwartym buntem.

Niezależnie od tego, w jakim stopniu mogłyby się spełnić te przewidywania, bo zapewne otwarty bunt jest bardzo mało prawdopodobny, już sama ewentualność naruszenia relacji wojska i partii komunistycznej jest wystarczająco alarmująca. I w tym kontekście zamienienie starych, doświadczonych dowódców, z których najważniejszy, czyli Zhang Youxia, był jedynym wysokim rangą wojskowym, który brał udział w realnych działaniach wojennych, czyli w wojnie z Wietnamem, w tym w wygranej bitwie pod Laoshan, na ludzi młodych mogłoby mieć sens. Bo młodych byłoby łatwiej przedstawić publicznie jako niedoświadczonych i zastąpić – podobnie jak to zwykł czynić Stalin – ludźmi z awansu.

Istnieje jeszcze jedna hipoteza, o której można napisać, nie popadając w fantazjowanie. Australijski ekspert do spraw Chin, John Garnaut, któremu zawdzięczam pomysł z odniesieniem do czystek stalinowskich, stwierdził, że Xi może iść na podobne ryzyko, na które zdobył się Stalin w obliczu nadchodzącego konfliktu z III Rzeszą. Ryzyko, że w krótkim terminie armia będzie w chaosie, natomiast później, pod wpływem konfliktu zbrojnego, zacznie wydobywać z siebie kadry lepszej jakości, które będą zdolne do wygrania przyszłych starć. Inaczej mówiąc, byłoby to przygotowanie do wojny poprzez radykalną wymianę kadr. W obliczu rewolucyjnych zmian technologicznych i wobec tego, że ludzie starzy z trudem zdobywają się na wcielenie w życie takich zmian, może to mieć sens. Być może zatem zmiany są przygotowaniem do wojny.

Xi Jinping może iść na podobne ryzyko, na jakie zdobył się Stalin w obliczu nadchodzącego konfliktu z III Rzeszą

W tym miejscu należałoby wrócić do niesformułowanego przez chińskie władze wprost zarzutu, że gen. Zhang Youxia ujawnił Amerykanom chińskie tajemnice nuklearne. Wiadomość ta spotkała się z powszechnym niedowierzaniem zapewne dlatego, że ujawnianie tajemnic kojarzy się zwykle ze sprzedawaniem technologii czy informowaniem o rozmieszczeniu i środkach przenoszenia. Trudno jest sobie wyobrazić, że Chińczycy posiadają technologie na wyższym poziomie niż Amerykanie, jak również że chiński wojskowy ujawniałby szczegóły rozmieszczenia broni. Tymczasem możliwe jest prostsze wyjaśnienie: może chodzić po prostu o liczbę posiadanych głowic, co Zhang mógł przekazać amerykańskim partnerom w czasie jakichś rozmów, najprawdopodobniej za zgodą kierownictwa, a ono w odpowiedniej chwili mogło o tym zapomnieć.

ROZSTAWIANIE FIGUR NA PLANSZY

W chwili, gdy stracił swoją ważność ostatni traktat o kontroli zbrojeń nuklearnych, czyli START-2, informacja o wielkości chińskiego arsenału nabrała politycznej wartości. Stany Zjednoczone od wielu lat usiłowały zaprosić Chiny do przystąpienia do tego układu i całkowity brak jakiejkolwiek odpowiedzi był jedną z przyczyn, dla których Donald Trump uznał START-2 za polityczną ślepą uliczkę. Jednocześnie Chińczycy wystąpili z narracją, że liczba posiadanych przez nich głowic jest tak nieproporcjonalnie mała w stosunku do tego, co posiadają Amerykanie i Rosjanie, że oczekiwanie, iż poddadzą się podobnemu reżimowi kontroli, jest wręcz uwłaczające ich godności.

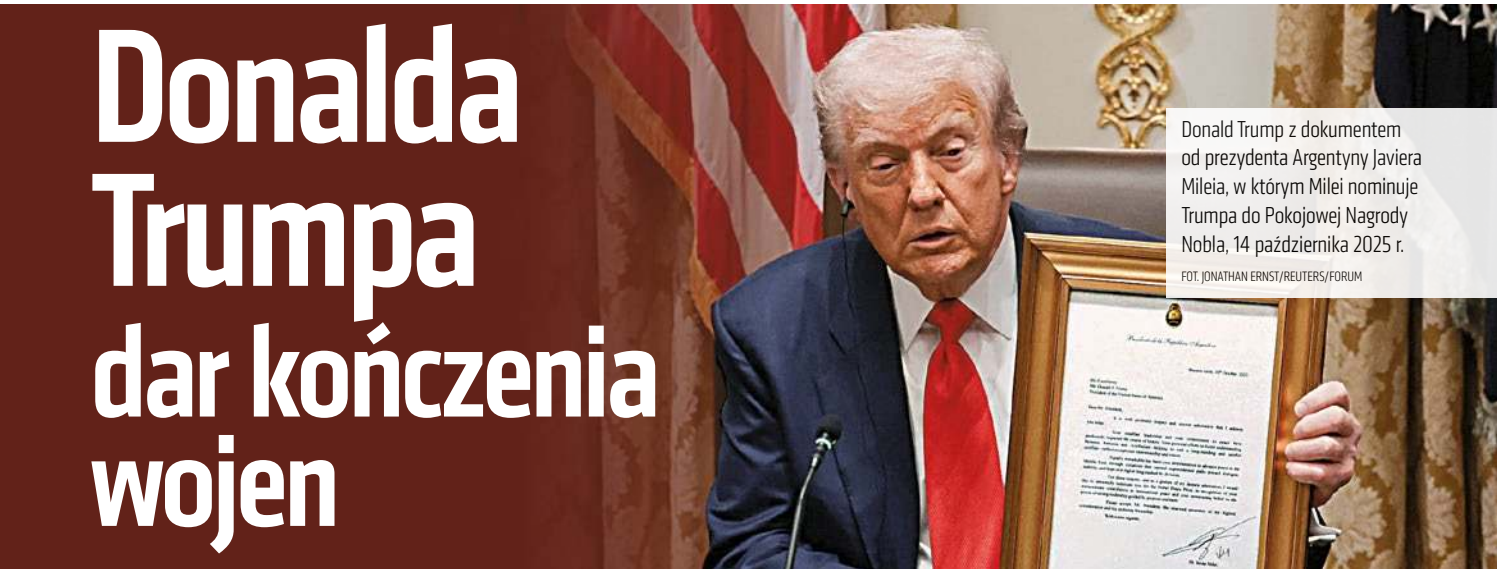
Chińskie MSZ wysmażyło w listopadzie ubiegłego roku „białą księgę" o kontroli zbrojeń, w której napisano, że „zdolności nuklearne są utrzymywane na poziomie minimalnym dla zapewnienia narodowego bezpieczeństwa". Tymczasem według nieoficjalnych danych Pekin w ciągu ostatnich pięciu lat podwoił liczbę głowic nuklearnych, osiągając 600 sztuk, a program atomowy jest tak rozpędzony, że do roku 2030 będzie ich ponad tysiąc. Tym samym znajdziemy się w sytuacji, w której trzy mocarstwa atomowe będą miały porównywalną liczbę rozmieszczonych głowic i nowe w tym gronie Chiny będą chciały to politycznie zdyskontować. W takich przypadkach możliwość manewru informacją jest ważna: raportom CIA można spokojnie zaprzeczyć, ale gdy to samo powiedział wysoki rangą czynownik, sytuacja jest trudniejsza.

Jest więc prawdopodobne, że Xi Jinping naprawdę szykuje się do operacji podporządkowania Tajwanu, rozstawia na planszy swoje figury, waży szanse i zagrożenia. Amerykanie budują Złotą Kopułę i będą mniej wrażliwi na szantaż nuklearny, ale najpierw trzeba mieć ich czym szantażować. W roku 2028 na Tajwanie odbędą się wybory, w których ma szansę wygrać partia prochińska. Jeżeli jej się to nie uda, wówczas przewodniczącemu Xi może się wydać, że na chwilę uchyli się okno możliwości. Czas płynie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 958d9fc47c

Donalda Trumpa dar kończenia wojen



Donald Trump z dokumentem od prezydenta Argentyny Javiera Mileia, w którym Milei nominuje Trumpa do Pokojowej Nagrody Nobla, 14 października 2025 r.

FOT. JONATHAN ERNST/REUTERS/FORUM



Teresa Stylińska

Donald Trump Pokojowej Nagrody Nobla jeszcze nie otrzymał i nie sposób ocenić, czy w ogóle ma na to szansę, ale jedno można stwierdzić na pewno: dzięki jego intensywnym zabiegom nagroda zyskała publicity, jakiej nie miała od lat. Już od dłuższego czasu nie budziła większego zainteresowania i oto nagle znalazła się na pierwszych stronach gazet i w czołówkach serwisów informacyjnych. Tegoroczny laureat, którego nazwisko poznamy dopiero w październiku, może się tylko cieszyć

Wśród tysięcy nagród, które corocznie są przyznawane na świecie, Nagroda Nobla jest jedną z nielicznych rozpoznawalnych powszechnie, nie tylko w gronie specjalistów z tej czy innej dziedziny. Ale gdy większość z nas nie jest w stanie ocenić trafności wyboru laureatów nagród naukowych, z nagrodą pokojową, tak zresztą jak literacką, jest inaczej. Na ich temat każdy może mieć własne zdanie, niekoniecznie zgodne z decyzją gremiów, które wyboru dokonały.

Donald Trump w swych zabiegach o nagrodę pokojową jest – excusez le mot – irytująco namolny. W kulturze Zachodu, nie tylko politycznej, wychwalanie siebie pod niebiosa po prostu nie uchodzi. Warto jednak przyjrzeć się argumentom, których Trump używa: w krótkim czasie zakończył aż osiem wojen. Cóż z tego, że, poza Gazą, jest to nieco na wyrost? I że w grę wchodzi nie tyle wstrzymywanie działań zbrojnych, ile rozładowywanie konfliktów i zapobieganie wojnom, które wiszą w powietrzu?

Czyż jednak nie takie właśnie zasady sformułował Alfred Nobel w swym testamencie? Nagroda pokojowa, tak jak widział ją fundator, ma być przyznawana za działanie na rzecz pokoju i braterstwa między narodami. Uhonorować – pisał – należy tych, którzy zrobili najwięcej dla sprawy pokoju.

KANDYDATEM MOŻE BYĆ KAŻDY

Sugestie Trumpa, właściwie przypadkiem, oznaczają zatem powrót do korzeni. Bo pod naporem obowiązkowego postępu w Oslo trochę zapomniano o prostych zasadach, rozciągając rozumienie pokoju na rozmaite działania społeczne, z ratowaniem planety włącznie. To nie przypadek, że w ostatnich latach nagroda pokojowa straciła tak wiele ze swego dawnego blasku.

Przypomnijmy zatem owe korzenie. Szwed Alfred Nobel, wynalazca dynamitu i bogaty przedsiębiorca, nie mając bliskich spadkobierców, postanowił przeznaczyć swój majątek na uhonorowanie ludzi zasłużonych dla świata. Zarządzanie majątkiem powierzone zostało specjalnie powołanej fundacji, a wybieranie laureatów – specjalistom i instytucjom z pięciu dziedzin: fizyki, chemii, medycyny i fizjologii, a także literatury i pokoju.

Czym kierował się Nobel, oddając nagrodę pokojową w ręce Norwegów? W tej sprawie jesteśmy zdani na domysły, bo nigdy tego nie wyjaśnił – ani w testamencie, ani przyjaciołom. Bardzo możliwe, że tym gestem chciał umocnić więzy Norwegii i Szwecji, które w owym czasie pozostawały w unii personalnej.

Testament został sporządzony w 1895 r. Rok później Nobel zmarł. Prace organizacyjne zajęły kilka lat i pierwszych laureatów świat poznał dopiero w 1901 r. Nagrodę pokojową otrzymali wówczas ex aequo Henri Dunant, założyciel Czerwonego Krzyża, i Frederic Passy, działacz na rzecz pokoju i twórca Unii Międzyparlamentarnej.

Jeśli Nobel miał na uwadze wzmocnienie więzów Norwegii i Szwecji, to zamysł zupełnie się nie powiódł. Ale choć w 1905 r. Norwegia zerwała unię i ogłosiła niepodległość, to nagroda pokojowa pozostała w Oslo. Nic się nie zmieniło – bo nie mogło. Testament Nobla rygorystycznie określa zasady i nie ma od tego żadnych odstępstw. Laureatów wybiera pięcioosobowy komitet, wyłaniany przez Storting, norweski parlament. Kandydatury można zgłaszać do 31 stycznia, a w gronie osób do tego uprawnionych są, poza laureata-

eprasa.pl 958d9fc47c

mi, znawcy prawa, pokoju i stosunków międzynarodowych, od profesorów po sędziów międzynarodowych trybunałów, a także członkowie rządów i parlamentów z całego świata. W sumie tysiące ludzi.

W historii nagrody odstępstwo zdarzyło się tylko raz, w 1961 r. Wbrew zasadzie, która mówi o „nagradzaniu osób żyjących", laureat został uhonorowany pośmiertnie. Był nim sekretarz generalny ONZ, Dag Hammarskjoeld, który kilkanaście dni wcześniej, podczas misji pokojowej w Kongu, zginął w katastrofie lotniczej.

Choć nominacja zazwyczaj wywołuje euforię, to sama w sobie nic nie znaczy, bo nominować można każdego. Uprawnieni mogą zgłosić, kogo tylko chcą: polityka, sąsiada, dyktatora. Wystarczy, że mają takie prawo. Wśród kandydatów był niegdyś sam Adolf Hitler, a i teraz w archiwach komitetu kryje się z pewnością niejedno wątpliwe nazwisko.

BYLE NIE TRUMP

Opinia publiczna pozna je dopiero po 50 latach. Wcześniej członkowie komitetu swą wiedzę muszą zachować dla siebie. Skąd zatem wiadomo, kto jest na noblowskiej liście? To proste: tajemnica nie obowiązuje zgłaszających i niejeden chętnie dzieli się z mediami informacją, kogo zgłosił i dlaczego.

W tym roku wśród kandydatów są Włoszka Francesca Albanese, pełniąca funkcję specjalnego sprawozdawcy NZ do spraw okupowanych terytoriów palestyńskich, prezydenci Wołodymyr Zełenski i Maia Sandu z Mołdawii, amerykański dyplomata John Coale, który wynegocjował zwolnienie więźniów politycznych na Białorusi, Greta Thunberg (wiadomo), a także Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości i Instytut Yad Vashem. Są też, zbiorowo, naród ukraiński i mieszkańcy Minneapolis, którzy dzielnie i w sposób pokojowy stawili opór siepaczom z ICE, jak to ujął magazyn „The Nation", inicjator nagrody dla miasta.

Każdy, byle nie Trump, bo stanowi on przecież śmiertelne zagrożenie dla demokracji amerykańskiej – taką postawę przyjął lewacki portal medialny WhoWhatWhy, postulując nagrodzenie ruchu The Resistance (Opór), wrogiego prezydentowi od samego początku jego pierwszej kadencji. „W 2026 roku – piszą autorzy portalu – Pokojową Nagrodę Nobla powinni otrzymać ludzie, którzy starają się nie dopuścić do tego, by Donald Trump uczynił z USA państwo autorytarne". Na swoje nieszczęście portal nie może zgłaszać kandydatur, zaapelował zatem do tych, którzy takie prawo mają, by przyszli z pomocą. Czy znalazł się ktoś chętny, nie wiadomo.

Nominacji Trump ma aż nadto. Zgłosili go m.in. premier Izraela Beniamin Netanjahu, prezydent Argentyny Javier Milei, rządy Pakistanu i Kambodży (za rozładowanie, odpowiednio, konfliktu z Indiami i z Tajlandią), władze Armenii i Azerbejdżanu (za doprowadzenie do porozumienia pokojowego) oraz deputowani z USA i Litwy. Na liście dokonań są zawieszenie broni w Gazie i porozumienia Abrahama z 2020 r., ale także udana mediacja w sprawie więźniów na Białorusi. W nominacjach sprzed 2025 r. doceniano go za nakłanianie Korei Północnej do rezygnacji z programu nuklearnego oraz, mniej konwencjonalnie, za to, że w czasie swej pierwszej kadencji nie rozpoczął żadnej wojny.

Trump tymczasem wylał ostatnio wszystkie swe żale w liście do norweskiego premiera Jonasa Gahra Støre. Skoro, stwierdził, w ubiegłym roku został pominięty, przestaje myśleć nie tylko o nagrodzie, na której już mu nie zależy, lecz także o pokoju w ogóle. Przecież nie musi.

Warto w tym miejscu wspomnieć, że Martti Ahtisaari, eksprezydent Finlandii, który po zakończeniu kadencji pole do działania znalazł sobie w rozwiązywaniu konfliktów, przez dobrych parę lat uchodził za murowanego kandydata do nagrody pokojowej. Ciągle jej jednak nie dostawał. W końcu, gdy laureatem został ktoś inny, Ahtisaari oświadczył, że temat Nobla jest dla niego zamknięty. Rok później, w 2008 r., nagrodę otrzymał. Czy coś takiego może się powtórzyć?

WOJNA NUMER DZIEWIĘĆ

Donald Trump, gdyby otrzymał nagrodę, byłby piątym amerykańskim prezydentem noblistą. Dwaj z nich zostali nagrodzeni w trakcie urzędowania za swój wkład w kończenie wojen. Theodore Roosevelt (1906) doprowadził do zawarcia porozumienia kończącego wojnę rosyjsko-japońską, Woodrow Wilson (1919) zaś miał istotny udział w doprowadzeniu do końca pierwszej wojny światowej; komitet docenił też jego inicjatywę w sprawie powołania Ligi Narodów. Jimmy Carter (2002), nagrodzony ponad 20 lat po zakończeniu kadencji, cały ten czas poświęcił łagodzeniu konfliktów.

Wreszcie Barack Obama (2009). Nagroda dla pierwszego czarnoskórego prezydenta USA wzbudziła powszechne zdumienie. Za co mógł ją otrzymać po ośmiu zaledwie miesiącach prezydentury? „Sam tego nie wiem" – laureat wykazał się bezprzykładną szczerością. A członkowie komitetu, pod mocnym ostrzałem, odwoływali się wówczas do wypowiedzi, w której Obama mówił o potrzebie denuklearyzacji. Tych wyjaśnień nie traktowano poważnie i nie bardzo nawet ich słuchano, a nagroda dla Obamy stała się jedną z tych, które najbardziej popsuły reputację komitetu noblowskiego z Oslo.

W kraju postępu, a takim Norwegia jest niewątpliwie, uznania nie znajdzie ktoś, kto patronuje genderowej kontrrewolucji

Czy Trump ma w ogóle szanse? „Nie dostanę Pokojowej Nagrody Nobla, żebym nie wiem, co zrobił – w sprawie Rosji i Ukrainy, Izraela i Iranu" – takiej treści wpis zamieścił w ubiegłym roku na Truth Social. „Gdybym nazywał się Obama, dostałbym nagrodę w 10 sekund" – zauważył innym razem, nie bez nuty goryczy. Czy to przejaw braku nadziei czy raczej realizmu? W dodatku od tego czasu sytuacja mogła się dla Trumpa zmienić jedynie na gorsze, zwłaszcza z powodu Grenlandii.

Tego rodzaju wątpliwości nie są bezpodstawne. Gdyby jednak w pokojowym dossier Trumpa do ośmiu wojen dołączyła dziewiąta – wojna ukraińska – nareszcie pojawiłaby się szansa. W obliczu faktów Komitet Noblowski mógłby po prostu nie mieć wyjścia. Czy w takim wypadku uhonorowałby Trumpa z pełnym przekonaniem? W kraju postępu, a takim Norwegia jest niewątpliwie, uznania nie znajdzie ktoś, kto patronuje genderowej kontrrewolucji. Nawet jeśli ma cenny dar kończenia wojen.

Trumpowi najbardziej szkodzi to, że jest Trumpem. A tego nie da się naprawić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 958d9fc47c



Z lewa na euro

Dane ze strefy euro zaskoczyły analityków. Gospodarka bloku liczącego 350 mln mieszkańców odnotowała bowiem w ostatnim kwartale 2025 r. wzrost wyższy od oczekiwań. Tempo wzrostu najważniejszych unijnych gospodarek pozostaje jednak mizerne (wzrost w czwartym kwartale wyniósł 0,3 proc. i 1,3 proc. rok do roku). Przemysł oraz eksport nadal nie mogą wyjść na prostą, a wewnętrzna gospodarka wciąż nie może znaleźć nowych źródeł solidnego wzrostu. Prognozy wzrostu na rok 2026 zakładają zatem rozwój gospodarki strefy euro w tempie 1,2–1,4 proc. Tymczasem globalny PKB powinien urosnąć w roku 2026 o ok. 2,8 proc., Stany Zjednoczone mają szansę osiągnąć wynik na poziomie 2,1–2,5 proc., Chiny rozwijać się w tempie 4,4 proc., a gospodarka Polski może w tym czasie urosnąć o 3,7–4 proc.

Jednocześnie kraje strefy euro nadal nie rozwiązały kluczowego problemu: unia walutowa bez unii fiskalnej prowadzi do łatwej do przewidzenia pokusy – państwa członkowskie mogą wydawać więcej, niż są w stanie spłacić, by następnie zwrócić się do banku centralnego o pomoc finansową w postaci nowo wydrukowanych banknotów. I chociaż inflacja w strefie euro wydaje się obecnie stabilna, to dodruk pieniędzy na ogromną skalę grozi wybuchem nowego, potężnego kryzysu zadłużenia. Eksperci konsekwentnie ostrzegają, że rosnące zadłużenie może jeszcze bardziej osłabić konkurencyjność Europy wobec Chin i Stanów Zjednoczonych. Unijne władze z zaskakującym optymizmem podchodzą jednak do tego, że kiedyś trzeba będzie spłacić ponad 700 mld euro wynikających z utworzenia Funduszu Odbudowy, 150 mld euro przeznaczonych na wspieranie obronności SAFE czy co najmniej



Jacek Przybylski

Aby pokrzyżować szyki coraz popularniejszej we Francji prawicy, prezes Europejskiego Banku Centralnego Christine Lagarde rozważa ustąpienie z funkcji przed końcem kadencji. Tymczasem w Bułgarii, której władze wbrew opinii połowy społeczeństwa zdecydowały o wejściu do strefy euro, 19 kwietnia odbędą się przedterminowe wybory parlamentarne – już ósme w ciągu zaledwie pięciu lat

eprasa.pl 958d9fc47c



31 stycznia 2026 r. był ostatnim dniem, gdy można było płacić w lewach (z lewej). Od 1 lutego jedyną oficjalną walutą w Bułgarii jest już wyłącznie euro

FOT. ADOBE STOCK

90 mld euro przeznaczonych na wsparcie walczącej z Rosją Ukrainy.

NA SIŁĘ DO „KLUBU BOGATYCH"

1 stycznia 2026 r. Bułgaria została oficjalnie 21. członkiem strefy euro. Duża część społeczeństwa nie chciała odejścia od bułgarskiego lewa, a więc waluty używanej w tym kraju od końca XIX w. Obawiano się głównie wysokiej inflacji i utraty tożsamości narodowej. Liczne sondaże wyraźnie pokazywały, że Bułgarzy w kwestii wprowadzenia euro są podzieleni po połowie, a czerwcowy Eurobarometr pokazywał nawet, że przeciwników porzucenia narodowej waluty było więcej niż zwolenników przystąpienia do unii walutowej (53 proc. wobec 45 proc.).

Na wszelki wypadek władze nie ogłosiły więc w tej sprawie żadnego referendum. Rząd w bezczelny sposób zignorował nie tylko apele opozycji o przeprowadzenie takiego głosowania, lecz także inicjatywę zgłoszoną oficjalnie przez prezydenta Rumena Radewa w maju ubiegłego roku (i zrobił to w sposób przypominający nieco praworządność w kraju „demokracji warczącej"). Rządzący zignorowali również liczne i masowe protesty w tej sprawie. I chociaż niemal jedna trzecia mieszkańców Bułgarii żyje poniżej granicy ubóstwa (to najwyższy wskaźnik w całej Unii Europejskiej), to zwolennicy wejścia kraju do strefy euro prowadzili kampanię podkreślającą, że porzucenie lewa sprawi, że Bułgaria wejdzie wreszcie do grona najbardziej zamożnych państw Starego Kontynentu.

– Zwolennicy przystąpienia Bułgarii do strefy euro podkreślają, że dzięki dołączeniu do „klubu bogatych" kraj ten odniesie korzyści i osiągnie znaczący postęp. Przedstawia się to tak, jakby Bułgaria automatycznie podniosła swój standard życia i dobrobyt – mówiła portalowi DW profesor w Instytucie Badań Ekonomicznych Bułgarskiej Akademii Nauk (BAS) Rossitsa Rangelowa, zauważając, że „przedstawia się to tak, jakby Bułgaria automatycznie podniosła swój standard życia i dobrobyt".

„EFEKT BAGIETKI"

Unijny komisarz gospodarki Valdis Dombrovskis uspokajał sceptyków, że Komisja Europejska będzie monitorować ceny po przystąpieniu Bułgarii do strefy euro, aby zapobiegać nieuzasadnionym podwyżkom. Zgodnie z prawem aż do 8 sierpnia 2026 r. we wszystkich punktach handlowych ceny muszą być wyraźnie wyświetlane zarówno w lewach, jak i w euro, po sztywnym urzędowym kursie wymiany (1 euro = 1,95583 lewa bułgarskiego).

Mimo monitorowania cen wprowadzenie euro stało się dla wielu bułgarskich sprzedawców okazją do nieuzasadnionych podwyżek. Jak donosiły bułgarskie media, w niektórych przypadkach ceny produktów poszybowały w górę nawet o jedną trzecią. Chodzi m.in. o chleb w jednej z dużych sieci handlowych. Jeszcze 31 grudnia 2025 r. 300-gramowy bochenek kosztował 0,89 lewa (0,46 euro), ale gdy 2 stycznia Bułgaria weszła do „klubu bogatych", jego cena wzrosła do 1,19 lewa (0,61 euro), czyli o 33 proc. w ciągu zaledwie dwóch dni.

Bułgarskie media punktują również wiele przypadków „błędów technicznych", gdy ceny przeliczane przez restauratorów z lewa na euro nijak się mają do oficjalnego kursu wymiany. Jak informował bułgarski portal Tribune.bg, w jednej z restauracji cena pizzy wzrosła z 18,75 lewa do 36,67 euro (czyli z równowartości 40 zł do 155 zł). Z kolei widzowie telewizji Nowa TV zauważyli znaczący skok cen w sklepach internetowych (np. podwyżki takich samych towarów z 5,23 euro 1 stycznia do 10,22 euro w 2 stycznia oraz analogicznie z 12 do niemal 24 euro). Do „pomyłki" doszło też w przypadku jednego z banków, który przy próbie wpłaty bułgarskiej waluty na konto zastosował kurs wymiany 1,965 zamiast sztywnego i oficjalnego kursu 1,95583. Bułgaria nie jest w tym przypadku wyjątkiem – gdy do strefy euro przystępowały Włochy, zaobserwowano „efekt cappuccino" (właściciele kawiarni masowo zaokrąglali cenę tego popularnego napoju do pełnego euro). Z kolei we Francji podobne zjawisko nazwano „efektem bagietki".

W reakcji na masowe skargi bułgarskich konsumentów urzędnicy zapowiedzieli już nakładanie na nieuczciwych przedsiębiorców surowych kar finansowych. Bułgarskie prawo przewiduje w takich przypadkach grzywnę w maksymalnej wysokości 100 tys. lewów (czyli ok. 51 tys. euro). Według oficjalnych danych w wyniku ponad 6 tys. kontroli w styczniu nałożono kary w łącznej wysokości 196 tys. euro.

Członkowie bułgarskiej Rady Fiskalnej przekonują jednocześnie, że „odczucie ogólnego wzrostu cen jest często bardziej psychologiczne niż rzeczywiste". Oficjalnie radykalnych podwyżek na dużą skalę nie widać też w najnowszych danych statystycznych. Według najnowszego komunikatu Narodowego Instytutu Statystycznego inflacja w styczniu zmalała w Bułgarii do 3,5 proc. w skali roku (z 5 proc. w grudniu), a tempo wzrostu cen miesiąc do miesiąca wyniosło 0,6 proc. Według statystyków cena pszennego chleba spadła zaś, a nie wzrosła.

Jak zauważył portal knsb-bg, z obliczeń Konfederacji Bułgarskich Związków Zawodowych (CITUB), który od połowy 2025 r. stale monitoruje ceny 21 towarów w ponad 600 małych i dużych punktach sprzedaży detalicznej w 81 gminach,

eprasa.pl 958d9fc47c

wynika jednak, że w styczniu 2026 r. cena podstawowego koszyka towarów w Bułgarii była o 1,3 proc., czyli o 75 eurocentów, wyższa niż w grudniu ubiegłego roku. Najbardziej podrożały warzywa, kurczak, a także nabiał, olej oraz jaja. Wzrosły również ceny w zakładach fryzjerskich (męskie o 3,4 proc., a damskie o 2,4 proc.), koszty przejazdów taksówkami (o 8,4 proc. w dzień i 9,2 proc. w nocy) czy też ceny miesięcznego abonamentu na parkingach strzeżonych (wzrost o 3 proc.).

Wielu Bułgarów obawia się nadal scenariusza, w którym po zakończeniu okresu pilnego monitorowania sprzedawców i usługodawców ceny w ich kraju zaczną błyskawicznie zrównywać się z cenami w zamożniejszych częściach Europy, tymczasem ich płace wzrosną jedynie nieznacznie.

Portal Business Novinite informował w połowie lutego, że według danych Konfederacji Bułgarskich Związków Zawodowych (CITUB) ceny takich produktów jak mąka, ryż, świeże mleko czy olej już teraz są w Bułgarii wyższe niż w Niemczech, Hiszpanii, Chorwacji, Francji czy Holandii. Co gorsza, łączna wartość tzw. małego koszyka konsumpcyjnego w Bułgarii wynosi 58,8 euro, a za bułgarską płacę minimalną można go kupić zaledwie 10 razy. Dla porównania: w Chorwacji koszyk ten kosztuje 52,85 euro, a Chorwat zarabiający płacę minimalną może go kupić 19 razy. W Niemczech wartość podstawowego koszyka wynosi zaś 75,02 euro, ale za niemiecką pensję minimalną można go kupić aż 32 razy.

CHORWACI JUŻ ŻAŁUJĄ

Przed takim scenariuszem Bułgarów ostrzegają m.in. Chorwaci. Z sondażu przeprowadzonego wśród obywateli 20 państw, które wspólną walutę przyjęły przed Bułgarią, wynika, że najgorzej decyzję tę oceniają właśnie Chorwaci (oficjalnie kraj ten zrezygnował z kuny 1 stycznia 2023 r.). Wprawdzie według oficjalnych danych w pierwszym roku po wprowadzeniu euro inflacja nie tylko nie wzrosła, ale wręcz spadła, to odczucia mieszkańców tego kraju przeczą urzędniczym raportom. Tylko 38 proc. mieszkańców Chorwacji deklaruje zatem, że euro jest dla ich kraju korzystne. Od roku 2024 r. odsetek zadowolonych z przyjęcia wspólnej waluty spadł zaś aż o 6 punktów procentowych. Również zdaniem wielu Polaków, którzy właśnie przez lata w Chorwacji spędzali wakacje, kraj ten stał się ostatnio istotnie droższy.

O tym, że to euro wepchnęło ich w długi okres mizernego wzrostu gospodarczego, jest też przekonanych wielu mieszkańców Włoch. I rzeczywiście niedługo po tym, jak kraj ten zdecydował się zostać członkiem unii walutowej i stracił możliwość prowadzenia suwerennej polityki pieniężnej, we Włoszech szybki rozwój zmienił się w długie lata stagnacji ekonomicznej.

DYMISJA PREMIERA I PREZYDENTA

Zmuszenie Bułgarów do wejścia do strefy euro dodatkowo zaogniło kryzys polityczny w tym kraju. W grudniu Bułgarzy stracili rząd, a w styczniu prezydenta. Najpierw, po miesiącach największych od trzech dekad protestów społecznych – dotyczących nie tylko sprzeciwu wobec porzucenia narodowej waluty, lecz także sprzeciwu wobec planowanych podwyżek podatków – nieudolny gabinet premiera Rosena Żelazkowa podał się wreszcie do dymisji. Bułgarzy domagali się zmian, gdyż oskarżają rządzących o polityków masową korupcję. Odczucia protestujących potwierdzają dane Transparency International. W dorocznym raporcie „Corruption Perception Index 2025", określającym „wskaźnik postrzegania korupcji" w poszczególnych krajach świata, Bułgaria zajęła dalekie 84. miejsce wśród 182 badanych państw. Dla porównania: Polska znalazła się w tym zestawieniu na 52. pozycji, a miejsca na podium zajęły tradycyjnie Dania, Finlandia oraz Singapur.

W związku z tym, że żadna partia obecna w parlamencie nie chciała podjąć się misji tworzenia nowego gabinetu, ze stanowiska zrezygnował w styczniu również prezydent Rumen Radew. To pierwsza dymisja prezydenta Bułgarii od transformacji ustrojowej w roku 1989. Cieszący się dużym zaufaniem rodaków – a jednocześnie określany mianem „prorosyjskiego" i „eurosceptycznego" – Radew zdecydował się na ten krok, aby móc wystartować w przedterminowych wyborach parlamentarnych. Mają się one odbyć 19 kwietnia. Będą to już ósme wybory parlamentarne od 2021 r. W ciągu ostatnich pięciu lat ani razu nie udało się wyłonić stabilnego rządu. Tylko najwięksi optymiści mogą jednak zakładać, że rezultat kwietniowego głosowania położy ostatecznie kres politycznym zawirowaniom w Bułgarii. Jeśli bowiem Zgromadzenie Narodowe pozostanie rozdrobnione, to nawet jeśli uda się powołać większościową koalicję, to trudno spodziewać się stabilnych i długich rządów. Decyzja o zignorowaniu głosu połowy obywateli w sprawie wprowadzenia euro wzmocni zaś zapewne wynik antyunijnych partii nacjonalistycznych.

Dalszy kryzys polityczny może zaś zaprzepaścić szanse na osiągnięcie realnych korzyści z przystąpienia do strefy euro, czyli na przekonanie dużych międzynarodowych graczy, że długoterminowe inwestycje w Bułgarii mogą być bezpieczne i opłacalne.

GAMBIT MACRONA?

Tymczasem we Francji trwają już przygotowania do zwycięstwa partii prawicowych w kluczowych wyborach prezydenckich. Jak poinformował dziennik „Financial Times", obecna szefowa Europejskiego Banku Centralnego Francuzka Christine Lagarde rozważa ustąpienie ze stanowiska już w kwietniu 2027 r. (zamiast w październiku 2027 r., gdy formalnie kończy się jej kadencja). Nieco wcześniej prezes Banku Francji François Villeroy de Galhau publicznie ogłosił, że zamierza ustąpić ze stanowiska w czerwcu 2026 r., czyli 18 miesięcy przed planowanym zakończeniem jego drugiej kadencji.

O co chodzi? Jak zawsze, jak nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o… władzę. Jeśli Villeroy de Galhau pozostałby na stanowisku do końca kadencji, to o powołaniu jego następcy decydowałby kolejny prezydent Francji. Tym zaś zapewne po wyborach w kwietniu 2027 r. zostanie kandydat prawicy: Marine Le Pen lub Jordan Bardella. Wcześniejsze odejście ze stanowiska sprawi zaś, że nowego prezesa Banku Francji – podzielającego jego lewicowo-centrową wizję gospodarki – wskaże jeszcze Emmanuel Macron. Podobny efekt miałoby mieć odejście przed czasem prezes Christine Lagarde…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 958d9fc47c



PROSTO ZYGZAKIEM

SAFE dla PiS zły, a KPO dobry?

PIOTR GABRYEL

Ileż radości sprawili posłowie PiS (i Konfederacji) swoim wyborcom, głosując przeciw udziałowi Polski w SAFE, czyli w projekcie kolejnego zadłużania Polski (a więc polskich podatników) – w ramach szczególnie niebezpiecznego dla kurczącej się polskiej suwerenności, „wspólnego" długu państw UE, którego zaciągnięcie sprawi, że niemiecki pomysł federalizacji UE stanie się, niestety, jeszcze mniej nierealny.

Jak wiadomo, tym razem – czyli w przypadku SAFE – chodzi o zaprzęgnięcie do owego niemieckiego wehikułu federalizacji UE wydatków na zbrojenia, pod hasłem: „Boimy się Rosji, więc zadłużamy się na zbrojenia wspólnie"; tak jakby nie można się było także na ten cel zadłużać osobno, a najlepiej – finansować swą armię nie z długu, lecz z bieżących przychodów budżetu państwa. Albowiem dług SAFE ma być kolejnym długiem „unijnym" – cokolwiek to oznacza, zaciąganym niby przez UE, ale spłacanym przez państwa członkowskie UE, bo przecież żadnych innych prawdziwych pieniędzy w UE nie ma. I z każdym takim kolejnym, „wspólnie" zaciągniętym długiem coraz trudniej się z UE wywikłać, a przy tym rządy mniejszych państw członkowskich coraz bardziej „zależą" od rządzącego UE – za pośrednictwem KE i jej przewodniczącej Ursuli von der Leyen – rządu Niemiec.

Innymi słowy – pod (jakże mylącą) nazwą SAFE kryje się po prostu dług o nazwie SAFE, który każde państwo członkowskie UE, które przystąpi do SAFE, czyli do długu SAFE, samo będzie musiało spłacić, ale za to pieniądze z tego kredytu wydawać będzie mogło w sposób mocno limitowany – lwią ich część będzie musiało ulokować wyłącznie w unijnych firmach zbrojeniowych, więc de facto głównie w Niemczech (które, dodajmy, do SAFE nie zamierzają przystąpić) i we Francji, a ponadto wypłaty kolejnych transz tego kredytu będą zależeć od spełnienia wielu warunków. Albowiem SAFE, czyli „unijny" dług SAFE, tak samo jak KPO (Krajowy Plan Odbudowy) – pamiętają go państwo jeszcze? – czyli „unijny" dług KPO, służą głównie do możliwie jak największego kontrolowania rządów państw UE i do federalizacji UE.

Wszelako, jeśli tak, czyli jeśli dług SAFE premiera Tuska tak bardzo źle służy Polsce, to dlaczego ci sami posłowie PiS, którzy teraz z taką radością głosowali przeciw niemu, w 2021 r. z taką samą radością głosowali za tak samo źle służącym Polsce długiem KPO premiera Morawieckiego (przeciw byli tylko posłowie Solidarnej Polski i Konfederacji)? Tym bardziej że o ile dług SAFE to już „tylko" po prostu kolejny taki, „unijny" dług na rzecz federalizacji UE, o tyle dług KPO był pierwszym „unijnym" długiem, który tę fatalną furtkę do federalizacji UE Niemcom po prostu szeroko otworzył. ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

Marco Rubio w Monachium

ŁUKASZ WARZECHA

Ameryka zmienia ton wobec Europy", „Rubio z gałązką oliwną", „Waszyngton naprawia swoje błędy" – takie komentarze dotyczące wystąpienia amerykańskiego sekretarza stanu na Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium można było znaleźć w polskich mediach. Ich autorzy albo opierali się na błędnych relacjach z drugiej ręki, najpewniej nie wysłuchawszy nawet pięciu minut z przemówienia Amerykanina, albo jeśli słuchali całości, to nic nie zrozumieli.

W najważniejszym fragmencie wystąpienia Rubio oznajmił, że sama siła militarna nie wystarczy. Ludzie muszą czuć, że mają za co walczyć

Wystąpienie Rubia było kontrastowane z przemówieniem wiceprezydenta J.D. Vance'a w tym samym gremium sprzed roku. Faktycznie, forma była nieco odmienna. Vance swoim bezpośrednim tonem dołożył się do szoku przeżywanego w Europie po wyraźnym zwycięstwie Donalda Trumpa – wszak administracja miała wtedy ok. miesiąca. Mówił wtedy, że Europa sprzeniewierzyła się swoim wartościom i to jest źródłem jej słabości. Obecni na sali mieli problem ze spokojnym wysłuchaniem tej trafnej diagnozy.

Tyle że Rubio powiedział dokładnie to samo. Owszem, opakował to bardziej elegancko, wielokrotnie przypominał o wspólnocie cywilizacyjnej Starego i Nowego Kontynentu, opowiadał o swoich europejskich przodkach, o niemieckich emigrantach do USA, a nawet kilkakrotnie był oklaskiwany. Jednak treść nie różniła się od przesłania Vance'a. Rubio również mówił, że Europa jest w kryzysie wartości, potępiał niekontrolowaną imigrację, dotychczasowemu systemowi międzynarodowemu zarzucał nieefektywność.

W najważniejszym fragmencie wystąpienia powiedział, że sama siła militarna nie wystarczy. Ludzie muszą czuć, że mają za co walczyć. Zdaje się, że ten passus umknął słuchaczom, a przecież był kluczowy. Nikt nie będzie umierał za unijną Kartę Praw Podstawowych, za traktat lizboński czy za paskudny budynek Berlaymont przy rondzie Schumana w Brukseli, gdzie Ursula von der Leyen ma na 13. piętrze swój apartament. Ani tym bardziej za jego lokatorkę. ©℗

eprasa.pl 958d9fc47c



Współcześni Mincowie z PiS i Koalicji Obywatelskiej dopięli wreszcie swego

FOT. JERZY DUDEK/FORUM

KSeF, czyli KO-PiS-u „bitwa o handel”



Jakub Wozinski

Krajowy System e-Faktur wprowadza schemat zwalczania przedsiębiorców, który pod pewnymi względami zawstydziłby nawet Hilarego Minca. Jest to system skrajnie niebezpieczny i wrogi przedsiębiorcom

Krajowy System e-Faktur ruszył oficjalne 1 lutego i już w pierwszych godzinach okazało się, że jest wadliwy. Ministerstwo Finansów szybko zwaliło winę na serwery Profilu Zaufanego, tak jakby była to kwestia zupełnie od niego niezależna. Jakby tego było mało, oprócz KSeF wadliwie zaczął działać także sam Profil Zaufany, który jest przecież wykorzystywany przez obywateli jako główne narzędzie do załatwiania spraw urzędowych on-line.

WIELKA AWARIA NA HORYZONCIE

Lutowy falstart to niestety dopiero zapowiedź tego, co się będzie działo na początku kwietnia, gdy faktury w KSeF będzie musiała wystawiać nie tylko garstka największych firm (o rocznych przychodach przekraczających 200 mln zł), lecz także ponad 2 mln pozostałych podmiotów. Rządowe serwery mogą zwyczajnie odmówić posłuszeństwa i nie będzie to niestety element prima aprilis.

Narastający chaos oraz obawy o przyszłość już teraz doprowadziły do tego, że w Polsce wybuchła prawdziwa panika. Specjalizujące się w tym zakresie kancelarie prawne i biura podatkowe przeżywają ostatnio regularny szturm firm, które zapytują o możliwość przeniesienia działalności do Czech. Z tego rodzaju opcji najczęściej opłaca się skorzystać spółkom, a nie np. jednoosobowym działalnościom gospodarczym. Znacząca

eprasa.pl 958d9fc47c

liczba zapytań świadczy jednak o tym, że polscy przedsiębiorcy są naprawdę zdeterminowani do tego, aby uciec przed czekającym ich koszmarem. Skoro już pierwsze godziny działania KSeF odsłoniły tak wiele usterek i wątpliwości, to dalej może być już tylko gorzej.

Kwestie typowo techniczne, mimo że wypłynęły już na samym starcie KSeF, nie stanowią jednak największego problemu. Nawet jeśli przez cały 2026 r. będzie dochodziło do awarii systemu informatycznego, to i tak uda się go w końcu zapewne udoskonalić. Wciąż niestety zbyt mało osób rozumie, że nawet bezbłędny pod względem technicznym KSeF nadal byłby całkowicie nie do przyjęcia, ponieważ jest to system skrajnie niebezpieczny i wrogi przedsiębiorcom.

NOWOCZESNOŚĆ CZY POWRÓT DO KOMUNIZMU?

Przedstawicielom Ministerstwa Finansów bardzo zależy na rozpropagowaniu narracji, że KSeF to po prostu krok w nowoczesność, a jego wrogami mogą być co najwyżej zwolennicy staroświeckich metod. Najchętniej powołują się na stereotypową starą księgową, która całe życie miała do czynienia tylko z papierowymi fakturami i nie chce się przestawić na nowy system, który wszystkim ułatwia życie. Typowym przeciwnikiem KSeF miałby zatem być „technofob", który nie rozumie, że wszystkie faktury może wystawiać i odbierać z jednej aplikacji na smartfonie, a na dodatek węszy spiski tam, gdzie nie powinien.

Z pewnością funkcjonujący od lat wymóg przechowywania wszystkich dokumentów firmowych przez pięć lat do potencjalnej kontroli stanowił niemałą niedogodność. Wynikłe w związku z tym trudności bledną jednak wobec zagrożeń, które dla prywatności i bezpieczeństwa stwarza Krajowy System e-Faktur. Aby to zrozumieć, trzeba najpierw uzmysłowić sobie, że istotą wprowadzenia KSeF nie jest wcale chęć ulżenia staroświeckiej „Pani Grażynce" z księgowości, lecz wprowadzenie do biur wszystkich przedsiębiorców w Polsce pracownika skarbówki, który nieustannie przygląda się wszystkiemu, co się dzieje w ich firmach.

Porównania do bitwy o handel, którą w latach powojennych prowadziła z rodzimym biznesem komunistyczna władza, wcale nie są przesadzone. Przed 80 laty komuniści mogli tylko marzyć o tym, aby ulokować swojego przedstawiciela bezpośrednio u każdego przedsiębiorcy. Współcześni Mincowie z PiS i Koalicji Obywatelskiej dopięli wreszcie swego, gdy umożliwiła im to technologia.

Wbrew zapewnieniom Ministerstwa Finansów faktura nie jest tylko zwykłym nośnikiem informacji, który czyni wszelką wizualizację w postaci tradycyjnego wydruku zbędną. W polskim prawie faktura stanowi nieuregulowany żadnymi oficjalnymi przepisami, lecz uświęcony wieloletnim zwyczajem element ułatwiający prowadzenie jakiejkolwiek działalności gospodarczej. Wykształcony przez lata niepisany kodeks regulujący wystawianie, doręczanie i przyjmowanie faktur to twór spontaniczny i rynkowy, który minimalizuje ryzyko wystąpienia długotrwałych i kosztownych sporów przed państwowymi sądami. Nie jest to system idealny, ale pozostawiający każdemu podmiotowi pewne pole manewru przy współpracy z wieloma innymi podmiotami.

Coraz większa liczba prawników zaczyna dostrzegać, że KSeF może już wkrótce zniszczyć ów spontaniczny ład i zastąpić go koszmarem mylnych egzekucji podatkowych, sporów o płatności, i fałszywych faktur. Wszystko przez to, że pośrednikiem między podmiotami na rynku przymusowo staje się państwo. Podobnie jak w przypadku listów poleconych moment wprowadzenia danej faktury do KSeF jest bowiem uważany za moment skutecznego jej doręczenia. Wprowadzenie faktury do rządowego systemu oznacza, że bez względu na to, czy odbiorca faktury rzeczywiście ją pobrał czy nie, termin płatności będzie już płynął. Jeśli zatem nawet faktura nie zostanie zauważona lub zostanie wystawiona błędnie, to system może automatycznie wykryć dług ograniczający ulgi podatkowe lub zmuszający do korekty VAT.

Faktury w KSeF będzie można podglądać przy pomocy aplikacji na smartfona, więc teoretycznie żadna z nich nie powinna ujść naszej uwadze. Nie każdy prowadzący własną działalność musi jednak zaglądać regularnie do KSeF, szczególnie jeśli jest mikroprzedsiębiorcą, gdy jego zawód nie polega na pracy biurowej lub gdy mieszka w okolicy pozbawionej dobrego dostępu do Internetu.

WSTĘP DO WERYFIKACJI OSOBOWEJ?

Kolejny problem może się jednak pojawić w momencie, w którym ktoś wystawi na nas fakturę, z którą nie mamy nic wspólnego. Jeden z internautów ukazał

REKLAMA



eprasa.pl 958d9fc47c

absurd całej sytuacji, prosząc w aptece o wystawienie faktury za prezerwatywy zakupione na Kancelarię Prezesa Rady Ministrów. Obrońcy KSeF twierdzą, że tego rodzaju „żarty" można było robić także w dotychczasowym systemie, ale prawdą jest to, że KSeF w alarmujący sposób ułatwia tego rodzaju praktyki. Do tej pory wszelkiego rodzaju żartownisiów wystarczyło po prostu zignorować, a oni sami musieli przynajmniej zadać sobie trud, żeby wysłać fakturę pocztą lub e-mailem. Nowy system miał być lepszy i bezpieczniejszy, ale nie został wyposażony w adekwatne narzędzie służące weryfikacji nabywcy. Nawet zatem jeśli księgowość KPRM ostatecznie odrzuci fakturę na prezerwatywy, to będzie to wymagało od niej poświęcenia czasu na wyjaśnienie sprawy.

W szeregach PiS nie doszło jeszcze do żadnej krytycznej refleksji na temat własnej odpowiedzialności za KSeF

Powyższy przypadek nie jest niestety błahy, ponieważ logiczną konsekwencją wprowadzenia KSeF stanie się wcześniej czy później chęć wprowadzenia gruntownej weryfikacji osób wystawiających faktury oraz proszących o ich wystawienie. Ministerstwo Finansów zapewne z radością zaproponuje ów krok jako element „uszczelniania systemu" oraz „walki z przestępczością podatkową". Nikomu o zdrowym rozsądku nie trzeba chyba jednak tłumaczyć, jak bardzo koszmarne byłyby skutki sprzęgnięcia KSeF z tego rodzaju weryfikacją osób, która przecież dokonywałaby się w trybie ciągłym.

Budzących przestrach pułapek związanych z KSeF jest niestety dużo więcej. Obecne kierownictwo Ministerstwa Finansów, podobnie jak poprzednie, nie kryje się zanadto z tym, że chciałoby zmusić wszystkich przedsiębiorców do rezygnacji z gotówki. Wysiłki te idą w parze z dwiema innymi inicjatywami: unijnym portfelem cyfrowym (EUDI Wallet) oraz cyfrową walutą banku centralnego. Cyfrowe euro w perspektywie najbliższych kilku lat nam na szczęście jeszcze nie grozi, jednakże unijny portfel cyfrowy ma zostać uruchomiony na bazie mObywatela najpóźniej w grudniu tego roku. Współpraca pomiędzy totalitarnym w swej naturze portfelem cyfrowym, potencjalnym systemem weryfikacji wystawiających faktur oraz bezgotówkowym systemem płatniczym może stworzyć prawdziwie dystopijne środowisko totalnej kontroli.

URZĘDNICZE OKO W FIRMIE

Twórcy KSeF uparcie przekonują, że stworzony przez nich system jest bezpieczniejszy od tego, którym posługują się banki. Żaden przedsiębiorca nie udostępnia jednak bankowi wszystkich swoich faktur. KSeF jako system jest oparty na całkowicie błędnym założeniu, że państwo wyłącznie zbiera dane, które same w sobie nie mają żadnej wartości, a urzędnicy nie mają żadnego interesu w wykorzystywaniu tych danych do własnej korzyści. To oczywisty absurd, ponieważ ukryte w fakturach szczegóły dotyczące każdej firmy są nierzadko jednym z jej najcenniejszych zasobów. Pracownicy administracji skarbowej nie są zaś aniołami niezainteresowanymi łamaniem przepisów. Im większą ilość informacji będzie gromadził KSeF, tym większa będzie pokusa ze strony urzędników, aby wykorzystać je do niewłaściwych celów.

Umieszczanie urzędniczego oka w samym środku każdej firmy to szaleńczy pomysł, tym bardziej że nie do końca wiadomo, kto będzie ostatecznym dysponentem zgromadzonych danych. Ministerstwo Finansów nie odpowiedziało na żadne z pytań, które „Do Rzeczy" zadało w związku z podmiotami, które współpracowały przy tworzeniu i administrowaniu całej architektury cyfrowej KSeF. MF zareagowało dopiero w momencie, gdy w mediach zrobił się szum w następstwie wypowiedzi Krzysztofa Bosaka. Wicemarszałek Sejmu nagłośnił doniesienia prasowe, jakoby za wdrażeniem KSeF miała stać francuska firma Thales, będąca do 2023 r. podmiotem z Izraela. Sugerował, że mogło to stworzyć zagrożenie w postaci utraty kontroli nad danymi przez podmioty zagraniczne.

W odpowiedzi na to Ministerstwo Finansów stwierdziło, że Bosak rozpowszechnia nieprawdę, wszystkie serwery obsługujące KSeF znajdują się Polsce, a deszyfryzacja KseF jest niemożliwa. Branżowi specjaliści wskazują jednak, że pomimo korzystania z rodzimych chmur całość systemu informatycznego stojącego za KSeF nie jest oparta wyłącznie na krajowej infrastrukturze i korzysta z pośredników zagranicznych. Zgoda na tego typu rozwiązanie naraża niestety polski biznes, a także państwo, na ogromne ryzyko.

RZECZNICY OPÓŹNIONEGO STARTU

KSeF to wielka kompromitacja nie tylko Mateusza Morawieckiego i Andrzeja Domańskiego, którzy ponoszą główną odpowiedzialność za opracowanie i wdrożenie systemu, lecz także największych organizacji pracodawców i przedsiębiorców. Związek Pracodawców i Przedsiębiorców, Konfederacja Lewiatan czy też Pracodawcy RP nie sprzeciwiły się jak dotąd najbardziej restrykcyjnemu w Europie systemowi rejestracji faktur, a jedynie zaleciły przesunięcie jego wdrożenia na później. KSeF można by oczywiście ulepszać jeszcze wiele lat, ale zawsze będzie tym samym, zupełnie zbędnym i kontrproduktywnym narzędziem służącym inwigilacji.

W szeregach PiS nie doszło zaś jeszcze do żadnej krytycznej refleksji na temat własnej odpowiedzialności za KSeF. Wręcz przeciwnie, przedstawiciele partii promują narrację o amatorszczyźnie obecnej władzy, zbyt szybkim wprowadzeniu systemu w życie czy też bałaganie komunikacyjnym. Na razie nikt nie odważył się powiedzieć, że KSeF jest zły jako taki i nie ma sensu go naprawiać.

W całym zamieszaniu związanym z KSeF znaleźć można natomiast przynajmniej jedno środowisko (nie licząc obozu władzy, PiS czy też największych firm), któremu nowy system nie przeszkadza. Mowa oczywiście o firmach dostarczających oprogramowanie służące do obsługi KSeF. Przedstawiciele tego sektora z uśmiechem na ustach próbują przekonywać opinię publiczną do nowego rozwiązania, zachwalając je jako pozytywną rewolucję, wprowadzającą standaryzację praktyk oraz wygodę. Skoro jednak jest tak dobrze, to czemu jest tak źle?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 958d9fc47c





ZAMACH WRZEŚNIOWY: OBALENIE PREZYDENTA WIENIAWY

Francuzi wymieniają Polsce głowę państwa – wydarzenia paryskie z września 1939 r. można uznać za zamach stanu. Prezydent Bolesław Wieniawa-Długoszowski został pozbawiony władzy przez Francuzów, przy współudziale gen. Władysława Sikorskiego

Cud na wzgórzu Tepeyac – niezwykły wizerunek połączył dwa światy: Azteków i Hiszpanów, sprawiając, że kolonizatorzy inaczej patrzyli na podbitą ludność. Nie sposób zrozumieć dzisiejszego Meksyku bez poznania tej historii

Zagłębiowski Dziki Zachód – Rewolucja lat 1905–1907 w Polsce pod zaborem rosyjskim miała miejsce nie tylko w Warszawie czy w Łodzi, lecz także w Zagłębiu Dąbrowskim. Wybuchały wówczas nie tylko strajki w fabrykach, lecz także bomby, padały strzały w kierunku Rosjan, kozaków i prowokatorów

Moskwa albo śmierć – upadek sowieckiej stolicy miał być fundamentem zwycięstwa III Rzeszy. Hitler planował stworzyć w miejscu sowieckiej stolicy wielki zbiornik wodny

Gorąca głowa i zimne serce Konwickiego – niezależnie od naszych ocen jego twórczość, zarówno pisarska, jak i filmowa, jest nie do podrobienia. Przekonali się o tym jego naśladowcy, którzy jak jeden mąż ponieśli klęskę – pisze Krzysztof Masłoń

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 958d9fc47c

Reglamentowany hormon słońca





Mariusz Jagóra

„Nie ma czegoś takiego jak sezon grypowy, jest za to sezon niedoboru witaminy D, zwłaszcza powyżej 50° szerokości geograficznej na półkuli północnej" – powiedział kiedyś podczas wykładu amerykański patolog dr Ryan Cole

Jeszcze do niedawna witaminę D kojarzono głównie z mocnymi kośćmi. Dziś naukowcy mówią o niej jako o prohormonie – związku, który w organizmie działa podobnie jak klasyczne hormony sterydowe, wpływając na wiele procesów zachodzących w naszym ciele, nie tylko na układ kostny. Oczywiście witamina D reguluje poziom wapnia i fosforu, minerałów, które odpowiadają za mocne kości, zdrowe zęby i sprawnie działające mięśnie. Jeśli jej zabraknie, to organizm nie jest w stanie efektywnie wchłaniać wapnia z pożywienia. Ale – jak się okazuje – jej rola jest znacząco większa: ma wpływ na cały organizm. Witamina D działa jak regulator układu odpornościowego – wspiera organizm w zwalczaniu infekcji i pomaga kontrolować stany zapalne; bierze udział w procesie podziału i dojrzewania komórek, co jest kluczowe dla zdrowia tkanek; wpływa na rozwój neuronów i może oddziaływać na nasz nastrój oraz wspiera prawidłowe ciśnienie krwi i elastyczność tętnic.

SKÓRA I KOŚCI

Utrzymanie właściwego poziomu witaminy D w organizmie wiąże się z niższym ryzykiem wystąpienia wielu chorób. Jej niedobór prowadzi do krzywicy u dzieci i osteomalacji (rozmiękania kości) u dorosłych. U seniorów zwiększa się ryzyko wystąpienia osteoporozy (zwiększone ryzyko złamań kości). Osoby z niskim poziomem witaminy D częściej zapadają na infekcje dróg oddechowych i gorzej radzą sobie z zakażeniami. W badaniach obserwuje się związek między jej niedoborem a chorobami takimi jak reumatoidalne zapalenie stawów, stwardnienie rozsiane czy cukrzyca typu 1. A coraz więcej danych wskazuje, że witamina D może obniżać ryzyko nadciśnienia, chorób sercowo-naczyniowych i niektórych nowotworów (w wielu badaniach obserwacyjnych zaobserwowano, że osoby z wyższym poziomem witaminy D miały niższe ryzyko wystąpienia raka jelita grubego, piersi i prostaty). Jej niedobór osłabia zatem zarówno strukturę, jak i mechanizmy obronne organizmu.

Choć witamina D trafia do nas z pożywienia lub powstaje w skórze pod wpływem słońca, to w tej postaci jest jeszcze bezużyteczna. Organizm musi ją uaktywnić, a to wymaga przejścia przez dwa etapy przetwarzania. Kluczowym wskaźnikiem, który pokazuje, ile naprawdę mamy witaminy D w organizmie, jest jej postać nazywana 25-hydroksywitamina D (25(OH)D). To jej stężenie bada się we krwi, bo właśnie ta forma jest najstabilniejsza i najlepiej odzwierciedla ogólny status witaminy D w organizmie. Jak dochodzi do jej powstania? Witamina D, niezależnie od tego, czy pochodzi z ryb, jajek, suplementów czy z syntezy słonecznej, trafia do wątroby „pod opiekę" enzymu nazywanego 25-hydroksylazą. To on przekształca ją w postać 25(OH)D. Można powiedzieć, że jest to jej forma pośrednia, ale to właśnie ją mierzymy, by ocenić, czy mamy niedobór witaminy D czy nie. Natomiast dopiero później, w nerkach, 25(OH)D zostaje przekształcona w kalcytriol, czyli aktywny hormon – to jest właśnie ta wersja witaminy D, która steruje gospodarką wapniową, wpływa na odporność i oddziałuje na liczne tkanki w całym organizmie. Można powiedzieć, że 25(OH)D jest magazynem, z którego organizm w razie potrzeby produkuje kalcytriol, aktywator różnych procesów biologicznych zachodzących w organizmie człowieka.

Nic dziwnego więc, że wraz z pojawieniem się licznych doniesień naukowych sugerujących istnienie związku między spożyciem witaminy D a wynikami zdrowotnymi, stała się ona przedmiotem szczególnego zainteresowania lekarzy i naukowców. W 2011 r. Instytut Medycyny (IOM), na wniosek rządów Stanów Zjednoczonych i Kanady, dokonał przeglądu danych dotyczących zapotrzebowania na wapń i witaminę D, żeby zaktualizować Referencyjne Wartości Spożycia (DRI) w oparciu o aktualne dowody naukowe dotyczące ich roli w zdrowiu ludzkim. W efekcie powstał raport zawierający zalecenia żywieniowe dotyczące suplementacji wapnia i witaminy D, który stał się podstawą do określenia zalecanego dziennego spożycia (Recommended Dietary Allowance – RDA) wapnia i witaminy D.

RDA to zalecane dzienne spożycie danego składnika odżywczego w takiej

eprasa.pl 958d9fc47c


FOT. ADOBE STOCK

ilości, która wystarcza, żeby pokryć zapotrzebowanie prawie wszystkich zdrowych osób (ok. 97,5 proc. ludzi) w danej grupie (np. dorosłych kobiet, dzieci, seniorów). To jest docelowa ilość, którą według ekspertów powinien dostarczać sobie przeciętnie zdrowy człowiek każdego dnia, żeby mieć wystarczający poziom tej substancji w organizmie i aby nie rozwijały się u niego choroby wynikające z jej niedoboru (np. krzywica przy braku witaminy D czy anemia przy braku żelaza). Celem Instytutu Medycyny było ustalenie zalecanego dziennego spożycia witaminy D, żeby uzyskać stężenia 25-hydroksywitaminy D (25(OH)D) w surowicy na poziomie 50 nmol/l lub więcej u 97,5 proc. zdrowych osób, ponieważ poziom ten jest uznawany za korzystny dla zdrowia kości i zapobiegania chorobom.

ILE NAPRAWDĘ JEJ POTRZEBA?

I tu zaczyna się problem. Instytut Medycyny obliczył, że RDA dla witaminy D wynosi 600 IU dziennie dla osób w wieku od 1 do 70 lat (800 IU dziennie dla seniorów), co pozwala osiągnąć poziom 25-hydroksywitaminy D (25(OH)D) w surowicy wynoszący 50 nmol/l lub więcej u 97,5 proc. zdrowych osób. Jest to stężenie, które ma być wystarczające do tego, żeby odnieść korzystny wpływ na zdrowie kości oraz zapobiegać chorobom i urazom.

Raport IOM z 2011 r. miał olbrzymie znaczenie – dokument zaczął kształtować zdrowie publiczne w wielu krajach, stał się fundamentem dzisiejszych norm żywieniowych. Zalecenia zaczęły rozlewać się po świecie, gdyż wiele krajów, nie mając własnych dużych analiz, przyjęło RDA z raportu jako punkt odniesienia dla lekarzy, dietetyków i instytucji. Założenie IOM, że 600 IU dziennie wystarczy, aby 97,5 proc. populacji osiągnęło poziom 25(OH)D wynoszący 50 nmol/l uznano za wystarczający poziom dla zdrowia. To od tej liczby zależało, jak definiuje się „niedobór", jakie dawki trafiają do zaleceń publicznych, jak produkuje się suplementy, jakie normy trafiają na etykiety żywności.

Jak się okazało, wartość ta została błędnie obliczona, a wszystkie rekomendacje z niej wynikające są oparte na wadliwym fundamencie. W 2014 r. dwaj kanadyjscy naukowcy, Veugelers i Ekwaru, przeanalizowali dane, na których oparło się IOM, i dowiedli, że instytut popełnił błąd statystyczny – zamiast analizować wyniki pojedynczych osób, analizowano średnie z badań, przez co RDA zostało drastycznie, bo ponad 10-krotnie zaniżone. Według poprawnych obliczeń, aby 97,5 proc. ludzi osiągnęło poziom 50 nmol/l, potrzeba nie 600 IU, ale ok. 8900 IU dziennie! Oznacza to, że programy zdrowia publicznego są niedoszacowane, a ogromna część populacji nigdy nie osiągnie docelowego poziomu – miliony ludzi żyją latami w niedoborze witaminy D, mimo że, ufając nauce, spełniają zalecenia lekarzy. Tu nie chodzi o drobną korektę, to pomyłka, która ma realny wpływ na zdrowie społeczeństw. I choć część naukowców nadal wskazuje na błąd, to raport IOM wciąż pozostaje „matrycą", wobec której pozycjonują się wszystkie późniejsze analizy – takie, które potwierdzają, że dawki powinny być wyższe, i inne, które próbują bronić pierwotnych wartości, a wszystkie organizacje, które tworzą własne normy i odchodzą od tego standardu, muszą się do niego odnieść, bo to na nim oparto globalne dyskusje o witaminie D. Raport IOM ustawił coś w rodzaju psychologii zaleceń – deklaratywnie jego celem była ochrona ludzi przed niedoborem, ale ostrzega także przed rzekomym ryzykiem wysokich dawek. Dlatego ustalono górną granicę dziennego spożycia na 4000 IU. To sprawiło, że lekarze zaczęli ostrożnie podchodzić do wyższych dawek witaminy D, producenci suplementów trzymali się „bezpiecznych limitów", a polityka zdrowia publicznego naturalnie preferowała minimalizm. Jeśli ta ostrożność opiera się na błędnych wyliczeniach – to konsekwencje są oczywiste.

POLSKI MODEL

Jak to wygląda w Polsce? Polska nie przyjęła dawek zalecanych przez IOM. Zamiast tego stosujemy własny model, oparty na konsensusie ekspertów Europy Środkowej, zalecający spożycie witaminy D na poziomie 800–2000 IU dziennie dla dorosłych, czyli również znacznie poniżej 8900 IU dziennie.

Jeśli błędy wskazywane przez krytyków są zasadne, to oznacza, że przez wiele lat całe populacje żyły w przeświadczeniu, że mają poziom witaminy D pod kontrolą, choć faktycznie funkcjonowały z jej niedoborem. Zasadne wydaje się pytanie, dlaczego od 2014 r., kiedy ujawniono błąd statystyczny przy ustalaniu obecnego Zalecanego Dziennego Spożycia witaminy D, nie dokonano korekty i nie zmieniono zaleceń dotyczących suplementacji witaminy D. Przecież wszystkim chodzi o to, żebyśmy byli zdrowsi, mniej chorowali i kupowali mniej leków, nieprawdaż?

Jeśli błędy wskazywane przez krytyków są zasadne, to oznacza, że przez wiele lat całe populacje żyły w przeświadczeniu, że mają poziom witaminy D pod kontrolą, choć faktycznie funkcjonowały z jej niedoborem

© Ⓟ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 958d9fc47c

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Pałac, który zabrał Stalin





JACEK KOMUDA

Krystynopol, albo Krystianpol, to miasteczko na Kresach, które utraciliśmy w 1951 r. w wymianie granicznej z ZSRS. Odstąpiliśmy wówczas tereny Lubelszczyzny nad Bugiem, Bełz, Uhnów i wspomniany Krystynopol, a otrzymaliśmy Ustrzyki Dolne, Czarną, Polanę i część Bieszczadów. Ziemie oddane Sowietom były zasobne w węgiel, a te przekazane nam miały jedynie walory przyrodniczo-krajoznawcze. Starym, rosyjsko-sowieckim obyczajem zrabowano z nich wszystko, co miało jakąkolwiek wartość.

Wspomniany Krystynopol, dziś Szeptycki, był perłą wśród terenów przekazanych ZSRS. Ma ciekawą historię i kilka zabytków, wśród których wyróżnia się dawny pałac Potockich, w XVIII w. jeden z najpiękniejszych na wschodnich kresach. Krystynopol założył bowiem w 1692 r. hetman Feliks Kazimierz Potocki, ostatni zwycięzca Rzeczypospolitej, który w 1698 r. pobił Tatarów pod Podhajcami. Miasteczko zostało nazwane przez pamięć dla jego żony Krystyny z Lubomirskich. Cztery lata później Potocki zmarł i pochowany został w ufundowanym przez swego syna kościele o.o. Bernardynów znajdującym się przy klasztorze. Dziś świątynia ta, opuszczona po wysiedleniu ludności polskiej w 1951 r., jest prawosławną cerkwią pw. św. Włodzimierza, przy której zachowały się odnowione budynki dawnego konwentu. Dawniej przy klasztorze działał też szpital dla ubogich, ufundowany jeszcze w 1695 r.

We wspominanym kościele pochowany był także syn Feliksa, Józef Felicjan, strażnik wielki koronny, który dokończył fundację klasztorną, zanim umarł w 1723 r. Jego następcą został Franciszek Salezy Potocki, pan ogromnych



FOT. DOMENA PUBLICZNA

włości na Rusi i Ukrainie, wojewoda kijowski. To właśnie on uczynił z Krystynopola stolicę swoich dóbr i wzniósł pałac, który zachowany w całkiem dobrym stanie oglądać można i dzisiaj. Franciszka Salezego zwano „małym królem Rusi", gdyż posiadał 170 miast i kilkaset wsi, a także ok. 400 tys. poddanych. Był wielkim wrogiem Familii Czartoryskich, brał udział w walkach z Rosjanami po nielegalnym sejmie elekcyjnym 1764 r. i był przeciwnikiem ostatniego króla Stanisława Augusta. W 1767 r. stał się jednym z przywódców konfederacji radomskiej. Popierał też późniejszą konfederację barską.

W 1756 r. wojewoda rozpoczął budowę wspaniałego pałacu, którego projekt wykonał Pierre Ricaud de Tirregaille, francuski architekt będący również twórcą pałacu Branickich w Białymstoku. Obiekt miał być siedzibą pokazującą potęgę rodu, obowiązywała tutaj etykieta podobna do tej na dworze królewskim. Kiedy do rezydencji przyjeżdżał Franciszek Salezy Potocki, wojsko nadworne oddawało mu honory. Każdy gość, choćby był szlachcicem, musiał wysiąść z karety przed bramą i wejść pieszo do pałacu. Tutaj odbyło się wesele Marianny Potockiej z Alojzym Fryderykiem von Brühlem.

Obok pałacu założony został wspaniały park w stylu włosko-francuskim, ze sztucznymi kanałami, fontannami i stawami. Dziś nie ma po nim jednak śladu.

Franciszek Salezy Potocki ufundował także w Krystynopolu klasztor Bazylianów – obecnie jest to klasztor i cerkiew św. Jura; wznoszone od 1763 r., przetrwały do dzisiaj.

Po śmierci wojewody kijowskiego Krystynopol przeszedł w ręce jego syna – osławionego zdrajcy i targowiczanina – Stanisława Szczęsnego Potockiego, który chociaż mieszkał tutaj od dziecka i pobierał wykształcenie pod kierunkiem matki, to przeniósł rezydencję do Tulczyna na Ukrainie. W późniejszych latach miasteczko przechodziło do różnych rąk. Przez jakiś czas jego właścicielem był Adam Poniński, marszałek pierwszego sejmu rozbiorowego, sprzedajna kreatura i alfons polityczny I Rzeczypospolitej, pozostający oczywiście na jurgielcie moskiewskim. Po jego bankructwie Krystynopol stał się własnością Starzeńskich i Fuchsów. Niestety, w czasie pierwszej wojny obiekt został mocno zniszczony i ograbiony, a remont przerwał wybuch kolejnego kataklizmu. Po 1951 r. Sowieci ulokowali tutaj muzeum ateizmu, a od czasu rozpadu ZSRS w pałacu mieści się lokalne muzeum historii i religii. Jak na podobne obiekty pozostałe na kresach pałac Potockich zachował się w całkiem dobrym stanie – zwłaszcza wnętrza, aczkolwiek okropnie szpecą go sowiecka zabudowa szkoły i stadion zbudowany w dawnym parku dworskim. Jednak jego monumentalna bryła ciągle sprawia niezwykłe wrażenie. ©℗

eprasa.pl 958d9fc47c

CHERY TIGGO 4 PRESTIGE



FOT. JAP

To jeden z najtańszych hybrydowych SUV-ów segmentu B oferowanych w Polsce. Za przestronnego miejskiego crossovera o długości 432 cm, szerokości 183,1 cm i wysokości 164,6 cm – w standardzie (czyli w wersji Essential) są m.in. reflektory LED, pakiet 24 systemów wspomagania kierowcy, bezprzewodowa obsługa Android Auto oraz Apple CarPlay, dwustrefowa automatyczna klimatyzacja oraz kamera cofania) – trzeba obecnie zapłacić 95,9 tys. zł, czyli mniej niż za dużo bardziej plastikową w środku Dacię Duster. Testowana odmiana Prestige ma także m.in. tapicerkę ze skóry ekologicznej, system kamer 540 stopni, składane elektrycznie lusterka boczne, podgrzewane przednie fotele, sześć głośników oraz nastrojowe oświetlenie wnętrza. A kosztuje... 105,9 tys. zł.

Z zewnątrz dobre wrażenie robi charakterystyczny grill. Z kolei w środku jest o wiele przyjemniej, niż można by się spodziewać, patrząc na niską cenę. Materiały są zaskakująco miękkie i miejscami skóropodobne, a pierwsze skrzypce na desce rozdzielczej gra 24,6-calowy ekran, łączący funkcje cyfrowych zegarów z wyświetlaczem systemu multimedialnego. Bagażnik ma 430 l pojemności, a po złożeniu tylnych siedzeń rośnie do 1190 l.

Pod maską pracuje 1,5-litrowy, wolnossący, czterocylindrowy silnik benzynowy, który połączony jest z mocnym silnikiem elektrycznym i dość niewielką baterią (1,84 kWh). Maksymalna moc układu hybrydowego wynosi 163 KM, a maksymalny moment obrotowy to 260 Nm. Sprint od zera do 100 km/h zajmuje 8,9 s. Trzeba jednak pamiętać, że takie przyspieszenie możliwe jest wyłącznie, gdy bateria jest chociaż trochę naładowana. Gdy w akumulatorze zupełnie brakuje energii, kompaktowy SUV robi się bardziej ospały. Po mieście jeździ się tym autem zaskakująco fajnie. Jako crossover na zakupy, do pracy czy kościoła sprawdzi się bez problemu. O tym, że nie jest to auto do szybkiej jazdy, przypomina jednak nie tylko miękko zestrojone zawieszenie, lecz także prędkość maksymalna ograniczona do 150 km/h. Mało kto będzie chciał jeździć tak szybko, bo już przy 140 km/h silnik spalinowy zaczyna głośno wyć, błagając o litość.

Hybrydowe Tiggo 4 potrafi za to odwdzięczyć się niewielkim spalaniem. Maksymalny zasięg po zatankowaniu do pełna baku o pojemności 51 l to ponad 800 km, a średnie zużycie paliwa podczas zimowego testu wyniosło 5,9 l/100 km (producent deklaruje, że możliwe jest zejście do 5,3 l/100 km).

A co z bezpieczeństwem? W testach Euro NCAP Tiggo 4 zdobyło tylko cztery gwiazdki (na pięć możliwych). Na pokładzie są jednak 24 systemy wspomagania kierowcy, w tym zapobiegający niekontrolowanej zmianie pasa, monitorowania martwego pola, awaryjnego hamowania, ostrzegania przed kolizją z przodu. Mamy też asystenta świateł drogowych i adaptacyjny tempomat. Niektórzy asystenci są przydatni, inni – jak np. ostrzegający o przekroczeniu dozwolonej prędkości czy rozproszeniu uwagi kierowcy – potrafią mocno uprzykrzyć życie kierowcy (na szczęście można ich łatwo uciszyć).

REDMI NOTE 15 PRO 5G



Bardzo dobry wyświetlacz AMOLED, pojemna bateria, odporność na kurz, wodę i upadki oraz niezły stosunek jakości do ceny – to największe zalety średniaka chińskiej marki Redmi.

Nowocześnie wyglądający Redmi Note 15 Pro 5G z obudową z tworzywa sztucznego, które świetnie imituje aluminium, przedstawiany jest jako „tytan wytrzymałości". Jest więc nie tylko odporny na kurz i wodę (IP 66/IP 68), lecz także na zgniatanie, zginanie czy upadki z wysokości do 2,5 m (z zastrzeżeniem „standardowych warunków testowych", więc lepiej jednak nie rzucać nim z balkonu).

Oko cieszy płaski wyświetlacz AMOLED o rozdzielczości 1,5K o przekątnej 6,83 cala z częstotliwością odświeżania do 120 Hz. Nieźle. Jasność maksymalna wynosi w teorii aż 3200 nitów. W praktyce wydaje się, że mniej, ale jest na tyle wysoka, że nawet w ostrym zimowym słońcu można bez trudu korzystać z telefonu. Silikonowo-węglowa bateria ma 6580 mAh pojemności. I według producenta jest w stanie sprawnie i długo działać nawet w temperaturze –20 st. C (co podczas tak srogiej zimy jest ważną informacją nie tylko dla mieszkańców Suwalszczyzny i Podlasia).

Testowany model napędza procesor Mediatek Dimensity 7400-Ultra taktowany zegarem do 2,60 GHz (4 nm) i wspierany przez 8 GB lub 12 GB pamięci RAM. Miejsce na dane to 256 GB lub 512 GB. I chociaż model ten nie oferuje szybkości na miarę flagowców (bo jest od nich o ponad połowę tańszy), to system jest stabilny. Jest też wystarczająco wydajny na potrzeby typowego użytkownika smartfonów ze średniej półki.

Aparat fotograficzny o rozdzielczości 200 MP z optyczną stabilizacją obrazu w dobrych warunkach oświetleniowych potrafi robić dobre zdjęcia. Nie jest to jednak model dla zagorzałych miłośników cyfrowej fotografii. Na pokładzie są również łączność 5G, NFC, a także Dual SIM z możliwością obsługi coraz bardziej popularnych kart eSIM.

Minusy? Jeśli chodzi o łączność, to w roku 2026 przydałoby się już Wi-Fi 7 (tymczasem jest nadal Wi-Fi 6). Szkoda też, że po wyjęciu z pudełka na pokładzie smartfona jest Android 15, a nie dostępna od połowy 2025 r. „szesnastka". Oczywiście aktualizacja trafi i tu, ale z czterech obiecanych przez producenta zostają de facto trzy. Redmi Note 15 Pro 5G obsługuje technologię turboładowania, ale w tym wypadku „turbo" oznacza 45 W. Z pewnością nie jest to najszybsze „turbo" na rynku, ale według producenta to idealna równowaga między szybkim ładowaniem a długą żywotną baterii. Redmi Note 15 Pro 5G ma też całkiem niezły stosunek ceny do jakości. W wariancie 8/256 GB kosztuje 1699 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 958d9fc47c



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Suszenie

Weszliśmy już w pełni w okres Wielkiego Postu, czyli sześciu szczególnych tygodni, które przygotowują nas na wydarzenia Wielkiej Nocy. W dawnej Polsce ściśle i wręcz z zapałem przestrzegano zasad postu, czyli „suszono".

Poza dworami magnackimi i bogatszymi klasztorami, gdzie serwowano rozmaite dania z ryb i „maślane" śniadania, czyli pieczywo i nabiał, w całym kraju przestrzegano zasad postu zarówno z powodów religijnych, jak i z konieczności.

Jedzono – jak pisze Barbara Ogrodowska w książce pt. „Święta polskie" – głównie żur, kartofle, gotowaną rzepę, chleb, sok z kiszonej kapusty, zupę kapuśniarkę oraz pamułę, czyli zupę śliwkową. Pojawiały się też na stołach solone śledzie. Potrawy skąpo kraszono olejem lnianym lub konopnym. Przednówek na wsi był trudny, brakowało jedzenia, więc post był niejako wzniosłym uzasadnieniem pospolitej biedy. Całkowicie rezygnowano też z tytoniu, zamykano na klucz instrumenty muzyczne, rezygnowano ze spotkań towarzyskich. Nawet głośniejsze zachowanie było karcone. Za to ludzie wspólnie się modlili i czytali nabożne lektury. Ten nastrój przerywały hałaśliwe obchody półpośca lub śródpościa, gdy drewnianymi grzechotkami lub kołatkami obwieszczano, że teraz to już z górki.

Pamuła, czyli zupa ze śliwek

Do przygotowania pamuły można użyć śliwek mrożonych albo wędzonych. Około 400 g śliwek zalewamy wodą (suszone trzeba wcześniej namoczyć) i gotujemy ok. 20 min, aż zmiękną. Przecieramy przez sito lub blendujemy. Doprawiamy cukrem do smaku i dodajemy solidną łyżkę śmietany. Gotujemy ziemniaki, podsmażamy na oleju cebulkę. Na talerz nakładamy ziemniaki, polewamy cebulką, nalewamy zupę.

Jest to proste danie, ale w wielu może obudzić wspomnienie dzieciństwa i przywołać smak wakacji na wsi. ©℗



FOT. ADOBE STOCK



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Wanda od dizajnu

Wykształceni rodzice, szkoła Platerek, zamiłowania i zdolności artystyczne – miała to wszystko. W książce „Wanda Telakowska. Piękno dla wszystkich, czyli jak powstało polskie wzornictwo" sylwetkę matki chrzestnej polskiego powojennego wzornictwa przypomina Katarzyna Rzehak. Tę wartko napisaną, niewielką książkę przeczytałam w jeden dzień i polecam nawet czytelnikom niecierpliwym, bo odkrywa mało znaną część najnowszej historii.

Kto poza środowiskiem związanym z projektowaniem zna dziś jej nazwisko? Dzieło Telakowskiej – Instytut Wzornictwa Przemysłowego – zmieniało nazwy i sponsorów, jak gorący kartofel było przerzucane z jednego gabinetu do drugiego.

Mieć pomysł, energię, talent organizacyjny, pomocnych przyjaciół okazało się za mało, żeby przedrzeć się przez zapory PRL-owskiej administracji. Wanda forsowała gabinety dygnitarzy, szukała protekcji u przedwojennych znajomych, przekonywała panów na stołkach, że obywatel musi mieć porządne krzesła, stoły, lampy i buty. Przecież „chłopki siedzieli i dłubali w nosie i wszytko było dla nich zbyt pańskie" – myślała władza, z nazwy ludowa.

Tylko za granicą Wanda odnosiła sukcesy. Z pomocą Czesława Miłosza, który pracował wtedy w ambasadzie w Waszyngtonie, odbyła triumfalne tournée po Stanach Zjednoczonych, zaliczyła sukces propagandowy i frekwencyjny w Szwajcarii, pokazała polski dorobek w Chinach. Ale kogo to obchodziło w Polsce? Żony komunistycznych urzędasów uważały, że one lepiej zaprojektowałyby serwetkę i wazonik. Ministrom szkoda było pieniędzy na utrzymywanie placówki, przodujący ustrój uważał ją za zbędną. PRL nie potrzebował stylu.

Ambasadorka – powiedziano by w dzisiejszym języku. Jej by się takie pretensjonalne słowo nie spodobało. Ona była raczej generałem, dowódcą. W pracy, bo w życiu prywatnym mniej bojowa; kochała się w kilku panach, żaden jej nie zechciał. Na starość straciła wzrok, umarła w samotności.

Można powiedzieć, że myśl Telakowskiej zatriumfowała. Dzisiaj każdy wie, co to dizajn. Stał się tak powszechny, że słowo musiało się spolszczyć. Każdy widelec chełpi się znanym nazwiskiem. Współcześni projektanci nie muszą antyszambrować po ministerstwach, pracują w koncernach, zarabiają miliony. Przemysł nie szuka piękna dla wszystkich, szuka pomysłów, które mogą się sprzedać, nawet dziwacznych, a może takich szczególnie.

Jak ideowa, dzielna pani Telakowska znalazłaby miejsce w tych czasach? Czy by się jej spodobały? ©℗

eprasa.pl 958d9fc47c



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O Włoskiej Republice Futbolowej

We Włoszech tydzień temu wybuchła afera wagi państwowej. Głos zabrali przewodniczący Senatu (druga osoba w państwie), kilku byłych premierów, a nawet szef koncernu Stellantis John Elkann z dynastii Agnellich od Fiata i Juventusu. Opisy, analizy i pyskówki ciągnęły się stronami włoskich gazet. Mądre głowy dyskutowały godzinami w telewizji, a naród kłócił się w barach i audycjach radiowych „phone-in". Zagotowało się w Internecie.

A było tak: w katedrze włoskiego futbolu, na stadionie San Siro, Inter grał z Juventusem. Pędzący z piłką Bastoni mijając Kalulu, padł na murawę jak rażony piorunem. Sędzia wyrzucił Kalulu z boiska. Natomiast powtórki telewizyjne pokazały, że Bastoni symulował, a gdy arbiter wyciągnął czerwony kartonik, wiwatował, jakby przed chwilą zdobył bramkę. Udało mu się oszukać sędziego i osłabić Juventus, który przez 50 minut musiał grać w dziesiątkę i poległ 2:3.

Starły się dwa potężne plemiona, Juventini i Interisti. Były premier Enrico Letta rozpoczął kampanię na rzecz usunięcia Bastoniego z futbolowej reprezentacji Italii. Przewodniczący Senatu Ignazio La Russa uznał, że sprawiedliwości stało się zadość, bo przedtem, i to przez niemal 100 lat, oszukiwali piłkarze Juventusu, i to nie bez udziału sędziów. W Internecie jego współwyznawcy radowali się, że tak sprytnie udało się oszukać i ograć rywali. Natomiast Juventini pośród najwulgarniejszych wyzwisk zapowiedzieli w sieci, że zlinczują Bastoniego i arbitra wraz z żonami i dziećmi. Sprawą zajął się prokurator, a policja poradziła arbitrowi, żeby nie opuszczał domu.

Sfrustrowani i wymóżdżeni polscy internauci rozpętali kampanię nienawiści wymierzoną w Polę Bełtowską, bo ich zdaniem niewystarczająco daleko skakała na nartach na ZIO w Italii. Chociaż trudno w to uwierzyć, to jeśli chodzi o chamstwo i głupotę, pobili ich Włosi i Włoszki.

Łyżwiarka Francesca Lollobrigida (krewna aktorki) dwa lata temu urodziła Tommasa. Teraz w Mediolanie zdobyła dwa złote medale i stała się bohaterką narodową Italii. Niestety, nie dla wszystkich. Po wygranym finałowym wyścigu podeszła do kamer z dokazującym synkiem na ręku. Włoscy frustraci, a przede wszystkim frustratki skomentowali w sieci: „A gdzie ojciec?!", „Mogła go oddać dziadkom", „Co za rozbestwiony bachor!". A jakaś niewiasta napisała: „Ten wywiad był najlepszą reklamą środków antykoncepcyjnych".

Jeden z moich znajomych księży twierdzi, że Internet jest wymysłem diabła. Może ma rację? ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Salceson na ławie

Ludzie są coraz bardziej wytresowani przez media. Dłuższe opowieści są zastępowane punktami prostych skojarzeń wokół jakiegoś pojęcia-hasła. Zestawy skojarzeń są proste jak mały chemik i ogarniają już cały świat. Problem w tym, że z takiej bańki już się nie wychodzi, ot – dla podtrzymania życia w tej szklanej kuli wrzuca się medialnie od czasu do czasu jakieś nowe pojęcie. Czasami znowu to bieg zdarzeń wywołuje stare, zapomniane skojarzenie, które odłożone czekało na mózgowej półeczce z napisem: „bodziec – reakcja".

Mamy ostatnio przykład tego ostatniego. Rozpoczął się proces ks. Olszewskiego, w którym strona uśmiechnięta nie tylko już dawno wydała wyrok, lecz także cały proceder związany ze sprawą księdza i dwóch urzędniczek odpowiedzialnych za Fundusz Sprawiedliwości jest rządową pokazówą. Pokazówą, jak daleko można zajść, kiedy się chce zademonstrować swoją wszechwładzę wobec maluczkich. Na procesie zostają ujawnione ewidentne faule formalne, które jawnie wychodzą w obszar dręczenia podsądnych. Ale ciekawi co innego.

Jak się czyta komentarze do postów w wykonaniu uśmiechniętych akolitów takiego postępowania, to połowa dotyczy… salcesonu. Tak, mamy coś takiego: „Nie płacz tam księżulo, jak ci tak ciężko było w więźniu, to trzeba było się leczyć salcesonem". Dla przypomnienia – te rewelacje wzięły się z tego, że równocześnie z oskarżeniem księdza pojawiły się doniesienia, że to szarlatan, który egzorcyzmuje salcesonem. Prawda jest zaś kompletnie inna: ksiądz odprawiał kiedyś egzorcyzmy na prośbę rodziców zaniepokojonych poziomem wegetarianizmu swej córki. Egzorcyzmy powiodły się na tyle, że po nich wegetarianka poprosiła o mięso, a że w domu był tylko salceson, to go jej ksiądz podał. I to wszystko. W świat poszło, że ksiądz leczy salcesonem.

I teraz popatrzmy na ten mechanizm: ludzie, niektórzy niegłupi, wykształceni, ale jak się pojawi w mediach ks. Olszewski, to i tak skojarzenie mają jedno – salceson. Bez sensu, nie tylko że nieprawdziwe, ale głównie, że nie na miejscu. Bo czy sadystyczne traktowanie więźnia ma coś wspólnego z tym, że – niechby – kiedyś używał do egzorcyzmów salcesonu? To takie budzenie w nocy co dwie godziny w celi jest jakąś karą za salceson? Wędliniarskie oskarżenie odczłowiecza szarlatana po to, by można było z nim zrobić wszystko.

Są duże grupy, które przebywają w ciągłym automatyzmie takich skojarzeń. Olszewski – salceson, Kaczyński – łupież, zdeptane buty, Rydzyk – Maybach (choć to równie idiotyczne kłamstwo). I tak sobie żyjemy wśród ludzi etykietujących. Ciekawe, jaką każdy z nas ma nadaną naklejkę. ©℗

eprasa.pl 958d9fc47c



SPODE ŁBA

Daleko od Cambridge

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

Gorszący spór rozpalił w ostatnim czasie polskich miłośników historii. Związany z Uniwersytetem Jagiellońskim prof. Andrzej Nowak udzielił wywiadu redaktorowi Robertowi Mazurkowi w Kanale Zero. Profesor określił w nim magistra historii Uniwersytetu Warszawskiego, Piotra Zychowicza, jako „katastrofalnego szkodnika" oraz „człowieka, który nie ma warsztatu historyka, nie jest żadnym profesorem", dodając zarazem „nie jest to ważne, tytuł nie gra tutaj zasadniczej roli". Po co więc wypowiadać nieważne uszczypliwości?

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



W dalszej części wywiadu można się dowiedzieć, że Piotr Zychowicz uprawia publicystykę historyczną jako rodzaj prowokacji, „które niezwykle podobają się w Berlinie i w Moskwie". Tym samym „lansuje się brednie, jakie wspiera wywiad Władimira Putina". Dokonywane przez Piotra Zychowicza „potworne zakłamania historii" czynione są „ku oklaskom ambasady rosyjskiej. Ambasada rosyjska w Polsce była gotowa zorganizować promocję, radość, raut z okazji wydania jednej z książek pana Zychowicza, tak bardzo odpowiadają one propagandzie wrogiej Polsce, a przede wszystkim tak dalece odbiegają od prawdy historycznej. Tyle na temat pana Zychowicza".

Profesorowi Nowakowi zawdzięczam, w rozwoju swej pasji historycznej, wiele. To dzięki jego rekomendacji, wydrukowanej na okładce książki „W pożogę" autorstwa brytyjskiego historyka Dominica Lievena, miałem okazję poznać tego badacza dziejów Rosji. Wydana w roku 2018 książka zachwyciła mnie elegancją wywodu, ogromną erudycją, a przede wszystkim szacunkiem dla czytelnika i wielką kulturą autora. Przedstawia on swoich bohaterów z sympatią i zrozumieniem, jako ludzi konfrontowanych z wyborami, wśród których wszystkie mogły prowadzić ku przepaści. W polskiej promocji książki aktywnie uczestniczył prof. Andrzej Nowak. Zapisy jego spotkań z prof. Lievenem znaleźć można w Internecie. Są one dowodem wzajemnego szacunku oraz wzorem kulturalnej dyskusji pomiędzy historykami odmiennych poglądów.

Profesor Uniwersytetu w Cambridge, Dominic Lieven, w roku 2014 otrzymał od najwyższych władz Federacji Rosyjskiej Order Przyjaźni przyznany „za wspieranie przyjaźni, współpracy i wzajemnego zrozumienia pomiędzy narodami". W mającej oczywisty wymiar propagandowy konferencji wałdajskiej, odbywającej się co roku w Soczi, uczestniczył Lieven, już po zajęciu przez Rosję Krymu, kilkakrotnie. Zapisy jego wystąpień, pełnych podziwu wobec rosyjskiej historii i kultury oraz dumy z rosyjskich przodków, są łatwo dostępne. Pełne wzajemnej kurtuazji debaty profesorów Nowaka i Lievena odbywały się w roku 2018, w którym ten ostatni otrzymał specjalną nagrodę główną Klubu Wałdajskiego. Nie pamiętam, dzięki Bogu, aby ktokolwiek insynuował mu wtedy dziękczynne rauty FSB w Soczi lub owacje na Kremlu, urządzane na jego cześć przez zbrodniczych aparatczyków Putina. Można jednak założyć, że osiągnięcia naukowe i sława Brytyjczyka z pewnością uzasadniałyby fetowanie jego uczestnictwa w imprezie, którą niejednokrotnie otwierał osobiście Władimir Putin. Z dostępnych mi wiadomości wynika, że Piotr Zychowicz nigdy do takich gremiów dokooptowany nie został.

Umiejętność rzeczowej i kulturalnej dyskusji powinna cechować już studentów historii. Profesora z Krakowa i magistra z Warszawy dzieli zapewne różnica zawodowego prestiżu. Czy jest ona znacznie większa od tej, odróżniającej wykładowcę uniwersytetu w Cambridge, notowanego w poważanych rankingach jako trzeci na świecie, a naukową gwiazdę Uniwersytetu Jagiellońskiego, pojawiającego się zazwyczaj w szóstej setce? Ostatnia książka prof. Andrzeja Nowaka opowiada o znamiennym dla polskiej historii cyklu upadania i powstawania państwa. Przyjmijmy, że cykl ten odnosi się również do tak arcypolskiej instytucji jak nasz najstarszy uniwersytet. Na pytanie, czy wywiad z Kanału Zero świadczy o powstawaniu, czy też upadku tej szacownej uczelni, niech odpowiedzą sobie czytelnicy. ©℗

eprasa.pl 958d9fc47c



JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Czesio nawiał, połaszczył się na dolary...

W maju 1951 r., w apogeum stalinizmu i zimnej wojny, komunistyczną władzę spotkał dotkliwy cios. Czesław Miłosz, poeta i dyplomata rządu Bieruta, attaché kulturalny Polski Ludowej w Waszyngtonie i Paryżu, wybrał wolność, jak się wtedy mówiło, i to jeszcze z hukiem. Na specjalnie zorganizowanej konferencji prasowej w Paryżu prosząc o azyl polityczny i przedstawiając powody swojej decyzji, czyli niemożność dalszego życia w kłamstwie, które opublikował też w paryskiej „Kulturze" w tekście pt. „Nie".

Początkowo komuniści, jak mieli w zwyczaju, zamierzali przemilczeć sprawę, ale ucieczka reżimowego dyplomaty była zbyt głośna i w październiku tego samego roku ruszyli do zmasowanego ataku. „Miłosz to swołocz i jedyna reakcja członka partii to splunąć mu w twarz" – oświadczyła towarzyszka Janina Broniewska, sekretarz organizacji partyjnej literatów. Na naradzie pisarzy z Jakubem Bermanem, nadzorcą bezpieki i kultury, usłużny prezes Iwaszkiewicz grzmiał: „Niech nam przestrogą będzie przykład Miłosza, który pragnąc zachować swoją wieżę z kości słoniowej, po przekroczeniu granicy znalazł się w neohitlerowskim piśmie na jednej stronie z Własowem". A w liście do żony pisał: „Nasze obawy się spełniły. Czesio nawiał, czyli połaszczył się na te dolary". Basował Iwaszkiewiczowi Jan Kott: „W czasie okupacji Miłosz wziął paszport litewski, aby uchronić się od dzielenia losu i doli narodu polskiego. My zdrajców nie żałujemy i żałować nie będziemy".

W prasowej nagonce zdumiewało najbardziej nazwisko Antoniego Słonimskiego, skamandryty, świetnego felietonisty, niezłego poety, ale wrócił właśnie z emigracji i wkupywał się w łaski komunistów, publikując w „Trybunie Ludu" (!) prostacki paszkwil, którego wstydził się potem do końca życia: „Judzisz przeciwko planowanej pracy, która ogarnia coraz szersze masy ludu pracującego, godzisz w budowę fabryk, uniwersytetów. Cieszy Cię każde zło, bo to Twój żer, bo płatny jesteś [...]. Czego chcesz? Chcesz wojny. Na trupach nowych milionów dzieci, kobiet i mężczyzn opierasz swoje nadzieje. Sprzymierzeńcami Twoimi są upiory hitlerowskie". W swojej noweli pod wymownym tytułem „Nim będzie zapomniany" Kazimierz Brandys, pieszczoch reżimu, nazywał Miłosza błotem i myszą, która uciekła z prawdziwie trudnego kursu. „Nie róbcie z niej ideologa – pisał – to mysz. Za rok nie starczy jej śliny, żeby na nas pluć".

Do nagonki dołączyli też dyspozycyjni wierszokleci. „A ty jesteś dezerter / A ty jesteś zdrajca / W pysk dezertera!" – nawoływał Gałczyński w „Poemacie dla zdrajcy". Komicznego w swej obrzydliwości „Farbowanego liska" popełnił stary kapepowiec, politruk Leon Pasternak: „Wymknął się za kordon farbowany lisek / Pociągnąwszy wpierw nieźle z państwowego cycka [...]. Dadzą ci tę wolność aż tak wytęsknioną / Wolność ścierki przy kuble, kundla na łańcuchu / Wczoraj folksdojcz, dziś zdrajca, a jutro już agent". W wierszydle pt. „Dezerter" „pryszczaty" Arnold Słucki ganił Miłosza za brak patriotyzmu: „I Wisła była mu obca / syrena z twarzą robotnicy / młotów łomot i kielni błyskawica". Sam jednak w 1968 r. wyjechał z Polski do Izraela.

Ale jeszcze mocniej atakowała Miłosza znaczna część emigracji, zwłaszcza londyńskiej, podejrzewając, że jest sowieckim agentem, zarzucając „nawróconemu", że przejrzał na oczy dopiero po sześciu latach pracy w bierutowej dyplomacji i to dopiero wtedy, gdy usiłowano odebrać mu paszport. „Brał reżimowe pieniądze, kiedy rozstrzeliwano najlepszych Polaków, i jeszcze teraz urąga i daje moralne nauki emigracji" – pisał w dzienniku Jan Lechoń. „Jeżeli po 6 latach wiernej służby wybrał wolność, powinien był wraz z tą wolnością wybrać co najmniej sześcioletnie milczenie" – uważał Mieczysław Grydzewski. „Były poputczyk Miłosz"– pisał o nim Sergiusz Piasecki, przypominając, że „reprezentował za granicą narzucony Polsce rząd bolszewicki jako prawowitą władzę. Wybielał to, czemu służył. Gdy porzucił stanowisko reżimowego dyplomaty, z miejsca rozpętał olbrzymią reklamę wokół swego wyczynu i swojej wielkości jako poety".

Krytykowały też ostro Miłosza komunizujące, prosowieckie paryskie elity intelektualne na czele z Sartre'em, zdumione zerwaniem z „obozem postępu". Ale przede wszystkim zapłacił za ucieczkę wieloletnim w Polsce nieistnieniem, cenzorskim zapisem. Był pisarzem zakazanym, oficjalnie niewydawanym, aż do kolejnego ciosu dla komunistów, roku 1980, gdy otrzymał Nobla. ©℗

eprasa.pl 958d9fc47c

RUBIO



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Sekretarz stanu USA Marco Rubio pochodzi z rodziny imigrantów kubańskich i wychował się w Miami na Florydzie. To najbardziej antykomunistyczne środowisko w USA. Uchodźcy nie tylko z Kuby, lecz także z Wenezueli, Nikaragui… Tam nie trzeba nikogo przekonywać, że komunizm jest złem wcielonym, które należy aktywnie zwalczać. A „zwalczać" dla Latynosów oznacza wytrzebić, zniszczyć, pokonać, wykończyć, zlikwidować, obalić, zadusić… I tak dalej całą noc.

Latynosi z Miami nie muszą się uczyć w szkole, czym jest komunizm – oni to słyszą w domu od rodziców, dziadków, krewnych i sąsiadów. W Polsce też niby moglibyśmy posłuchać rodziców lub dziadków, ale Polacy mają inny temperament, zapalają się mniej. W moich filmach „Boso przez świat" widzą państwo, że gdy mówię coś po hiszpańsku, to bardziej macham rękami, słowa mają więcej energii i mocne akcenty. Gdybyśmy mieli temperament latynoski, to po roku 1989 nie byłaby potrzebna dekomunizacja, bo nie byłoby komunistów. Zostaliby spakowani do bydlęcych wagonów i wysłani do Moskwy. No ale mamy temperament, jaki mamy, i dlatego mamy marszałka Czarzastego i całą masę innych komunistycznych czyraków wszędzie.

***

Marco Rubio wie, jak potężnym zagrożeniem jest komunizm, i jako sekretarz stanu USA zajmuje się aktywnie zwalczaniem komunistów na całym świecie. Robił to już wcześniej, gdy był senatorem w latach 2011–2025. Z powodu tej działalności Komunistyczna Partia Chin objęła go zakazem wjazdu do Chin.

W całej historii USA nie było drugiego Latynosa, który zaszedłby wyżej w strukturach amerykańskiej władzy. A to jeszcze nie koniec – Marco Rubio jest najbardziej popularnym politykiem w ekipie Trumpa i ma ogromne szanse zostać kolejnym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Jest pracowity i można na nim polegać. Niczego nie zawala, pracuje sprawnie i zazwyczaj cicho. Nie ma za co przepraszać, bo pracuje tak, że nie ma się do czego przyczepić. Trump rzuca kontrowersyjne lub nieoczywiste hasła, a potem Rubio je skutecznie wciela w życie. To Marco Rubio odzyskał dla USA Kanał Panamski. Trump rzucił hasło, świat się oburzył, Marco Rubio pojechał do Panamy i załatwił. Chińczycy musieli się z Kanału wycofać z podkulonymi ogonami i była to dla nich kolosalna porażka o znaczeniu strategicznym.

***

Marco Rubio jest Latynosem, a jednak mówi spokojnie i nie macha rękami. Mówi spokojnie, stanowczo, a nawet TWARDO. Nie miga się od odpowiedzi trudnych. W trakcie niedawnego przesłuchania w Kongresie nie przepraszał, bo nie miał za co. Gdy go zaatakowano za porwanie wenezuelskiego dyktatora Maduro, odpowiedział spokojnie: Ależ oczywiście, żeśmy go porwali, bo to było w interesie Stanów Zjednoczonych, by złapać i osądzić tego szefa kartelu narkotykowego.

To kwestia priorytetów i Rubio widzi takie rzeczy: Co jest ważniejsze: to, że ktoś jest szefem kartelu, czy to, że jednocześnie jest prezydentem jakiegoś państwa? Trzeba wybrać i Rubio się nie wahał.

***

Na konferencji bezpieczeństwa w Monachium też mówił twardo. Podobnie jak rok wcześniej J.D. Vance. Zeszłoroczne przemówienie było wygłoszone w imieniu Trumpa i to też. Przekaz w obu przypadkach dokładnie ten sam i adresat ten sam. Przemówienie Vance'a było odebrane jak walenie europejskich partnerów pięścią w gębę, a w tym roku Rubio spokojnym tonem wyjaśnił, za co rok wcześniej Europa dostała w pysk. Marco Rubio kilkakrotnie w trakcie swego przemówienia otrzymał huczne oklaski, a na koniec jeszcze owację na stojąco. Co takiego powiedział?

Świat Zachodu od kilku dziesięcioleci urządził sobie deindustrializację. Zamykanie przemysłu, wynoszenie fabryk w odległe rejony świata, oddawanie nowoczesnych technologii w ręce konkurentów, a nawet wrogów. Ludzie w Ameryce i Europie tracili pracę, poziom życia spadał. A do tego niekontrolowana imigracja, potężne zagrożenie polegające na wpuszczaniu na własny teren ludzi, dla których nasza kultura Zachodu nie jest wartością. I kult klimatyczny prowadzący do pogarszania warunków życia społeczeństw.

To wszystko to nie była zwyczajna pomyłka – powiedział Rubio. – To były świadome akty niszczenia zachodniej cywilizacji. Ameryka odwraca teraz ten proces po swojej stronie Atlantyku i proponuje Europie, abyśmy zrobili to razem po obu stronach. Przez 500 lat, od czasów, gdy Kolumb odkrył Amerykę, Zachód się stale rozwijał. Natomiast od roku 1945 Zachód się kurczy. Ameryka nie ma zamiaru być strażnikiem planowego upadku zachodniej cywilizacji. Ameryka postawiła teraz na rozwój przemysłowy, na szczelne granice i suwerenność narodową. Dlatego wymuszamy, by nasi sojusznicy byli silni i dumni z cywilizacji Zachodu, bo silna Europa wzmacnia USA, a słaba Europa osłabia USA. Europa ma być dumna z siebie, ze swojego dorobku, ze swojej religii chrześcijańskiej. Aby żołnierze byli w stanie obronić Europę w przypadku ataku, muszą wiedzieć, o co się biją, muszą wiedzieć, czego bronią, musi im zależeć na tym, czego mają bronić.

Ameryka stawia na rozwój, na uprzemysłowienie i na suwerenność państw narodowych. Chcemy to zrobić z wami, z Europą, ale jeśli się nie da, to Ameryka zrobi to samodzielnie bez was.

***

Od 1945 r. Zachód się kurczy, a nie rozwija. Przykład: przed wojną Wrocław miał trzy uczelnie i 11 Nagród Nobla. Po wojnie 11 uczelni i ani jednej nagrody. Przed wojną Niemcy wybudowali we Wrocławiu Halę Stulecia. Konstrukcja hali była niespotykana. Przez dziesiątki lat hala była obiektem mającym żelbetowe przekrycie o największej rozpiętości na świecie. Hala ma 42 m wysokości, a nakrywająca ją kopuła 67 m średnicy. Maksymalna szerokość wnętrza hali wynosi 95 m. Niemcy zbudowali to w… dwa lata (1911–1913). Dziś w UE absolutnie niewykonalne.

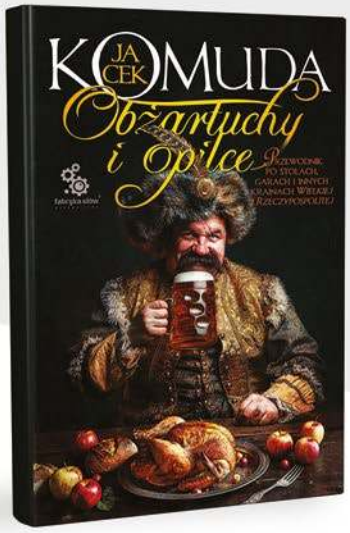
Tymczasem w USA w ciągu jednego roku zbudowano kolejną elektrownię atomową – zostanie uruchomiona 4 lipca 2026 r., w 250. rocznicę powstania USA. A pierwsza elektrownia atomowa w Polsce ma się budować ile lat? Dziesięć? ©℗

eprasa.pl 958d9fc47c

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK KOMUDA: „OBŻARTUCHY I OPILCE” ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

<<<

~~601 ZŁ~~

290,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 311 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 958d9fc47c



eprasa.pl 958d9fc47c